AMERYKA COFA SIĘ NA POZYCJE Z CZASÓW OBAMY

Wojciech Cejrowski ostro o przemówieniu prezydenta Bidena

Dramat polskiego pacjenta w angielskim Plymouth

TYGODNIK LISICKIEGO

# DO RZECZY

NR 4/409 25–31 STYCZNIA 2021 CENA 7,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

Czy elektrownia atomowa w Bełchatowie byłaby bezpieczna

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288829
Nakład: 57,5 tys. egzemplarzy

# SKOŃCZMY Z LOCKDOWNEM

Energa Obrót | GRUPA ORLEN

# Wybierz instalację słoneczną Energa Grupa ORLEN

***Postaw na własną instalację słoneczną z Energą, produkuj własny prąd i obniż swoje rachunki. Zyskaj aż 25 lat gwarancji na panele oraz roczne ubezpieczenie instalacji w wybranym wariancie.***

Zadzwoń pod **555 555 505** lub wypełnij formularz na www.energa.pl.

Koszt połączenia wg stawek Twojego operatora telefonicznego.

eprasa.pl d9f679a473

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

# Osobliwy dialog

W zeszłym tygodniu ukazała się książka znanego belgijskiego historyka Kościoła, Johana Ickxa, oparta na udostępnionych w marcu 2020 r. tajnych dokumentach z archiwum watykańskiego, poświęcona relacjom Piusa XII i Żydów podczas drugiej wojny światowej. Dokumenty są jednoznaczne. Obalają, który to zresztą raz, czarną legendę papieża Pacellego. Jak wynika z ustaleń historyka, spośród 10 tys. Żydów, którzy przeżyli wojnę w Rzymie, ponad 6 tys. ocalało dzięki pomocy papieża. Nie ma w tym, powtarzam, sensacji: cała opowieść o Piusie jako „papieżu Hitlera" jest wytworem obrzydliwej operacji służb sowieckich. Później stworzony, negatywny wizerunek został wykorzystany przez różnego rodzaju liberalnych, antykatolickich propagandystów.

Tyle że, piszę to ze smutkiem, te nowe dokumenty, nowa wiedza najpewniej w niewielkim stopniu zmienią, a być może wcale nie zmienią obecnych relacji Kościoła z Żydami. Pod tym względem bowiem, niestety za sprawą najpierw Jana Pawła II, a następnie Benedykta XVI, Kościół przyjął na siebie w dużym stopniu odpowiedzialność za Holokaust, a następnie dostosował swoją doktrynę do roszczeń niektórych środowisk żydowskich.

Doskonale pokazuje to niewielka rozmiarami książeczka, która właśnie ukazała się w Polsce „Benedykt XVI w dialogu z rabinem Arie Folgerem. Żydzi i chrześcijanie". Jeśli chodzi o samego Benedykta, to – jak wyraźnie wynika z książki – okazuje się on typowym przedstawicielem holokaustianizmu. Opisując wiekowy spór chrześcijan i Żydów o to, czy Jezus był Mesjaszem, emerytowany papież w 2017 r. stwierdzał: „Spór ten niestety chrześcijanie prowadzili często, a właściwie niemal zawsze, bez należytego respektu dla drugiej strony. Wręcz przeciwnie. Zaczęły się smutne dzieje chrześcijańskiego antysemityzmu, który zaowocował smutną historią antysemityzmu nazistowskiego i oto wyłania się przed nami posępny jej szczyt – Auschwitz". Czytelnicy mojej książki „Krew na naszych rękach?" nie będą tym zaskoczeni. Emerytowany papież nie tylko uznaje, że „chrześcijanie niemal zawsze toczyli spór bez respektu dla Żydów", lecz także dostrzega ścisły związek między tym prowadzeniem sporu a morderczym, ludobójczym antysemityzmem nazistowskim. Prowadzi to zatem do uznania moralnej winy Kościoła za współudział w dziejowej zbrodni. Wniosek: należy się za nią kajać, pokutować, przepraszać. A także głosić nową naukę.

Jej przykładem są z kolei słynne słowa Jana Pawła II z jego wystąpienia 17 listopada 1980 r. w Moguncji, kiedy to papież powiedział: „Przymierze, które Bóg zawarł ze swym ludem Izraelem, pozostaje ważne i nigdy nie zostało unieważnione". Rewolucyjne to twierdzenie znalazło się też w obecnym Katechizmie Kościoła katolickiego. Nie jest łatwo dostrzec jego zgodność z wcześniejszym nauczaniem Kościoła (szczerze mówiąc, sądzę, że jest to niemożliwe) i nic dziwnego, że wielu teologów stara się je jakoś wytłumaczyć. Podobnie zrobił sam Benedykt, który trzy lata temu chciał je „krytycznie pogłębić", dostrzegając oczywiste trudności. Nie tylko chodzi tu o brak spójności tej doktryny z Nowym Testamentem, lecz także o to, że akceptacja tego twierdzenia całkowicie zmienia relację między katolikami a Żydami. Jeśli zawarte przez nich przymierze z Bogiem dalej obowiązuje, to jak ma się do tego nowe przymierze Chrystusa? Logicznie należałoby uznać, że ich ono nie obowiązuje.

Jednak nie chodzi tu tylko o problemy teologiczne, ale o kwestie polityczne, co doskonale pokazał drugi uczestnik dialogu, rabin Folger, który ni mniej, ni więcej, trudno mi pozbyć się tego wrażenia, przywołał emerytowanego papieża do porządku. Czytając wywody Benedykta, który słowom o „nigdy nieodwołanym przymierzu" starał się nadać przynajmniej pozór zrozumiałości, rabin dostrzegł jego dobre intencje, ale też wyraźnie pokazał, gdzie są granice poszukiwań. Wprawdzie napisał, że „nie ośmieliłby się w taki czy inny sposób interpretować doktryny wiary innej wspólnoty", ale zaraz potem dokładnie to zrobił. „Tutaj chciałbym podkreślić ze zrozumiałych względów, jak bardzo teza o nigdy nie odwołanym przymierzu ważna jest dla walki z antysemityzmem". Te „zrozumiałe względy" to zło dokonane przez chrześcijan (chrześcijański antysemityzm, który rzekomo doprowadził do Auschwitz) i dlatego ogłoszona przez Jana Pawła teza o „nigdy nie odwołanym przymierzu" jako podstawie skutecznej walki z antysemityzmem ma być po prostu przez Benedykta i jego następców, a także ogół katolików – domaga się rabin – jednoznacznie głoszona.

Książeczka ta jasno pokazuje, że nie chodzi tu o żaden dialog równych. Z jednej strony są petenci, z drugiej strony ci, którzy mogą łaskawie przyjąć, pod określonymi warunkami, przeprosiny. Łatwo zrozumieć, co ta relacja oznacza także dla polskich katolików i jak trudno jest i będzie im bronić się przed niedorzecznymi zarzutami współudziału w Holokauście, jeśli tak głęboko zakorzeniły się one w świadomości przywódców Kościoła. ©℗

RYSUNEK TYGODNIA

eprasa.pl d9f679a473

## TEMAT TYGODNIA

**18** RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
**LOCKDOWN MYŚLENIA**
Łapanie dymu siatką na motyle

**21** TOMASZ CUKIERNIK
**DEMOLOWANIE GOSPODARKI**

## KRAJ

**24** ROZMOWA Z ADAMEM BIELANEM
**OPOZYCJA PRZECENIA BIDENA**
„Wujek z Waszyngtonu" nie pomoże przeciwnikom PiS

**26** KAMILA BARANOWSKA
**CZŁOWIEK DO ZADAŃ SPECJALNYCH**

**28** TOMASZ ROWIŃSKI
**DRAMAT W PLYMOUTH**

**30** ŁUKASZ WARZECHA
**UTRATA KONTROLI**

**32** MARCIN MAKOWSKI
**SZKOLENIE Z WOLNOŚCI SŁOWA**

**34** AGNIESZKA NIEWIŃSKA
**LODOWATA KĄPIEL ZAMIAST SIŁOWNI**

## KULTURA

**36** KRZYSZTOF MASŁOŃ
**BUŁATA OKUDŻAWY TANIEC NA LINIE**
Niepoetyckie nieszczęścia w życiu poety


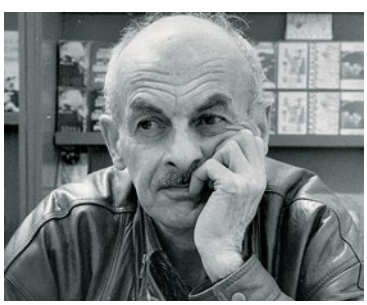


**40** PIOTR GOCIEK
**POD DACHAMI PARYŻA**

## NIE PRZEGAP

**42** NASZ PRZEWODNIK
**FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA**

## DODATEK SPECJALNY

**49**
**50-LECIE ODBUDOWY ZAMKU KRÓLEWSKIEGO W WARSZAWIE**

## OPINIE

**60** KS. PRZEMYSŁAW ARTEMIUK
**KOMPLEKS KOŚCIOŁA**
Dekonstrukcja katolickiej eklezjologii prof. Polaka

**62** ROZMOWA Z SEBASTIANEM PITONIEM
**„GÓRALSKIE VETO" W OBRONIE GODNOŚCI**

## HISTORIA

**64** SEBASTIAN LIGARSKI
**DEBATY GIERKA**
Edward Gierek w Szczecinie i Gdańsku w 1971 r.

## ŚWIAT

**68** JACEK PRZYBYLSKI
**DOKĄD ZMIERZA AMERYKA?**
Świat po Trumpie

**70** PIOTR SEMKA
**DOKTRYNA WYJĄTKOWOŚCI**

**74** MACIEJ PIECZYŃSKI
**ROSYJSKI DON KICHOT**

**76** CEZARY GMYZ
**PRZYSZŁY KANCLERZ?**

## EKONOMIA

**78** PIOTR WŁOCZYK
**COVIDOWE FORTUNY**
Czy to ostatni tak dobry rok dla miliarderów zza oceanu?

**80** ANDRZEJ SOLECKI
**ELEKTROWNIA TAM, GDZIE TRZĘSIE?**

## SPORT

**84** ŁUKASZ ZBORALSKI
**SZERPOWIE W NIEBIE**
Pierwsze zimowe zdobycie K2

## O ZDROWIU

**92** ROZMOWA Z BARTŁOMIEJEM CHMIELOWCEM
**OBOWIĄZUJĄ, CHOĆ Z OGRANICZENIEM**
Prawa pacjenta w czasie COVID-19

## FELIETONY:
SEMKA (8), ZIEMKIEWICZ, JUREK (10), KOWALCZUK (11), GMYZ, GOCIEK (16), ZYCHOWICZ, KOPER (67), PRZYBYLSKI (73), GABRYEL, WARZECHA (82), KOMUDA (94), ZALEWSKI, MAKOWSKI (96), SIEDLECKA (97), CEJROWSKI (98)




eprasa.pl d9f679a473

PGNiG
SPONSOR STRATEGICZNY
POLSKIEJ PIŁKI RĘCZNEJ

RAPORT
O POLSKIEJ
REPREZENTACJI
W PIŁCE RĘCZNEJ.

CZYTAJ
W NAJNOWSZYM
„DO RZECZY"
NA STRONIE 88

NAJŚWIEŻSZE DONIESIENIA Z BOISK
MISTRZOSTW ŚWIATA W EGIPCIE ZNAJDZIESZ NA:
www.dorzeczy.pl

eprasa.pl d9f679a473

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: Tygodnik DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
*tel.:* +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
*e-mail:* listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

Kolegium komentatorów:
**Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz**

Stali współpracownicy i felietoniści:
**Kamila Baranowska, Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski, Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić** *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Ryszard Gromadzki, Piotr Gursztyn, Marek Jurek, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Marcin Makowski, Monika Małkowska, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Gabriel Michalik, Agnieszka Niewińska, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Agnieszka Rybak, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Tomasz P. Terlikowski, Błażej Torański, Szewach Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Małgorzata Wołczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Wróblewski, Igor Zalewski, Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zofia Magdziak** (zastępca), **Antoni Trzmiel** (zastępca, także dziennikarz Telewizji Polskiej), **Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja), **Anna M. Piotrowska**, **Małgorzata Puzyr**, **Marcin Bugaj**, **Damian Cygan**, **Jan Fiedorczuk**, **Przemysław Harczuk** (także „Super Express"), **Paweł Zdziarski**

Studio graficzne: **Wojciech Niedzielko** (szef studia), **Jakub Tański, Jacek Nadratowski, Włodzimierz Zakrzewski**
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska, Marzena Dobosz**
Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Adobe Stock, oprac. graf. Pegaz/JAN**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
*tel.:* +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

PMPG POLSKIE MEDIA SA
spółka notowana na GPW
POLSKI WYDAWCA

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
**Ilona Weiss, Jolanta Kloc**
Zarząd Spółki Orle Pióro:
**Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki**

FIRMA RODZINNA

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl
DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
**Adam Borzęcki** (kolportaż); **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza), prenumerata@pmpg.pl, tel.: 539 953 631; **Monika Doroś,** tel.: 508 040 664

**ISSN 2299-8500**
**Nr indeksu 288829**
**Nakład 57,5 tys. egzemplarzy**

NAKŁAD KONTROLOWANY
ZWIĄZEK KRAJOWY DYSTRYBUCJI PRASY

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:
**Prenumerata realizowana przez RUCH SA:**
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres
e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH" pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.

© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

## Drodzy Czytelnicy!

Jak co tydzień dziękujemy za wszystkie nadesłane listy i e-maile oraz przypominamy, by korespondencję elektroniczną do rubryki kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

## „Antypolski terror propagandowy", Leszek Żebrowski, „DRz" 2/2021

*Pan Leszek Żebrowski słusznie akcentuje, że na rynek angielski nie potrafimy wyjść z prawdą historyczną na temat Holokaustu. Ale sytuacja w polskim szkolnictwie nie jest lepsza. Przekaz Jana Grabowskiego i innych współautorów „Dalej jest noc. Losy Żydów w wybranych powiatach okupowanej Polski" dominuje. W październiku 2018 r. nauczyciel historii jednego z zamojskich liceów zorganizował w sali UM spotkanie uczniów z prof. Dariuszem Libionką, który w wymienionej publikacji zafałszował podstawowe fakty z historii Polski w XIX w. Napisał, że „we wsiach powiatu miechowskiego w latach 1861–1862 pojawiły się hasła rozprawy ze szlachtą i Żydami wzorem Galicji" (t. 2, s. 24). Profesor sugeruje, że chłopi polscy mordowali Żydów w Galicji w czasie rabacji w 1846 r. I co? I nic. Na mnie, byłym nauczycielu historii, robi to wstrząsające wrażenie. Dariusz Libionka nadal jest profesorem Instytutu Filozofii i Socjologii PAN.*

**Janusz Woźnica**

*Szanowni Państwo,*
*przeczytałem świetny artykuł Leszka Żebrowskiego z najnowszego numeru „Do Rzeczy".*

*Warto pamiętać, że problem, któremu poświęcił swój tekst Żebrowski, jest też obecny na polskiej Wikipedii, a dotyczy m.in. hasła „Pogrom w Jedwabnem". [...] Zgodnie z zasadami Wikipedii źródła mają być: opublikowane, rzetelne i aktualne. Czytamy: „Za najbardziej rzetelne uznaje się recenzowane publikacje naukowe". Głównym źródłem zaś w tym haśle jest... postanowienie z 30 czerwca 2003 r. o umorzeniu śledztwa w sprawie zabójstwa obywateli polskich narodowości żydowskiej w Jedwabnem w dniu 10 lipca 1941 r. Czy jest to recenzowana publikacja naukowa? To pytanie retoryczne. Zmiany z haśle można śledzić w historii hasła. Świetnie tu widać, jak są torpedowane próby rzetelnego przedstawienia wydarzeń przez zalogowanych i niezalogowanych użytkowników Wikipedii [...].*

**Imię i nazwisko do wiadomości redakcji**

## „Znikać, żeby być", Kamila Baranowska, „DRz" 2/2021

*Szanowna Pani Redaktor,*
*z uwagą przeczytałem Pani artykuł, w którym najważniejszy wydaje mi się fragment zdania: „bo o swoich poglądach i programie mówi tak, by nie powiedzieć nic konkretnego". Starannie i elegancko ubrany pan wygłaszający z prędkością karabinu maszynowego stek banałów bez żadnej treści. I to się ludziom podoba. W Stanach już dawno stwierdzono, że wygląd i tembr głosu polityka to 80 proc. poparcia odbiorców. Tylko 6 proc. to treść. I to się potwierdza, niestety, w naszym społeczeństwie. Jak człowiek bez programu i żadnych konkretów może mieć kilkanaście procent poparcia?!*

*Mnie z każdym wystąpieniem Hołowni wręcz obsesyjnie przypomina się stary kawał z czasów PRL opowiadany o liderach ZSL. Dwóch znajomych spotyka się i jeden pyta:*

*– Słyszałeś, że w naszym miasteczku był wiec na rynku i przemawiał sam Hołownia?*

*– Tak, i co powiedział?*

*– A tego to nie mówił.*

**Z poważaniem**
**Tadeusz Szostak**

## „Czy powieść katolicka jest możliwa?", Elżbieta Morawiec, „DRz" 3/2021

*W tygodniku „Do Rzeczy" nr 3/2021 ukazał się artykuł pani Elżbiety Morawiec poświęcony literaturze katolickiej. Wydaje mi się, że wśród wielu ważnych dla polskiej kultury autorów w tekście pominięto dorobek Emanuela Małyńskiego. Wprawdzie publikował on po francusku, ale był i czuł się Polakiem. To autor o pozycji wyjątkowej, bo doczekał się we Francji edycji swoich dzieł zbiorowych. Jego powieści w 25-tomowej edycji ukazały się w 2005 r.*

**Z poważaniem**
**Jan Parys**

eprasa.pl d9f679a473

## POLSKA PRZEJMIE DUŃSKI RYNEK?

Polska ma niebywałą szansę, by zająć miejsce Danii jako światowego producenta skór zwierzęcych. Z powodu koronawirusa, który – jak się później okazało – nie był zbyt groźny, w kraju tym doszło do niepotrzebnego wybicia nie tylko wszystkich zwierząt futerkowych, lecz także stad rozrodczych, których genetyka budowana jest kilkadziesiąt lat. W rezultacie upadł też największy na świecie dom aukcyjny skór w Kopenhadze, który na samych prowizjach od sprzedaży zarabiał 100 mln euro rocznie. Teraz jedyny materiał genetyczny na najwyższym poziomie mają polscy hodowcy, którzy chcą wykorzystać okazję do zbudowania swojej pozycji. Planują przejąć duński rynek tak, aby w Polsce była możliwa nie tylko hodowla, lecz także magazynowanie i sprzedaż skór. W tym celu w okolicach Radomia zamierzają otworzyć Dom Aukcyjny Skór Naturalnych o charakterze globalnym, którego działalność wzmocni też rodzime gospodarstwa na lata. Wspólną inwestycją są zainteresowani inwestorzy z Chin, a także z USA. Środowisko branżowe spotkało się już w tej sprawie z ambasadorem Chin oraz z przedstawicielami Chińskiej Izby Handlu z Pekinu. Inwestycja ma kosztować 60–80 mln euro. Według planów realizacja projektu zostanie zapoczątkowana jeszcze w tym roku, a jej zakończenie przewiduje się na lato roku 2023. W domu aukcyjnym zatrudnienie znajdzie kilkuset pracowników, ale inwestycja będzie stymulowała także lokalny rynek.

© ℗ ***Tomasz Cukiernik***

# Nowoczesny kriomikroskop elektronowy CryoEM Glacios trafi do polskich naukowców

OŚRODEK PRZETWARZANIA INFORMACJI
PAŃSTWOWY INSTYTUT BADAWCZY

W ramach projektu „SOLARIS – Narodowe Centrum Promieniowania Synchrotronowego" został zakupiony najnowszej generacji mikroskop Glacios. Umożliwi to wprowadzenie do oferty usług kriomikroskopii elektronowej (Cryo-EM: cryogenic electron microscopy). Metoda ta oparta jest na elastycznym rozpraszaniu wiązki elektronów przez cienkie warstwy badanych materiałów lub molekuł. Dzięki bardzo niskiej długości fali elektronów możliwe jest osiągnięcie atomowej rozdzielczości pomiaru.

Kriomikroskopia elektronowa wykorzystywana jest na szeroką skalę w biotechnologii medycznej, farmaceutycznej oraz szeroko pojętej biologii doświadczalnej – biochemii, biologii molekularnej, biologii komórki czy w biofizyce. Jedno z głównych jej zastosowań to biologia strukturalna, która przyczyniła się do ogromnego postępu w leczeniu nowotworów, choroby Alzheimera czy otyłości. Największym uznaniem dla tej technologii było przyznanie jej twórcom w 2017 r. Nagrody Nobla. Jej niezwykła użyteczność została również potwierdzona w marcu 2020 r., kiedy naukowcy rozwiązali w niespotykanym tempie strukturę białka kolca (spike protein) koronawirusa 2019-nCoV, co ułatwiło badaczom i lekarzom walkę z pandemią SARS-CoV-2.

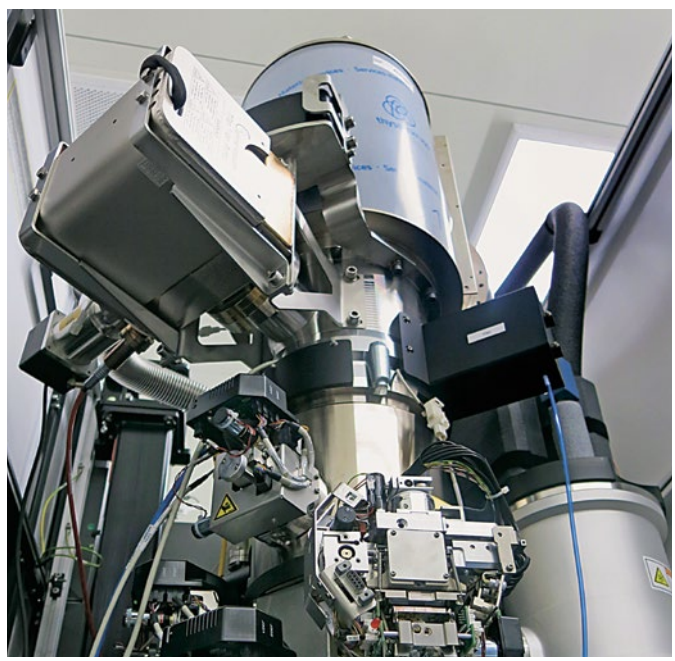

**Polscy naukowcy dołączą do grona światowych liderów w biologii strukturalnej. W Narodowym Centrum Promieniowania Synchrotronowego Uniwersytetu Jagiellońskiego już wkrótce zostanie oddany do użytku kriomikroskop CryoEM Glacios**

Z usług kriomikroskopu będą mogli korzystać naukowcy z Polski i z zagranicy. Dostęp – na zasadach komercyjnych – będą miały również firmy prywatne.

Projekt „SOLARIS – Narodowe Centrum Promieniowania Synchrotronowego" jest współfinansowany ze środków Europejskiego Funduszu Rozwoju Regionalnego, w ramach Działania 4.2 Programu Operacyjnego Inteligentny Rozwój 2014–2020.

Ośrodek Przetwarzania Informacji – Państwowy Instytut Badawczy jest Instytucją Wdrażającą Działanie 4.2 „Rozwój nowoczesnej infrastruktury badawczej sektora nauki", IV Osi Priorytetowej Programu Operacyjnego Inteligentny Rozwój, w ramach którego realizowany jest ten projekt.

Fundusze Europejskie Inteligentny Rozwój
Rzeczpospolita Polska
Narodowe Centrum Badań i Rozwoju
Unia Europejska Europejski Fundusz Rozwoju Regionalnego



eprasa.pl d9f679a473

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

# Jak ze starego zrobić nowe?

Wieść o przejściu Joanny Muchy z Platformy do ruchu Szymona Hołowni zaskoczyła dziennikarzy. O wiele większy szok przeżyła jednak część działaczy Polski 2050. Jakub Jakubowski, pełnomocnik Polski 2050 na okręg lubelski, urażony tym, że nikt nie poinformował go o transferze Muchy, podał się do dymisji. W Internecie wielu zwolenników Hołowni wyrażało zdumienie sięganiem po postacie, które już od wielu lat są obecne w polskim życiu politycznym. Szok sympatyków był na tyle silny, że sam lider ruchu huknął na nich w swoim facebookowym filmiku.

„Mam wrażenie, że niektórzy z naszych ludzi zareagowali na ten news tak, jakbym ogłosił, że Donald Tusk został przewodniczącym Ruchu Polska 2050" – zaczął zjadliwie Hołownia. I dalej: „Chciałbym powiedzieć jasno i dobitnie, że będą przechodzili do nas nowi ludzie. Będą przechodzili kolejni ludzie z PO, będą przechodzili z PSL, Lewicy, być może kiedyś z PiS i ze Zjednoczonej Prawicy. I co? Czy przy każdym takim przejściu będziemy robili wielki rwetes? O mój Boże, mieliśmy być tacy fajni, bo mieliśmy być sami? Mieliśmy być tacy osobni, zupełnie odklejeni od całej tej rzeczywistości, bo my jesteśmy nowi? Tak, jesteśmy nowi i właśnie o to chodzi, byśmy tych nowych ludzi, którzy przychodzą z różnych miejsc, wciągali w tę naszą nowość, żeby i oni zostali nowi".

Przepraszam za ten przydługi cytat, ale pokazuje on dobrze, jakich ekwilibrystyk słownych musi dokonywać złotousty Szymon, aby osłabić szok swoich wyznawców. Wyznawców, którzy mają trafną intuicję. Jeśli bowiem do Ruchu Hołowni zaczną przechodzić weterani politycznych wojen z ostatnich dwóch dekad, to partia mająca być nowa i zupełnie inna od wszystkich dotychczasowych stanie się taka sama jak pozostałe.

Dla Hołowni łowienie kolejnych sfrustrowanych platformersów, a być może za jakiś czas PSL-owców czy SLD-owców, będzie wyzwaniem. Dotychczas występował wobec swego ruchu jako swojski „Szymek", znany z TVN, który niczym świecki teleewangelista oczarowywał tłumy, wsłuchujące się w jego monologi. W tej roli Hołownia czuje się najlepiej. Ćwiczył ją na tysiącach spotkań, gdy występował we wcieleniu autora książek dla „fajnokatolików".

Dotychczas stosunkowo proste były objeżdżanie kraju i tworzenie lokalnych struktur w Owsiakowym stylu: „Kochani, razem możemy zrobić coś naprawdę nowego". Im więcej będzie jednak u jego boku w pełni ukształtowanych polityków, tym więcej będzie osób, które nie dadzą się oczarowywać chłopięcą buzią lidera. Ci ludzie mają swoje cele, swoje żądania, swoje ambicje i swoje poglądy. Boleśnie przekonał się o tym Hołownia, gdy świeżo skaperowany w Senacie Jacek Bury, wcześniej z PO, nagle ujawnił w jednym z wywiadów, że nie popiera „500+".

Wszyscy ci nowi „hołowniacy" będą chodzić do mediów i gadać to, co mają w głowie. A to powodować może rozjeżdżanie się narracji Polski 2050.

Coś czuję, że Szymon Hołownia jeszcze nieraz będzie musiał się tłumaczyć ze swych nowych podopiecznych. Na razie radzę oszczędnie gospodarować głębokimi przemyśleniami Joanny Muchy i Jacka Burego. ©℗

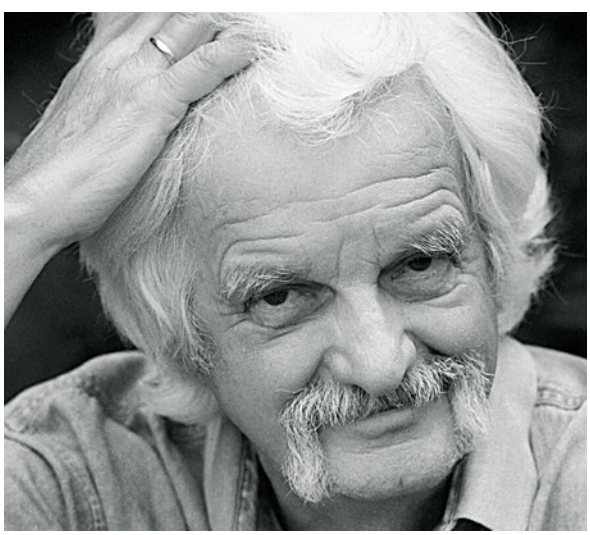

FOT. GRZEGORZ ROGIŃSKI/REPORTER

## NIE ŻYJE „PAPCIO CHMIEL"

W wieku 97 lat w zeszłym tygodniu zmarł Henryk Jerzy Chmielewski. Harcerz, powstaniec warszawski, patriota, nestor polskiego komiksu oraz prawdziwa legenda polskiej szkoły graficznej. Karierę rozpoczął w 1947 r. w „Świecie Przygód", a następnie w „Świecie Młodych". Rysownik znany jest jednak milionom Polaków jako „Papcio Chmiel", czyli twórca niezwykle popularnej serii komiksów poświęconej przygodom Tytusa, Romka i A'Tomka. ***(jap)*** ©℗

## PAULO SOUSA ZASTĄPI BRZĘCZKA

Portugalczyk Paulo Sousa, były szkoleniowiec klubów angielskich, francuskich i włoskich, będzie nowym selekcjonerem polskiej reprezentacji w piłce nożnej. Portugalczyk zastąpi Jerzego Brzęczka, który w zeszły poniedziałek przestał pełnić swoje obowiązki. Sousa pracę w roli selekcjonera rozpocznie od marcowego zgrupowania reprezentacji Polski i spotkań eliminacji mistrzostw świata 2022. Pierwszym rywalem zespołu pod wodzą portugalskiego trenera będą Węgry 25 marca. ***(jap)*** ©℗



eprasa.pl d9f679a473

ORLEN

PARTNER
STRATEGICZNY
NAGRODY

# WIZJONERZY
ZDROWIA 2021

„PRZYSZŁOŚĆ OCHRONY ZDROWIA
W POLSCE 2021–2023”

INFORMACJE I ZGŁOSZENIA DO NAGRODY NA:
dorzeczy.pl/wizjonerzy-zdrowia

eprasa.pl d9f679a473

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

# Szeroki front Hołowni

Cokolwiek powiedzieć o ruchu Polska 2050 Szymona Hołowni (czy może raczej Michała Koboski, któremu przecież powierzył tę formację Hołownia, deklarując, że sam na jej czele nie stanie), dzieje się tam więcej niż w ruchu Wspólna Polska Rafała Trzaskowskiego. Może niewiele więcej, ale przynajmniej pozyskuje Hołownia kolejnych parlamentarzystów. Zaczęło się, jak pamiętamy, od posłanki Lewicy, i to jej skrajnego skrzydła, Hanny Gill-Piątek. W ubiegłym tygodniu dołączył do Hołowni senator Jacek Bury (do tego momentu uchodzący za polityka PO, dopiero po tym transferze przewodniczący Budka wyjaśnił, że Bury nigdy do jego partii nie należał). Bury z kolei współzakładał swego czasu z Pawłem Chojeckim tzw. Kościół Nowego Przemierza – sektę „chrześcijan biblijnych", której twarzą był przez dłuższy czas Marian Kowalski, wcześniej kandydat narodowców na prezydenta, obecnie stanowiący jednoosobowe ugrupowanie „endecja dla PiS", znane głównie z występów w TVP Info.

Już z tych dwóch nazwisk znać, że Hołownia idzie naprawdę szerokim frontem. Dodajmy, że senator Bury swą współpracę zaczął od zażądania zmian w programie „500+". Szymon Hołownia, pytany o to, podkreślił, że jest za „500+" i nic w nim nie chce zmieniać. Ponieważ z drugiej strony posłanka Gill-Piątek domaga się prawa do aborcji na żądanie, od którego to postulatu Hołownia również się odcina, wygląda na to, że Hołownia postanowił tworzyć parlamentarną reprezentację swego ruchu z polityków, którzy się z nim nie zgadzają (choć być może zgadzają się z przewodniczącym ruchu, Michałem Koboską, którego poglądy są jeszcze trudniejsze do ustalenia niż poglądy samego Hołowni).

Nie wiadomo jeszcze, w czym nie zgadza się z Hołownią Joanna Mucha, kolejny sejmowy nabytek Polski 2050 – ponieważ od dość dawna, od czasów wyborów na przewodniczącego PO, w których nieśmiało i na krótko zgłosiła swoją kandydaturę, jej polityczna aktywność była praktycznie zerowa i można było odnieść wrażenie, że wycofała się z polityki na rzecz kariery muzycznej lub literackiej.

Krążą plotki, że następny będzie Tomasz Zimoch… ©℗

MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

# Pytania u progu

Motu proprio „Spiritus Domini" – jak ujął jeden z komentatorów – otwiera próg prezbiterium dla kobiet. To celna, a skromna metafora, bo nie chodzi o fizyczną obecność niewiast w stallach, ale o coś znacznie więcej. Kobiety mają sprawować funkcje przez niemal dwa tysiące lat stanowiące jednocześnie niższe święcenia duchowne. Rzecz oczywiście dotyczy Tradycji i ma bezpośrednie konsekwencje dla liturgii, o której Katechizm św. Jana Pawła II uczy, że nawet „najwyższy autorytet w Kościele nie może [jej] dowolnie zmieniać", a „może to czynić jedynie w posłuszeństwie wiary i w religijnym szacunku dla misterium liturgii" (art. 1125).

Jest też kwestia prostsza, którą może postawić sobie każdy katolik. Żyjemy w czasach aktywnej opinii publicznej, czy zatem powierzanie części posług liturgicznych kobietom utwierdzi wiarę (formalnie potwierdzoną w motu proprio) w przeznaczenie wyłącznie mężczyzn do wykonywania kapłaństwa Chrystusowego? Czy przeciwnie – stanie się argumentem, by jeszcze mocniej postulować obalenie tej zasady? Nawet jeśli założyć, że nie są to pytania retoryczne, a w kwestiach społecznych rzeczywiście prawda często wychodzi dopiero z czasem – to jedno jest pewne, że czas to rychło pokaże.

Jest też kwestia bardziej eklezjologiczna. Czy mamy do czynienia ze świadectwem czy z adaptacją? Od czasu Synodu w 1985 r. kard. Ratzinger powtarzał, że kryzys Kościoła jest pochodną kryzysu europejskiej kultury, z którą katolicyzm jest tak silnie związany. A do tego kryzysu na pewno adaptować się nie należy.

Z pewnością żeński akolitat jeszcze bardziej poprawi „wizerunek" papieża Franciszka. Czy jednak dzięki temu lepiej rozumiani, życzliwiej słuchani, mniej atakowani będą katolicy świadczący ortodoksji zawartej w „Ordinatio Sacerdotalis" św. Jana Pawła II? To też ważne pytanie, bo cokolwiek uczyniliście jednemu z tych braci moich najmniejszych… ©℗



eprasa.pl d9f679a473

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

# Italia w stanie dryfu

W najdramatyczniejszej chwili w powojennej historii Włoch koalicja rządząca zafundowała narodowi karczemną kłótnię. Rozpychający się łokciami były premier Matteo Renzi, dziś wódz kanapowej partyjki Italia Viva (w sondażach 2,9 proc.), wycofał się z koalicji.

Pożyczony z uniwersytetu do polityki premier Giuseppe Conte odbudowuje utraconą większość w Senacie, tworząc ugrupowanie z senatorów małych, kuriozalnych ugrupowań, a też tych, których nie chcieli gdzie indziej. Jest mu wszystko jedno, bo jest premierem dobrym na wszystkie pory roku. Rządził już z prawicowopopulistyczną Ligą, teraz rządzi z kawiorową lewicą.

Senatorom też jest wszystko jedno. Dla włoskiego parlamentarzysty pojęcia lojalności partyjnej, politycznej i intelektualnej uczciwości są terminami ze słownika wyrazów obcych. W poprzedniej kadencji parlamentu (2013–2018) spośród 945 wybrańców narodu blisko 400 zmieniło barwy partyjne, a wszystkich zmian było niemal 700. Rekordzista zmieniał partie sześć razy. W ciągu obecnej kadencji, która rozpoczęła się 2,5 roku temu, doszło już do 150 aktów politycznej zdrady.

Doszło jednak też do tego, że gdyby wybory odbyły się dziś, wygrałaby je centroprawicowa opozycja, i to w rozmiarach pozwalających na wszelkie zmiany w konstytucji. Kontestacyjny Ruch Pięciu Gwiazd, który 2,5 roku temu otrzymał co trzeci głos, po wszelkich możliwych popisach totalnej niekompetencji stracił ponad połowę zwolenników. Najpopularniejszym politykiem (38 proc. w sondażach) jest szefowa mocno prawicowej partii Bracia Włosi Giorgia Meloni, a najpopularniejszą partią jest nie mniej prawicowa i eurosceptyczna Liga Matteo Salviniego (24 proc.), którym lewicowcy straszą dzieci, jak kiedyś Berlusconim.

Właśnie dlatego przyspieszone wybory się nie odbędą. Mamy więc teraz w Italii parlament, który nikogo i niczego nie reprezentuje poza samym sobą. I bezzębny, kruchy rząd. Gazety apelują do politycznych elit: „Wracajcie z kosmosu na Ziemię!". To oczywiście wołanie na puszczy. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

MIĘDZY TWEETAMI

*Marcin Makowski*

# Umarł król, niech żyje król

**Koniec prezydentury Donalda Trumpa oraz początek kadencji Joe Bidena zastały polskich polityków oraz dziennikarzy w rozkroku między metafizycznym uniesieniem a kpiną.** Zacznijmy od uniesień. „Nie dosyć, że kobieta, nie dosyć, że czarnoskóra, nie dosyć, że córka Hinduski i Jamajczyka, nie dosyć, że dziecko imigrantów, to jeszcze… żona Żyda. Kamala Harris wiceprezydentem USA. Czy w »białym« państwie PiS taki szacunek dla równości i równouprawnienia byłby możliwy?" – zapytał Adam Szejnfeld, lider frakcji Hindusów i Jamajczyków w PO.

**Podobnie umiarkowany komentarz wygłosił szef jego partii.** „Dziś w USA kończy się era populizmu i szaleństwa w polityce. Ameryka wraca na tory demokracji i poszanowania praw człowieka. To sygnał dla wszystkich autokratów, którzy sądzą, że będą rządzić wiecznie. Wszystko ma swój koniec. Każdy, kto łamie prawo, musi zostać rozliczony" – stwierdził Borys Budka.

**Prawa strona nie pozostała dłużna.** „Jednak przykro, że nikt z nowej administracji nie pomyślał, aby zaprosić Kim Kardashian i Paris Hilton ;(" – skomentował występy Lady Gagi i Jennifer Lopez Joachim Brudziński. Z żartem ruszyli też satyrycy. „Dobrą ksywą dla Joe Bidena będzie Bidon. Józek Bidon" – ogłosił dumnie Ryszard Makowski.

**Skoro już się pośmialiśmy, to wróćmy do wzruszeń. „Jak wiecie, nie dało się obejrzeć inauguracji Bidena bez łez ze wzruszenia.** Ja na 18.00 miałam wizytę u stomatologa, chwilę z uroczystości oglądałam jeszcze w poczekalni, weszłam więc na wizytę cała we łzach, a lekarz na to: – Beata?! Co jest?! Przecież Ty się nie boisz dentysty" – napisała jedna z internautek. „Plomby wstały i zaczęły klaskać" – skomentowano jej wpis.

**Na koniec wieści z naszego podwórka.** „Mam nadzieję, że Joanna Mucha przesiadła się po prostu do innego wagonu w tym samym pociągu jadącym do tego samego celu" – tak Tomasz Lis podsumował transfer posłanki Koalicji Obywatelskiej do świeżej siły na polskiej scenie politycznej – Ruchu Szymona Hołowni. Byli też mniejsi entuzjaści transferu. „Mucha była jednym ze słabszych ogniw PO. Niech zjeżdża" – przyznał „Fan Tomas Szary". Chłopaki, nie kłóćcie się. ©℗



eprasa.pl d9f679a473

FOT. PAWEŁ GROMADA

## TWARZ RAJSTOP EKOLOGICZNYCH

Dawno nie było nic słychać o Mai Sablewskiej. Wreszcie wyjaśniło się dlaczego. Otóż była menedżerka Dody, a teraz już samodzielna celebrytka przygotowywała się do nowego wyzwania. Właśnie z wielką ekscytacją poinformowała świat, że została twarzą rajstop. Nie jakichś tam zwykłych, o nie! Ona będzie twarzą rajstop ekologicznych! Sablewska za pośrednictwem serwisu Pudelek informuje, że te rajstopy powstają w procesie produkcyjnym, w którym zużywa się o 90 proc. mniej wody i emituje do atmosfery 80 proc. mniej dwutlenku węgla. „Zdajemy sobie sprawę, że przemysł odzieżowy musi zwolnić, a moda sama w sobie powinna reprezentować najwyższą jakość, abyśmy mogli czerpać z niej właściwe wartości" – podkreśla Maja. To pani Maja czerpie wartości z rajstop? To w sumie by wiele wyjaśniało.

## ŚMIESZYĆ KAŻDY MOŻE?

Satyryk Tadeusz Drozda zastanawia się, dlaczego żadna z telewizji nie chce korzystać z jego talentu i zatrudnić go w jakimś programie. Przypomnijmy, Drozda w latach 90. prowadził program „Śmiechu warte", a jeszcze wcześniej inne programy rozrywkowe, takie jak „Herbatka u Tadka" czy „Dyżurny satyryk kraju". – Ja mam dziesiątki pomysłów. Tylko telewizje nie tęsknią za mną. Co by nie mówić, jestem coraz starszy, a u nas wiek nie działa na korzyść – żali się portalowi Plejada. – W żadnym normalnym kraju taki facet jak Drozda po tylu sukcesach nie zniknąłby ot, tak z mediów. Żadna inna telewizja nie pozwoliłaby mi odejść. Trzymaliby mnie, za co tylko się da, bylebym tylko dla nich pracował – mówi Drozda. No sami przyznajcie, że czytając to, można się uśmiać do łez! Widać, pan Drozda najzabawniejszy jest wtedy, gdy nie żartuje. Co nie wróży dobrze jego karierze.

## CO KOMU SZKODZI

Edward Miszczak, dyrektor programowy TVN, ostatnio najbardziej znany z tego, że wraz z bandą celebrytów zaszczepił się bez kolejki razem z grupą 0, w której powinni się znaleźć jedynie lekarze i pracownicy medyczni, szuka roli dla Krystyny Jandy (która także, tak jak on, zaszczepiła się bez kolejki). Miał podobno poprosić scenarzystów współpracujących z TVN, by zaczęli myśleć o serialu pisanym specjalnie pod Jandę. Tak przynajmniej donoszą źródła Pudelka. Ponoć Miszczak poprosił wszystkich, by nie mówić na razie o tych planach, bo nie chce, żeby jego propozycję odebrano jako formę pomocy dla Jandy, która po sprawie szczepień znalazła się w ogniu krytyki. Niepotrzebnie się tak zamartwia. Teraz to Jandzie już nic bardziej zaszkodzić nie może. Nawet rola w serialu TVN.

## ZŁOWROGA PIZZA

Celebrytka Julia Wieniawa podzieliła się z fanami swoimi refleksjami na temat zdrowego odżywiania, diet i aktywności fizycznej. Do opowieści zainspirowała ją rozmowa z dietetyczką. – Odbyłam dwugodzinną rozmowę o zdrowiu i tak wiele z niej wyniosłam, że jestem super happy. Kto mnie zna, ten wie, że ja jestem freakiem zdrowotnym, biorę dużo suplementów, rano i wieczorem – zdradza Wieniawa.

FOT. VIPHOTO/EAST NEWS

Dalej mówi, że je trzy razy dziennie, a nie pięć, i ćwiczy jogę, zamiast biegać codziennie na siłownię. No i że czasem je pizzę. – Fast foody – to w ogóle odpada, są nafaszerowane GMO i hormonami. Moim cheat mealem jest pizza. Kiedyś? W ogóle nie do pomyślenia. Jak ktoś mi pokazywał pizzę na obrazku, to dostawałam ataku paniki. Teraz zmieniłam podejście i jest okej – podkreśla. Mamy podejrzenie, że jakieś 99 proc. społeczeństwa nie dostaje ataku paniki na widok pizzy. Że też dotąd nikt nie wpadł na pomysł, by się tym faktem pochwalić w Internecie? Same niemoty, widać.

## CZY WSZYSCY SŁYSZELI?

Prezenterka Agnieszka Popielewicz i jej mąż muzyk Grzegorz Hyży poinformowali, że porzucają Instagram. – My już od dłuższego czasu wychodzimy z założenia, że chcemy budować swoje życie zawodowe, jak i prywatne trochę w ciszy. Chcemy się bronić tym, co robimy zawodowo. Nie czujemy absolutnie potrzeby do tego, żeby dzielić się swoim życiem prywatnym, aby opowiadać codziennie, co się u nas dzieje. Wychodzę z założenia, że prawdziwe rzeczy, prawdziwe sytuacje, prawdziwe chwile dzieją się w ciszy – wyjaśnia Agnieszka. Gdzie? W obszernym wywiadzie dla plotkarskiego serwisu Jastrząb Post oczywiście. Samo skasowanie konta na Instagramie to za mało. Trzeba to jeszcze całemu światu oznajmić, bo inaczej się nie liczy. ©℗


eprasa.pl d9f679a473

eprasa.pl 0986794473

# MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, zalało nam całego fejsika i twittera informacjami, iż Jerzy Brzęczek został zwolniony z funkcji selekcjonera piłkarskiej reprezentacji Polski. Pragniemy nieśmiało zauważyć, iż znów zaprzepaściliśmy szansę na epokowe zmiany związane z wyłanianiem reprezentacji kraju, której występy ekscytują januszy, wyzwalają pokłady agresji i brzydkiego słownictwa.

Otósh następcą Brzęczka został kolejny biały heteroseksualny mężczyzna, ale przynajmniej z Portugalii.

Czy jednak na pewno potrzebowaliśmy jakiegoś selekcjonera? Zwłaszcza iż z założenia jest to wyjątkowo niewdzięczna rola – polega przecież na wybieraniu jednych kosztem drugich, dzieleniu na lepszych i gorszych, przydatnych i nieprzydatnych. Okropny fashysm. A jeśli już, to nie moglibyśmy mieć selekcjonerzyni? Która poszłaby pod prąd męskiej dominacji w świecie piłki nożnej i dowiodła, iż można na ludzi patrzeć inaczej niż tylko przez pryzmat płci, wieku i umiejętności? Zdecydowanie więcej kompetencji miękkich nam potrzeba na tym stanowisku, a wyniki pójdą za tym same, iż ograniczenia istnieją tylko w głowach.

À propos ograniczeń, to jak tam – edukujecie się zdalnie w czasie pandemii za pomocą webinarów na portalach dla profesjonalistów, e-kursów czy – w przypadku mieszkańców Polski Wschodniej – kursów korespondencyjnych?

My w trakcie pandemii ogarnęliśmy już kilka specjalistycznych certyfikatów, od zdobycia trzech gwiazdek w kursie urządzenia ergonomicznego stanowiska pracy zdalnej (jak zminimalizować liczbę ruchów ręką niezbędnych do sięgnięcia po kubek, które można wykorzystać do skopiowania kolejnych komórek Excela) do szkolenia z kreatywnych podpisów w e-mailach, które o 1000 proc. zwiększą response rate naszych mailingów.

Niestety jedno ze szkoleń odbyliśmy za pomocą e-maili, co złośliwy Nowy z Tarnowa nazwał kursem korespondencyjnym i miał z nas czelność się śmiać, czy wysłaliśmy też kartki na święta. Na szczęście mieliśmy w zanadrzu argument, iż przez e-maile prowadzi się e-korespondencję, więc sorry, ale nikt nam nie wmówi podkarpacia.

A jak tam Wasze postanowienia noworoczne? Naszym zdaniem, skoro minęło już dwadzieścia kilka dni stycznia, to chyba można dać sobie z nimi już spokój xD

Zresztą postanowienia są dla ludzi o słabej woli, a my całkowicie kontrolujemy swoje potrzeby, także dzięki odbyciu szczegółowego kursu rozpoznawania swoich potrzeb, który co prawda kosztował nas pół rocznej premii, ale unaocznił, iż naszą potrzebą nie jest odbywanie tego rodzaju kursów. Zawsze to dobrze dowiedzieć się o sobie czegoś nowego i wartościowego, co nie? ©℗

***FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO***

## PODSŁUCHANE

# Nobel dla Bańdena

**Borys, niedobrze jest. Sondaże stoją, Aśka idzie do Hołowni, coś trzeba zrobić.**
Wiem, Kaśka, wiem. O, może zrobimy konferencję prasową o zdradzie politycznej Aśki. I że PiS jest zły.

**Sto dziewięćdziesiąty ósmy raz? To nie działa.**
Ale jak: sto dziewięćdziesiąty ósmy? Przecież Aśka pierwszy raz od nas odchodzi.

**Nie Aśka, tylko PiS, że jest zły... Zresztą nieważne. Nie działa i tyle, coś nowego trzeba wymyślić.**
To może jakaś akademia na cześć Bańdena?

**On się Bajden nazywa. Jaka znowu akademia?**
No, że nadzieja wolnego świata, że czekamy tu na pomoc...

**Żeby znowu było, że ulica i zagranica? Nie działa.**
O matko, to już nie wiem! To wystąpmy, żeby mu Nobla przyznali. Bańdenowi znaczy.

**Żeby Schet za chwilę gadał, że nic własnego nie umiemy wymyślić? Przecież już Obama miał Nobla.**
Ha! Ale Obama miał pokojowego. A my wystąpimy, żeby Bańdenowi przyznali literackiego! Szach i mat!

**A on coś napisał?**
Coś na pewno, taki stary facet musiał coś napisać. Musimy to tylko znaleźć. ©℗

***Łukasz Warzecha***

## OD RZECZY

**„Generalnie są dwa sposoby rozwiązywania kryzysu demograficznego. Pierwszy to zwiększenie liczby narodzin. Wiele wskazuje na to, że PiS zdecydował się na ten drugi sposób"**

***TOMASZ LIS,*** *publicysta, na Twitterze*



eprasa.pl d9f679a473

REKLAMA

# WIELKIE SEKRETY ARCYDZIEŁ SZTUKI

## Wyrusz w porywającą podróż tropem geniuszu artystów

- Kto stworzył kryształową Czaszkę Zagłady?
- Klątwa terakotowej armii.
- Co wywołało wizje Hieronima Boscha?
- Czego obawia się postać z obrazu Krzyk?

...i wiele innych tajemnic arcydzieł sztuki!

PREMIERA 20 STYCZNIA

KSIĄŻKA DO KUPIENIA W: WWW.XLM.PL

PATRONATY MEDIALNE:

ŚWIAT REZYDENCJI WNĘTRZ & OGRODÓW

HISTORIA.ORG.PL

HIST MAG .ORG

REKLAMA

eprasa.pl d9f679a473

# dwaj panowie g

Tadaaaam! Żegnamy Dobrego Donalda Z Waszyngtonu, witamy jego następcę na amerykańskim tronie cierniowym. Byliśmy w kropce, gdyż nie wiemy za bardzo, jak pisać o nowym prezydencie. Wszystko przez to, że za młodu wychowano nas w opresyjnym reżimie patriarchalnym. I uczono, że nie należy naśmiewać się z ludzi, którzy z powodu bardzo zaawansowanego wieku mają rozmaite zaawansowane problemy. Wychodzi na to, że nie możemy niczego napisać o Wujku Joe!

Na szczęście zdjęto z nas wszelkie rozterki, a uczyniła to Katarzyna Lubnauer de domo Nowoczesna, obecnie Obywatelska, która wyraziła nadzieję, że Wujek Joe Biden szybko zostanie zastąpiony kuzynką Kamalą Harris, czyli taką amerykańską Lubnauer, obecnie wiceprezydent. Ponieważ prezydent USA może zostać zastąpiony wiceprezydentem, gdy temu pierwszemu się zemrze, czujemy się po wystąpieniu Lubnauer zwolnieni z hamulców.

Zabawna rzecz – mało kto zauważa, że Dobry Donald z Waszyngtonu jest zaledwie o cztery lata młodszy od Wujka Joe, a wygląda i zachowuje się, jakby był młodszy co najmniej o pokolenie. Przyjmujemy ten fakt za ostateczny dowód na to, że życie pełne bezpruderyjnych kobiet, rozmaitych używek, hazardu, szastania dolarami oraz niezbyt mądrych decyzji jest dużo zdrowsze od życia zawodowego urzędnika.

Wielu obawia się, że Wujek Joe nie będzie już takim przyjacielem Polski jak Dobry Donald z Waszyngtonu. Pocieszamy. Nasze służby dokonały analizy i odkryły, że w amerykańskiej administracji i służbach pod nowymi rządami będzie roiło się od rusofobów. To chyba nie najgorzej. A podobno sam Wujek Joe to człowiek, któremu po drzewie genealogicznym poniewiera się szczep piastowy. Z tego ostatniego jednak nie wyciągalibyśmy zbyt daleko idących wniosków. Merkel też miała polskich przodków. I co z tego?

Przy okazji: Polska trendsetterem narodów! Prezydent Wujek Joe zaczął urzędowanie od odkręcania różnych decyzji Dobrego Donalda z Waszyngtonu. Czyli okazuje się, że cała amerykańska opozycja wobec Trumpa była jedynie takim anty-Trumpem, tak jak u nas Eine Totalopposition jest anty-PiS-em, którego program składa się z jednego punktu: odkręcać! Nic z tego, kochani, najpierw tę śrubę jeszcze się przykręci.

Tymczasem w kraju. W ministerialnych szeregach rodzi się bunt przeciw ograniczeniom COVID-owym i to na najwyższym szczeblu. Na skutek ograniczeń niektórzy członkowie rządu zaczęli bowiem głodować. Serio. Otóż w czasach przed zarazą wielu najwyższych urzędników niedobór kalorii uzupełniało, jedząc na mieście. Korzystali już to z zaproszeń, już to z funduszu reprezentacyjnego. Jedli, popuszczali pasa i naśmiewali się z tych resortów, które mają własne stołówki. No, a w koronawirusie to się skończyło.

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Na szczęście Polak potrafi! W czasach zarazy stołówki ministerialne mogą funkcjonować (choć w reżimie sanitarnym). W tej sytuacji wykształcił się nowy obyczaj: ministrowie, którzy mają swoje stołówki, zaczęli zapraszać swoich kolegów bezstołówkowych na konsultacje międzyresortowe w porach obiadowych przy suto zastawionych stołach. Rację miał premier Mateusz, mówiąc, że najważniejszą szczepionką przeciw pandemii jest solidarność!

Czasami ktoś pojawia się bardziej atrakcyjny, kuszący, oferujący fajerwerki – skomentował samokrytycznie Borys Budka transfer Dżołany Muchy z Platformy do Polski 2050. I my się z nim zgadzamy. Szymon ma więcej włosów, ma niezły bajer i w ogóle jest bardziej atrakcyjny. A i fajerwerków nigdy się po Borysławie nie spodziewaliśmy.

Nie rozumiemy narzekających na to, że Dżołana Mucha, wieloletnia twarz podupadłej Peło, mało się nadaje na nową jakość w polskiej polityce obiecywaną przez Szymona. Otóż właśnie nadaje się idealnie. Jaka nowa jakość, takie transfery.

Zabawna rzecz: w drukowanej wersji wywiadu z innym nowym nabytkiem Szymona 2050, czyli senatorem Jackiem Burym, „Rzepa" nazwała go Janem Burym. Niby drobne przejęzyczenie, a jakże znaczące. Też w kontekście nowej jakości. Przejęzyczenia i literówki to sposób, w jaki rzeczywistość przebija się przez medialny szum. Na przykład kiedyś pewien duży portal nazwał wpływowych ludowców „działaczami PRL", zamiast „działaczami PSL". I czy można się temu dziwić?

Tymczasem Mark Zuckerberg nie śpi po nocach. Wszystko za sprawą Polski, gdzie Tomasz Sakiewicz, szef GazPolu, założył własnego Facebooka. SakBook ma być miejscem wolnej i nieskrępowanej debaty bez cenzury, zapewne dlatego pojawiło się na nim mnóstwo kont o nazwie „j…ć PiS". Oficjalna nazwa serwisu to Albicla. Teraz amerykańscy kapitaliści i cenzorzy mają dwóch wielkich przeciwników zamorskich: Al-Dżazirę i Al-Biclę.

À propos tropów bliskowschodnich. We wrześniu ubiegłego roku głośno było o historii niejakiego Omara. Syryjczyka przedstawianego jako dziennikarz. Nasze media rozpętały histerię, że trzeba mu pomóc, bo go zaraz zabije reżim Al-Asada. Omar dostał więc azyl w Polsce. Do sprawdzania gościa zabrano się dopiero poniewczasie. Może dlatego, że już dorobił się w Polsce Niebieskiej karty. Z dochodzenia służb wyszło, że wszystko, co o Omarze wiadomo, pochodzi z jego opowieści i nie pokrywa się z rzeczywistością. Tymczasem dziennikarze, którzy rozpętali całą histerię, dostali za nią nawet nagrodę z Press Clubu. Gratulujemy. ©℗


eprasa.pl d9f679a473

# WIZJONERZY

## ZDROWIA 2021

## „PRZYSZŁOŚĆ OCHRONY ZDROWIA W POLSCE 2021–2023"

**NAGRODY DLA WYBITNYCH OSOBOWOŚCI**
ŚWIATA MEDYCYNY ORAZ SYSTEMU OCHRONY ZDROWIA,
LUDZI, KTÓRZY ZMIENIAJĄ POLSKĄ MEDYCYNĘ
I OPIEKĘ NAD PACJENTAMI.

**INFORMACJE I ZGŁOSZENIA DO NAGRODY NA:**
**dorzeczy.pl/wizjonerzy-zdrowia**

PARTNER STRATEGICZNY

ORLEN

eprasa.pl d9f679a473

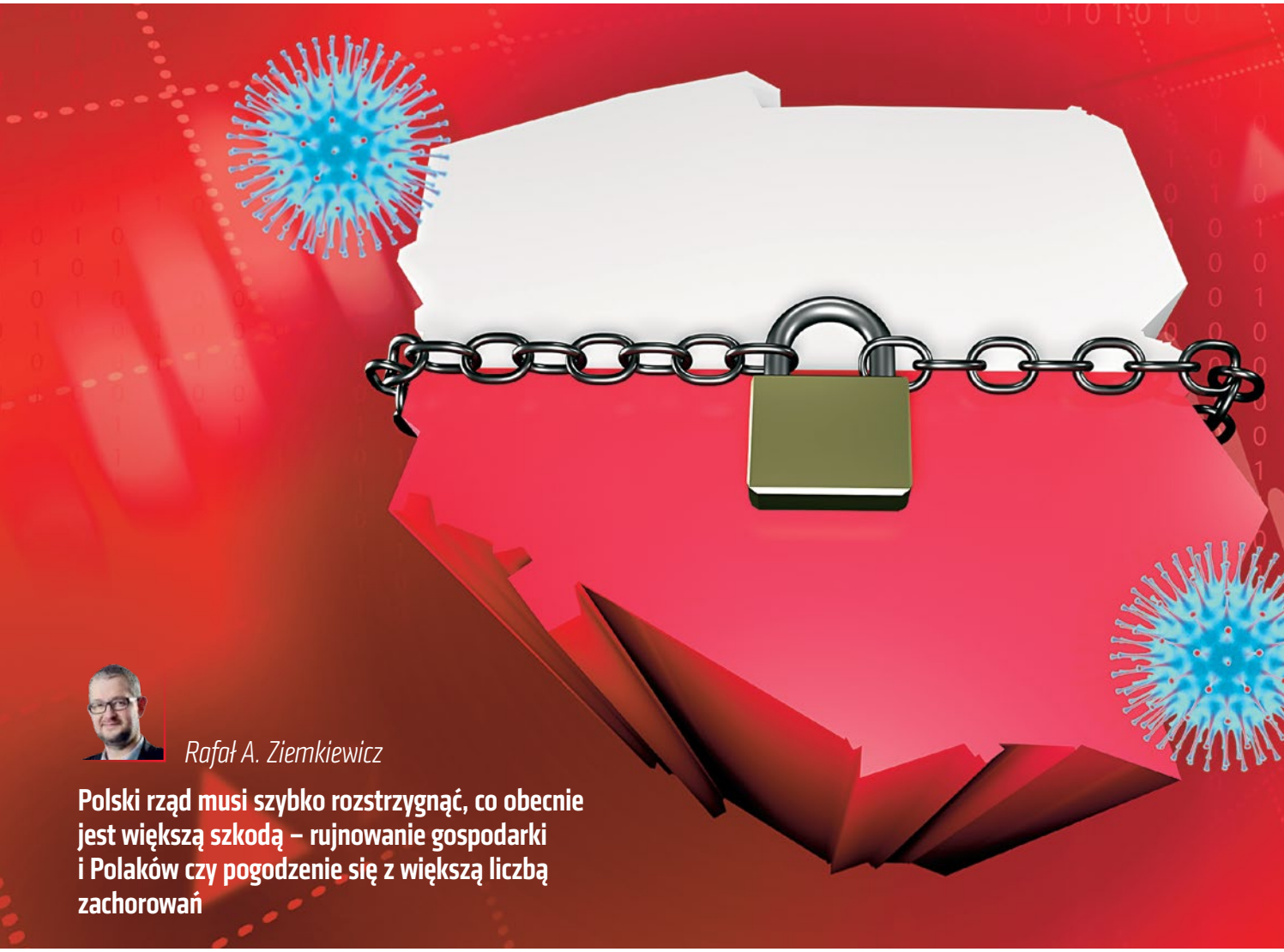

Rafał A. Ziemkiewicz

**Polski rząd musi szybko rozstrzygnąć, co obecnie jest większą szkodą – rujnowanie gospodarki i Polaków czy pogodzenie się z większą liczbą zachorowań**

# Lockdown myślenia

Zwolennicy walki z epidemią za pomocą lockdownów, zamykania ludzi w domach, wprowadzania godziny policyjnej, a nawet – jak zapowiedziały ostatnio Niemcy – wtrącania niechcących się podporządkować restrykcjom do obozów, znajdują właściwie tylko jeden argument: wszyscy tak robią, na całym świecie!

To prawda, może nie na naszym świecie, ale w państwach demokratycznych w mniejszym lub większym stopniu wszyscy tak robią. Pytanie: Czy dlatego, że to jest dobre, że się sprawdza, czy może z jakichś innych powodów?

Na zdrowy rozum lockdown, zatrzymanie życia społecznego i gospodarczego, by do minimum ograniczyć transmisję wirusa, ma sens tylko w pierwszej fazie epidemii. Wtedy, gdy jest jeszcze nadzieja na wyizolowanie ognisk zakażeń, określenie kontaktów osób zarażonych i tym samym przecięcie dróg transmisji wirusa. I kiedy walczy się o czas, by móc zbadać zagrożenie i opracować sposoby radzenia sobie z nim, zanim osiągnie większe rozmiary.

Tak właśnie zadziałał lockdown w społeczeństwach azjatyckich – w Chinach, gdzie wirus uderzył po raz pierwszy, w Korei Południowej czy na Tajwanie. Problem w tym, że zastosowano tam tak orwellowskie i drastyczne metody kontroli społeczeństwa, że ich skopiowanie w krajach cywilizacji europejskiej nie wchodziło w grę. Stąd też z krajów naszego kręgu kulturowego jedynymi, które zdołały powtrzymać rozwój epidemii na dłużej, były te położone na wyspach – takie jak Nowa Zelandia czy Islandia.

W porównaniu z Chinami czy Koreą nasze lockdowny były cząstkowe, spóźnione – i w związku z tym nieskuteczne. Spowolniły tylko, a i to nie wszędzie, rozwój epidemii. W Polsce, gdzie „przykrę-



eprasa.pl d9f679a473

FOT. ADOBE STOCK

cenie śruby" wiosną 2020 r. było szybsze i mocniejsze niż w większości krajów, kupiliśmy kosztem gwałtownego wzrostu zadłużenia państwa kilka miesięcy beztroski w połowie roku. Niestety, ponieważ wszystko zdominowała polityczna krótkowzroczność, nie wykorzystaliśmy tego czasu do rozsądnego przygotowania się na kolejną falę zachorowań, której należało się spodziewać na jesieni. Nie wzmocniono służby zdrowia, nie pomyślano o reorganizacji systemu „covidowych" szpitali ani o stworzeniu mechanizmów selekcji przypadków chorobowych w taki sposób, by służba zdrowia była w stanie w porę udzielić pomocy osobom, których stan się pogarsza, zamiast „się korkować" wielką liczbą pacjentów przechodzących chorobę lekko i niewymagających tak naprawdę hospitalizacji. Nie pomyślano nawet o wzmocnieniu sanepidu, która to inspekcja obarczona została nagle zadaniami tak bardzo przerastającymi jej siły, że w krytycznym momencie nie tylko nie była w stanie skutecznie monitorować kontaktów zdiagnozowanych testami osób zakażonych, lecz także nawet odbierać telefonów.

W efekcie, gdy po powrocie dzieci do szkół liczba oficjalnie odnotowanych zakażeń zaczęła nagle rosnąć, rządowi nie pozostało nic innego, niż sięgnąć ponownie po, wydawało się, sprawdzony środek: zaostrzenie epidemicznych restrykcji i zamykanie wszystkiego, co tylko da się zamknąć.

Ale tak samo nie zawsze oznacza to samo. Lockdown jesienny w porównaniu z lockdownem wiosennym to zupełnie inna sprawa.

## CHAOS PO RAZ DRUGI

Przede wszystkim mocno zmieniły się społeczne nastroje. Wiosną większość Polaków odczuwała zrozumiały strach przed nieznanym. Obawy, ale nie tylko one, także nadzwyczajność całej sytuacji, sprawiały, że bez problemu wybaczano władzy prawny chaos i działania podejmowane „w żadnym trybie", w oparciu o tzw. chłopski rozum, a nie ustawy i konstytucję. Po części zresztą obecna władza odziedziczyła ten chaos po poprzednikach – ustawa o „stanie zagrożenia epidemiologicznego", czyli de facto stanie wyjątkowym bez ogłaszania stanu wyjątkowego w sensie konstytucyjnym, była przecież dziełem PO z czasów, gdy obawiano się kosztów i politycznych szkód w związku z oczekiwaną epidemią „ptasiej grypy". Ale też PiS z „by-passów" Tuska skorzystał bardzo chętnie, a większość społeczeństwa dyskusję o legalności działań rządu i żądanie wprowadzenia stanu klęski żywiołowej uznała za część politycznej gry o wybory, więc sprawę zignorowała.

Zupełnie inaczej wygląda to teraz, kiedy epidemia została już w znacznym stopniu „oswojona", dolegliwość utrzymywanych przewlekle restrykcji znacznie wzrosła, a coraz większej liczbie Polaków zaczęło zaglądać w oczy widmo bankructwa. Zaczęło się zaskarżanie epidemicznych restrykcji do sądów, które – jak należało się spodziewać – stają po stronie skarżących. I choć akcje w rodzaju „Otwiera-MY" czy „Góralskie veto" nie zyskały takiego zasięgu, na jaki liczyli organizatorzy, to każdy zgodzi się, że potencjał buntu wobec działań rządu narasta i – jak to zwykle bywa ze społecznymi protestami – może wybuchnąć w najmniej oczekiwanym momencie.

Rządowa strategia załamała się w momencie, gdy odstąpiono od przedstawionego wcześniej, zrozumiałego dla przeciętnego Polaka systemu ograniczeń – strefy zielone, żółte, czerwone, zależnie od raportowanej w regionie liczby zakażeń restrykcje są zaostrzane lub łagodzone. W pewnym momencie wszystko to zostało spektakularnie zarzucone, restrykcje zaostrzono właśnie w momencie, gdy liczba zakażeń, oficjalnie, bardzo spadła. Oczywisty chaos – na przykład z obostrzeniami sylwestrowymi, które raz były „godziną policyjną", raz „apelem", to znowu ogłaszano, że za zignorowanie tego apelu będą kary (ostatecznie chyba żadnego mandatu nie wystawiono) – też sprawy nie poprawił, podobnie jak ignorowanie czy obchodzenie restrykcji przez samych rządzących. Ale to nie nagłaśniane w mediach sprawy, takie jak z Jadwigą Emilewicz, podkopały wiarę Polaków w sens lockdownu, tylko właśnie odejście przez władzę od wcześniej ogłoszonych założeń.

Co ono bowiem oznacza? Że rząd przyznaje, iż oficjalne dane o liczbie zakażeń nie mają związku z rzeczywistością. Skoro nie naprawiono wadliwego systemu, w którym szpitale, mając za pacjentów z COVID płacone „od sztuki", zatykają się chorymi z lekkimi objawami, to Polacy wzięli sprawy w swoje ręce i po prostu przestali się zgłaszać do sanepidu po kontakcie z chorym (i tak się zresztą dodzwonić nie sposób), a także zgłaszać się do testów przy lekkich objawach, nawet tak jednoznacznie wskazujących na koronawirusa jak utrata smaku i węchu. Po 10 miesiącach walki z zarazą prawie każdy Polak ma już wśród bliższych i dalszych znajomych ozdrowieńców, a że większość przechodzi chorobę lekko, nagłaśniane w mediach przypadki ciężkie nie równoważą pokusy „ten, ten i tamten też to mieli i nic, po co pakować się w te wszystkie kłopoty, może i mi się jakoś upiecze". Lekarza wzywa się dopiero, gdy pojawiają się poważniejsze objawy.

## UTRACONY SENS OGRANICZEŃ

Według najnowszych szacunków liczba infekcji bezobjawowych może być znacznie większa, niż dotąd sądzono. Chińczycy podali ostatnio, że przesiewowe badania mieszkańców Wuhan pod kątem przeciwciał wykazały, iż zakażenie przeszła osiem razy większa ich liczba, niż wcześniej sądzono. Mniej więcej w tym


eprasa.pl d9f679a473

samym czasie nasi naukowcy z Centrum Modelowania Uniwersytetu Warszawskiego, ekstrapolując wyniki badań przesiewowych wśród nauczycieli, ogłosili, że analogiczna różnica w Polsce jest nawet większa – 15 mln Polaków, którzy faktycznie przeszli zakażenie, do 1,4 mln przypadków w oficjalnych statystykach.

Nawet jeśli te szacunki są przesadzone, to nie ulega wątpliwości, że wirus od dawna hula po kraju na całego, jest praktycznie wszędzie i w każdym środowisku, i nie tylko izolowanie ognisk choroby, ale nawet spowalnianie transmisji wirusa metodą „zamrażania" gospodarki i życia społecznego straciły już sens.

Owszem, zamykanie całych branż, rujnowanie ich wraz z całym łańcuchem podwykonawców (na przykład zamknięcie hoteli, nie wiedzieć czemu potraktowanych w Polsce najsurowiej na świecie, pociąga za sobą bankructwa pralni i kateringów) może spowalniać chorobę, ale też, biorąc sprawę na zdrowy rozum, w coraz mniejszym stopniu. Nie tylko ministrowie mają dość sprytu, żeby obchodzić restrykcje, które coraz więcej Polaków uważa po prostu za bezsensowne – czego symbolem stały się na przykład pustawe sklepy w galeriach handlowych (limit!), przed którymi na wejście oczekiwał, wymieniając się w najlepsze oddechami, gęsty tłum klientów.

W tej sytuacji walka z koronawirusem poprzez lockdown coraz bardziej przypomina beznadziejne próby łapania dymu w siatkę na motyle. Albo, gorzej jeszcze, opędzania się od ataku os kanonadą z armat. Osy nie ustępują, natomiast z każdą chwilą rosną spustoszenia.

Każdy tydzień ostrych restrykcji przybliża falę bankructw, której skutkiem będzie między innymi wielkie wywłaszczenie Polaków z majątku, który z wielkim trudem zdołali w ostatnich 30 latach odtworzyć po masowej grabieży pierwszych lat „transformacji ustrojowej". Być może majątek ten, firmy, nieruchomości, oszczędności, przejdzie na własność wielkich koncernów i banków – to najbardziej prawdopodobne, być może rząd zamierza stworzyć narzędzia do przejmowania go przez państwo – tak czy owak jest to dla Polski katastrofa.

Zadłużanie państwa też przecież nie może nie przynieść w przyszłości poważnych kłopotów. Szczególnie wobec przystąpienia przez rząd PiS do „wspólnego długu" Unii Europejskiej, co już samo w sobie w dalszej perspektywie stanowi zagrożenie dla naszej suwerenności. Koszty ludzkie też stale rosną, to nie tylko odnotowywane już w statystykach samobójstwa, załamania nerwowe i wzrost zachowań agresywnych, szczególnie w rodzinach, to także ogromna nadumieralność Polaków, u których w porę nie zdiagnozowano nowotworów i chorób krążenia, bo cała służba zdrowia została przestawiona na walkę z koronawirusem. Liczba „niecovidowych" zgonów wzrosła w ubiegłym roku o 70 tys., co znaczy, że było ich dwa i pół razy więcej niż według oficjalnych statystyk tych spowodowanych chorobą.

W nieskończoność „mrozić" gospodarki nie można – chyba że świadomie wybieramy wariant, „żeby operacja się udała, pacjent musi umrzeć". Z kolei, kiedy się ich wypuści, wszystko wróci do stanu sprzed zamknięcia, bo przecież wirus, w przeciwieństwie do biznesu, od lockdownu nie ginie, tylko nieco spowalnia.

A zbudowanie odporności populacji przez jej „wyszczepienie" możliwe jest najwcześniej na jesieni – i to przy dwóch optymistycznych założeniach. Po pierwsze, że dostawcy wywiążą się z zobowiązań, z czym na razie jest kłopot, a mechanizm wspólnego zarządzania szczepionkami przez organa UE zda egzamin, powstrzymując sprzątnięcie ich nam sprzed nosa przez kraje bogatsze, co też nie jest pewne. I po drugie, że do jesieni nie objawi się jakiś nowy wariant koronawirusa, przed którym szczepienie okaże się już nie zabezpieczać, jak to zwykle jest co roku z bliskim COVID-19 wirusem grypy. Nawet jeśli wszystko pójdzie dobrze, to „nim słońce wzejdzie, rosa oczy wyje".

## SZACOWANIE SZKODY

Odpowiedzialna władza nie może uciec od kalkulacji, co jest większą szkodą – lockdown czy rezygnacja z niego i pogodzenie się z większą liczbą zachorowań. Wiemy już przecież, że śmiertelność na COVID-19 wynosi ok. 2 proc. liczby zachorowań (albo 0,02 proc. zakażeń, jeśli szacunki CM UW są prawidłowe), a specjalistycznej pomocy medycznej wymaga nie więcej niż 20 proc. pacjentów, u których rozwinęły się objawy zakażenia. Przy sprawnej organizacji da się nad tym zapanować. Oczywiście sprawna organizacja to właśnie to, z czym u nas zawsze najgorzej, ale roztropniejsze gospodarowanie siłami marnowanymi dotąd na wymuszanie przestrzegania restrykcji mogłoby pomóc.

Tylko że problem nie leży przecież w dającej się racjonalnie przeprowadzić kalkulacji ryzyka. Pandemia COVID-19 jest tak naprawdę kryzysem nie zdrowotnym – doprawdy, jeszcze 20 lat temu taką pandemię po prostu by ludzkość przechorowała i szybko zapomniała o jej ofiarach – ale społecznym i politycznym. Obnażającym słabość systemu „demokracji liberalnej" w dobie mediów, żyjących z wprawiania ludzi w histerię i intensyfikowania jej do granic możliwości. W dodatku połączonej z upowszechnieniem modelu życia podporządkowanego konsumpcji i hedonizmowi, odartego z perspektywy metafizycznej i zastępującego wiarę w Boga wiarą w to, że na każdy nawet najmniejszy problem musi, po prostu musi znaleźć się pigułka dająca szybkie rozwiązanie, a co najmniej ulgę.

Dlaczego, wróćmy do kwestii postawionej na wstępie, „wszyscy tak robią"? Bo wszędzie obywatele, wyborcy, dzień w dzień atakowani są obrazami prowizorycznych kostnic oraz liczbą dziennych zakażeń i wszędzie masy te żądają od swych demokratycznie wybranych władz, żeby „coś robiły". A jedyne, co władze mogą zrobić – i tu akurat podnoszący ten argument mają rację – jest lockdown, restrykcje, godzina policyjna etc. Być może (obecnie już na pewno) przynoszące więcej szkody niż pożytku, ale przywracające obywatelom poczucie bezpieczeństwa skuteczniej niż nie tak namacalne „mniejsze zło". Zrozumiał to Borys Johnson, który po pierwszych kilku tygodniach, w których próbował kierować się zdrowym rozsądkiem, musiał gwałtownie zmienić realizowaną politykę. Nie zrozumiał Donald Trump i dlatego właśnie mimo rekordowej liczby zdobytych głosów został zmuszony do odejścia z Białego Domu. Zrozumieli to nawet przywódcy Szwecji, którzy, jakkolwiek po długim oporze, także poddali się fali nastrojów, ku uldze innych polityków, którym Szwecja nieco psuła uniwersalne uzasadnienie, że „wszyscy tak robią".

Pytanie: Czy oczekiwania Polaków wobec własnego państwa nie są nieco inne niż w rozpieszczonych latami dobrobytu i sprawnego działania państwowej maszynerii społeczeństwach Zachodu? Czy naprawdę, w imię ratowania się przed gospodarczą katastrofą, nie jesteśmy w stanie zaryzykować innej polityki niż obecna, prowadząca nieuchronnie do fali bankructw, wywłaszczeń i zadłużenia, które przygniecie następne pokolenia?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



eprasa.pl d9f679a473

Demonstracja przeciw zamykaniu gospodarki, Warszawa, 11 listopada 2020 r.

FOT. ADAM CHEŁSTOWSKI/FORUM

*Tomasz Cukiernik*

# Demolowanie gospodarki

**W porównaniu z wcześniejszymi pandemiami obecne zagrożenie jest stosunkowo niewielkie i nie powinny być wprowadzane rygorystyczne zakazy, których rezultatem jest szybkie wyniszczanie gospodarki**

Światowa Organizacja Zdrowia ogłosiła pandemię COVID-19 11 marca 2020 r., co doprowadziło przede wszystkim do radykalnego ograniczenia w przemieszczaniu się ludzi pomiędzy krajami. Wcześniej pierwszy lockdown wprowadziły Chiny. To w tym kraju po raz pierwszy pojawił się wirus SARS-CoV-2. 23 stycznia 2020 r. rząd centralny ChRL nałożył blokadę na 11-milionowe miasto Wuhan, skąd koronawirus ruszył na podbój świata, a dzień później na 12 dużych innych miast prowincji Hubei. Poważnie ograniczono transport w Wuhan, Huanggang i Ezhou, w tym m.in. zamknięto autobusowy transport publiczny, kolejowy, lotniska i główne autostrady. Liczba podróżnych spadła o ponad 90 proc. 13 lutego chiński rząd przedłużył nakaz zamknięcia wszystkich mniej istotnych firm, w tym zakładów produkcyjnych w prowincji, do 20 lutego. Następnie władze przedłużyły lockdown (włączając w to szkoły) do 10 marca. Ale już 14 marca w prowincji Hubei (poza Wuhan) zaczęto znosić zakazy i stopniowo wznawiano pracę przemysłu. 25 marca zniesiono lockdown w prowincji poza Wuhan, a 8 kwietnia również w tym mieście. Światowa Organizacja Zdrowia stwierdziła, że próba powstrzymania funkcjonowania miasta wielkości Wuhan jest „nowością w nauce". W tym okresie również inne chińskie regiony administracyjne podlegały blokadom. Z kolei już w styczniu 2021 r. po zdiagnozowaniu nowych 39 przypadków koronawirusa



eprasa.pl d9f679a473

w mieście Shijiazhuang nałożono lockdown na prawie 11 mln ludzi, a w całej 76-milionowej prowincji Hebei wprowadzono ograniczenia w podróżowaniu.

## PO CHINACH – WŁOCHY

Drugim krajem, który wprowadził lockdown w związku z koronawirusem, były Włochy. Pierwsze blokady wprowadzono pod koniec lutego 2020 r. i objęły one 10 gmin w prowincji Lodi w Lombardii oraz jedną gminę w prowincji Padwa w Wenecji Euganejskiej. Zamknięto szkoły, dworce i miejsca pracy oraz zabroniono zgromadzeń publicznych. Mieszkańcom (w sumie ok. 50 tys. osób) pozwolono opuszczać swoje domy tylko w celu zaopatrzenia się w żywność i lekarstwa.

8 marca 2020 r. premier Giuseppe Conte ogłosił rozszerzenie strefy kwarantanny na większość północnych Włoch. Objęła już ponad 16 mln ludzi. Ograniczono podróżowanie, zakazano organizowania pogrzebów i wydarzeń kulturalnych, a w restauracjach, kościołach i supermarketach nakazano zachowywać co najmniej metr odległości. Zamknięto baseny, siłownie czy muzea, a przedsiębiorców zachęcano, by umożliwiali pracownikom pracę zdalną z domu. 9 marca środki kwarantanny zostały rozszerzone na cały kraj i zaczęły obowiązywać od następnego dnia. W przemówieniu telewizyjnym premier Conte wyjaśnił, że przemieszczanie się jest ograniczone do spraw służbowych i nagłych wypadków rodzinnych, a wszystkie imprezy sportowe zostaną odwołane.

Włochy były pierwszym krajem, który wprowadził narodową kwarantannę po wybuchu epidemii koronawirusa w 2020 r. Blokadę tak zaostrzono, że zamknięto wszystkie firmy z wyjątkiem tych świadczących podstawowe usługi, takich jak sklepy spożywcze i apteki. 11 marca zamknięto restauracje, a 22 marca – fabryki, które nie wytwarzają niezbędnych produktów.

Następne lockdowny wprowadzały: Mongolia, Dania, Salwador, Irlandia, Albania, Bułgaria i Polska (od 15 marca). Stosunkowo długo przed wprowadzeniem lockdownu opierała się Wielka Brytania. 16 marca premier Boris Johnson jedynie odradził wszystkim „zbędne" podróże i kontakt z innymi ludźmi, a także zasugerował, aby unikali pubów, klubów i teatrów oraz pracowali w domu, jeśli to możliwe. Kobiety w ciąży, osoby powyżej 70. roku życia i osoby z pewnymi schorzeniami były zachęcane do samoizolacji. 23 marca premier Johnson ogłosił, że środki mające na celu zwalczanie wirusa mają zostać zaostrzone w celu ochrony publicznej służby zdrowia. Wprowadzono hasło: „Zostań w domu, chroń NHS, ratuj życie". Jednak przepisy w tym zakresie weszły w życie dopiero trzy dni później, 26 marca.

Do początku kwietnia 2020 r. 3,9 mld ludzi – ponad połowa światowej populacji – znalazło się w jakiejś formie lockdownu. W połowie tego miesiąca w USA prawie 300 mln ludzi, czyli ok. 90 proc. populacji, doświadczyło jakiejś formy zamknięcia, podobnie jak w Europie pod koniec kwietnia, gdzie było to ok. 300 mln mieszkańców kontynentu.

## SĄ I KONTESTATORZY

Niektóre państwa nie wprowadziły lockdownu – m.in. Szwecja, Brazylia czy Białoruś. W Szwecji, gdzie ograniczeń, jakie wiążą się z lockdownem, zakazuje konstytucja, oczekuje się od ludzi przestrzegania pewnych nieobowiązkowych rekomendacji wydanych przez Agencję Zdrowia Publicznego. Agencja zaleca pracę w domu, jeśli to możliwe, unikanie niepotrzebnych podróży po kraju, zachowanie dystansu społecznego, a osobom powyżej 70. roku życia pozostawanie w domu. Władze doszły do wniosku, że indywidualna odpowiedzialność i dobrowolne środki będą tak efektywne jak zakazy. Za radą agencji rząd ograniczył jednak zgromadzenia publiczne najpierw do 500, a potem do 50 osób, zakazał odwiedzin w domach opieki oraz zamknął szkoły średnie i uczelnie wyższe.

Z kolei prezydent Brazylii Jair Bolsonaro, który sam w lipcu 2020 r. przeszedł koronawirusa, od początku sprzeciwiał się wprowadzaniu jakichkolwiek zakazów, w tym podróży międzystanowych czy zamykania firm. Mówił także, że maski są nieskuteczne w ograniczaniu rozprzestrzeniania się choroby. Stał na stanowisku, że nie ma powodów do obaw, bo większość Brazylijczyków zaraża się wirusem i nic nie zauważa, a istotne jest to, by funkcjonowała gospodarka. Podobne zdanie wyraził prezydent Białorusi Alaksandr Łukaszenka, który w marcu podkreślał, że najważniejsze, by ludzie pracowali, a „traktor wyleczy wszystkich". Stwierdzał też, że w szkołach lepiej otworzyć okna, niż zakładać maski. W listopadzie na Białorusi wprowadzono jednak obowiązek noszenia masek w różnych regionach kraju, ale lockdownu nie ogłoszono. Nie zamknięto restauracji ani teatrów, a kibice mogli chodzić na mecze.

Pojawiają się hipotezy, że lockdown niekoniecznie jest skutecznym narzędziem w zarządzaniu pandemią, pewne jest natomiast, że to najgorsze rozwiązanie dla gospodarki. Należy też zwrócić uwagę, że sama blokada gospodarki – bezprecedensowa w skali świata – była możliwa ze względu na rozwój technologiczny, dzięki któremu przynajmniej przez jakiś czas dość spory odsetek populacji może funkcjonować bez pracy. Oczywiście ludzie żyją z oszczędności, które wcześniej czy później się wyczerpią, ale jeszcze nie tak dawno w podobnej sytuacji po prostu poumieraliby z głodu.

## PO TRUPIM ZADUCHU

Słownik Collinsa ogłosił „lockdown" słowem roku 2020. Zdefiniowano je jako „środki bezpieczeństwa, zgodnie z którymi osoby przebywające w budynku lub na jakimś terenie muszą tam pozostać przez pewien czas" oraz „nałożenie surowych ograniczeń na podróżowanie, kontakty społeczne i dostęp do przestrzeni publicznych".

Sytuacje kryzysowe towarzyszyły ludzkości już od starożytności. W V w. p.n.e. grecki lekarz Hipokrates doniósł o epidemii, która dotyczyła prawdopodobnie grypy. Szacuje się, że z kolei podczas pandemii dżumy Justyniana z VI w. n.e., która dotknęła Cesarstwo Bizantyjskie i rozprzestrzeniła się na znaczne obszary Europy i Azji oraz Afryki Północnej, śmierć mogło ponieść od 25 do nawet 60 proc. ówczesnej populacji. To właśnie wtedy zrodził się pomysł oddzielenia osób chorych od zdrowych. Kolejna śmiercionośna pandemia – tym razem dżumy – pojawiła się w Europie w połowie XIV w. W niektórych rejonach zmniejszyła populację nawet o 80 proc. Po wybuchu zarazy we Florencji w 1348 r. włoski pisarz Giovanni Boccaccio odnotował w swoim „Dekameronie", jak mieszkańcy miasta „dniem i nocą na ulicach padali, inni umierali w swoich domach, a sąsiedzi po trupim zaduchu dopiero o ich śmierci się dowiadywali". Wówczas we Włoszech jako część zorganizowanej reakcji


eprasa.pl d9f679a473

na sytuację zagrożenia zdrowia prawdopodobnie po raz pierwszy w historii zastosowano coś w rodzaju lockdownu. Urzędnicy zajęli się ograniczaniem ruchu ludzi w przestrzeni publicznej, a porty morskie nie przyjmowały statków. Władze próbowały zidentyfikować pierwszą osobę, która sprowadziła dżumę do miasta, i wyśledzić wszystkie jej kontakty oraz kontakty tamtych osób. Ludzie ci byli następnie izolowani przez 40 dni w ich domach lub w ośrodkach izolacyjnych poza miastem. Słowo „kwarantanna" pochodzi od włoskiego słowa „quarantino", które oznacza właśnie ten 40-dniowy okres.

Podczas kwarantanny we Florencji na początku 1631 r. mieszkańcy mogli co najwyżej wychodzić na balkony lub dachy swoich domów. Tworzono także kordony sanitarne, które uniemożliwiały przekraczanie przez podróżujących granicy państwa. W ten sposób całkowicie wstrzymywano też handel, co mocno uderzyło w gospodarkę. Podobne środki izolacyjne wprowadzano podczas wielkiej plagi Londynu w 1665 r. czy epidemii w Marsylii w 1720 r.

Bliższa naszych czasów jest pandemia grypy hiszpanki sprzed stu lat. Miała ona trzy fale w latach 1918–1919. Bardzo wysoką śmiertelnością charakteryzowała się druga fala tej zarazy. Umierała blisko jedna trzecia chorych. Grypa hiszpanka spowodowała śmierć ok. 50 mln ludzi na całym świecie. Z powodu trwającej jeszcze pierwszej wojny światowej władze przykładały większą wagę do działań militarnych niż do kwestii zwalczania choroby, co pozwoliło na jej szybsze rozprzestrzenianie się. Z tego względu starano się nie alarmować opinii publicznej, choć w niektórych miejscach zamknięto teatry, sale taneczne, kina czy kościoły. Władze nakazały również opryski środkami dezynfekującymi oraz stosowanie osłon twarzy.

## NISKA ŚMIERTELNOŚĆ

W Polsce mieliśmy do czynienia z podobną sytuacją latem 1963 r., ale na ograniczonym terenie. We Wrocławiu wybuchła wówczas epidemia ospy prawdziwej. Władze zdecydowały o odcięciu miasta na kilka tygodni od reszty kraju kordonem sanitarnym. Patrole milicji legitymowały podróżujących i sprawdzały świadectwa szczepień. Zawieszono samoobsługową sprzedaż chleba, zamknięto wszystkie baseny i izby wytrzeźwień. Prawie tysiąc osób umieszczono w izolatoriach.

W listopadzie 2002 r. w Chinach wybuchła epidemia SARS. Choroba skłoniła chińskie władze do izolacji wsi, kampusów uniwersyteckich i całych dzielnic, co dotknęło setek tysięcy ludzi. Jednocześnie nakazano ludziom ograniczenie przemieszczania się i interakcji społecznych. Działania okazały się skuteczne, bo zachorowało zaledwie (jak na epidemię) 5,3 tys. osób i zmarło 349 z nich. To doświadczenie nauczyło Chiny, jak powstrzymać wybuch pandemii koronawirusa w 2020 r.

Lockdowny wprowadzano nie tylko z powodów zdrowotnych, lecz także np. bezpieczeństwa. Po ataku na WTC 9 września 2001 r. w Nowym Jorku i Waszyngtonie zarządzono restrykcje związane z poruszaniem się ludzi. Podobnie w 2015 r., po serii zamachów terrorystycznych przeprowadzonych w Paryżu przez Państwo Islamskie, sąsiednia Belgia ogłosiła czterodniową blokadę Brukseli ze względu na potencjalne zagrożenie terrorystyczne oraz informację, że główny sprawca paryskiego ataku ukrywa się w mieście.

Jednak wprowadzony w wielu krajach świata, w tym w Polsce, szeroki lockdown jest jak strzelanie do wróbla z armaty. Aktualna pandemia koronawirusa jest znacznie łagodniejsza niż przedstawione wyżej historyczne przykłady. Do 10 stycznia 2021 r. na koronawirusa zachorowało na świecie ponad 90 mln osób, z czego zmarło poniżej 1,94 mln (na podstawie: www.worldometers.info/coronavirus/). Oznacza to, że śmiertelność jest na poziomie ok. 2 proc. Mimo to w większości państw świata wprowadzone zostały bardzo drastyczne środki izolacyjne oraz blokady całych gospodarek. W efekcie bankrutują nie tylko pojedyncze firmy, lecz także całe branże. Co więcej, nastawienie publicznej służby zdrowia na walkę z koronawirusem powoduje, że zaniedbywane jest leczenie innych schorzeń. Skutkuje to tym, że znacznie więcej ludzi umiera na inne choroby niż w latach poprzednich.

## DEMOLKA GOSPODARKI

Wydaje się, że w większości krajów świata z punktu widzenia politycznego lockdown był konieczny, bo tego domagali się ludzie. Jednakże choćby w Niemczech czy Czechach odbyły się olbrzymie demonstracje przeciwko zakazom, a w Polsce rośnie liczba przeciwników lockdownu, który demoluje całe branże gospodarki. Efektem będzie kilku-, a może nawet kilkunastoprocentowy spadek gospodarczy w większości krajów świata.

Czy więc lockdown w Polsce był konieczny? Czy może lepszym rozwiązaniem byłoby wprowadzenie tylko rekomendacji dotyczących dystansu społecznego, ograniczenia przemieszczania się i zachęcających do pracy zdalnej, ale bez zamykania całych branż gospodarki, które prawdopodobnie w dużej mierze nie podniosą się po pandemii? Rządowe zapomogi z pewnością bowiem nie pomogą. Rząd nie ma pieniędzy, znacznie zwiększył zadłużenie publiczne tarczami antykryzysowymi i już od stycznia z tego powodu wprowadzono lub podniesiono wiele podatków. A jak podaje Ministerstwo Zdrowia, koszt samego zakupu szczepionki na koronawirusa wynosi 2,4 mld zł.

Może trzeba było pójść drogą Korei Południowej, Tajwanu, Singapuru i Wietnamu? Kraje te wprowadziły najlepiej zorganizowane programy kontroli epidemii. Zamiast generalnego lockdownu gospodarki ograniczono przyjazdy z zagranicy, wprowadzono szybkie i masowe testy dla ludzi oraz izolowano zakażonych oraz szukano osób, które miały kontakt z zakażonymi. W rezultacie śmiertelność na 100 tys. jest w tych krajach następująca: Korea Południowa – 2,18, Singapur – 0,51, Wietnam – 0,04, a Tajwan – 0,03.

Nie bez znaczenia jest to, że lockdown jest bardzo radykalnym ograniczeniem wolności w przypadku właścicieli firm, pracowników, klientów. I może nie być ograniczeniem zgodnym z polskim prawem. Na początku stycznia Wojewódzki Sąd Administracyjny w Opolu orzekł już, że zamknięcie działalności gospodarczej w związku z pandemią COVID-19 w drodze rozporządzenia było niezgodne z prawem i naruszało art. 22 konstytucji.

Tymczasem zdesperowani przedsiębiorcy coraz częściej nie widzą już innej drogi, jak tylko wbrew władzy otwierać swoje firmy, by utrzymać się na powierzchni. Bunt się rozpoczął, wiele branż w kolejnych regionach zapowiada wznowienie działalności. Otwierane są restauracje, a niebawem i branża fitness zamierza wpuścić klientów do sal.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



eprasa.pl d9f679a473

# Opozycja przecenia Bidena

FOT. ANNA ABAKO/EAST NEWS

**Z Adamem Bielanem, europosłem PiS, przewodniczącym Konwencji Krajowej Porozumienia**
*rozmawia Ryszard Gromadzki*

**RYSZARD GROMADZKI: Czy rozpoczęta 20 stycznia kadencja nowego prezydenta USA, demokraty Joe Bidena, oznacza koniec „dobrej pogody" w relacjach polsko-amerykańskich?**

**ADAM BIELAN:** Nie sądzę. Na pewno w ostatnich latach te relacje były najlepsze w historii. Nigdy wcześniej nie mieliśmy bliższych stosunków, jeśli chodzi o współpracę militarną, w dziedzinie unowocześniania polskiej armii, ale też tak dobrych relacji gospodarczych i politycznych. Stany Zjednoczone jako kraj poważny nie zmieniają radykalnie polityki w zależności od zmiany administracji prezydenckiej. Świetne relacje Polski z USA wynikały po prostu ze wspólnoty interesów. Polska jest ważnym krajem dla Stanów Zjednoczonych ze względu na ich relacje z Rosją. Jesteśmy największym sojusznikiem USA na tzw. flance wschodniej NATO. Jesteśmy też dla Amerykanów ważnym krajem ze względu na rywalizację z Chinami. To z pewnością będzie również podkreślane przez administrację Bidena.

**Jednak profil ideologiczny administracji Bidena jest zupełnie inny niż administracji Trumpa, obcy PiS...**

Mówimy tutaj o relacjach międzypaństwowych, a nie o relacjach międzypartyjnych. Oczywiście różnice pomiędzy demokratami, szczególnie tym najbardziej lewicowym skrzydłem, a konserwatywnym rządem w Polsce będą co jakiś czas skutkowały zgrzytami. Musimy brać to pod uwagę. Szczególnie na początku kadencji prezydenta Bidena spodziewam się jakichś spięć.

**Czy w grę wchodzi także silna presja polityczna, np. dotycząca uregulowań prawnych przyjaznych postulatom środowisk LGBT?**

Nie ma mowy o żadnej presji, ponieważ Stany Zjednoczone nie mają żadnego wpływu na uwarunkowania wewnętrzne w Polsce. To jest czynnik przeceniany przez opozycję. I kojarzone z nią media. Dowodzą tym samym swojej słabości, licząc, że skoro sami nie potrafią przekonać do siebie Polaków, przegrywając kolejne wybory, to jakiś „wujek z zagranicy" najpierw z Brukseli, teraz z Waszyngtonu, im pomoże.

Dużo większe znaczenie dla polityki polskiej ma ewentualna presja ze strony Unii Europejskiej, bo stanowimy jej część, a ta – jak widzimy – od pięciu lat nie pomaga zbyt mocno opozycji. Stany Zjednoczone nie będą chciały sporu czy konfliktu z krajem, który już po brexicie jest im najbardziej przyjazny w Unii Europejskiej. Pamiętajmy, że niezależnie od zmiany gospodarza Białego Domu pozostają bardzo poważne różnice między Stanami Zjednoczonymi a dużą liczbą państw europejskich.

Warto wspomnieć, że na posiedzeniu Rady Ambasadorów w końcu grudnia, kiedy prezydencja niemiecka bardzo mocno forsowała szybkie przyjęcie, jeszcze w ubiegłym roku, umowy o wspieraniu wzajemnych inwestycji między Unią Europejską a Chinami, polski ambasador zaprotestował i prosił, żeby konsultować


eprasa.pl d9f679a473

tę sprawę również z nową administracją amerykańską.

**Polska może nadal próbować aspirować do roli pośrednika w relacjach pomiędzy Unią a USA? Mamy potencjał, żeby taką rolę odgrywać?**

Myślę, że administracja Bidena nie potrzebuje żadnego pośrednika, może rozmawiać bezpośrednio zarówno z instytucjami unijnymi, jak i z największymi krajami członkowskimi. Sądzę jednak, że bardzo szybko przekona się, iż zmiana języka i polityka uśmiechów, którą teraz obserwujemy po odejściu Trumpa, nie przekłada się na twarde decyzje. Niemcy nagle nie zrezygnują ze swoich bardzo bliskich relacji z Chinami, co pokazały wydarzenia ostatnich tygodni, jak wspomniane przeze mnie wcześniej forsowanie przez kanclerz Merkel kluczowej umowy o wspieraniu wzajemnych inwestycji. Niemcy są przecież coraz bardziej uzależnieni od eksportu swoich towarów do Chin właśnie. Francja nie przestanie walczyć z wielkimi amerykańskimi przedsiębiorstwami technologicznymi i nie przestanie zabiegać, żeby powstały ich europejskie, czytaj francuskie, odpowiedniki tylko dlatego, że znienawidzonego we Francji Trumpa zastąpił Biden. W relacjach międzypaństwowych liczy się twarda gra interesów, a nie sympatie czy antypatie. Sądzę, że po kilku miesiącach administracja Bidena przekona się, że nie ma wielkiego przełomu w tych najważniejszych dla Stanów Zjednoczonych kwestiach – czyli rywalizacji z Chinami i Rosją. Można tu też wymienić sprawę gazociągu Nord Stream 2 i usilne próby Niemiec, żeby ominąć sankcje, które wprowadził Kongres USA również z poparciem demokratów. Dzisiaj amerykańska Partia Demokratyczna jest chyba najbardziej antyrosyjska od czasów prezydenta Harry'ego Trumana. Oczywiście jest to warunkowane sytuacją wewnętrzną, oskarżeniami Trumpa przez demokratów o to, że jest rosyjskim agentem, że Putin pomógł mu wygrać wybory. Ale myślę, że to szybko się nie zmieni. Polska może być dla USA ważnym sojusznikiem. Jeżeli nie od razu, bo na początku spodziewam się pewnych spięć, to po kilku miesiącach ta świadomość w Waszyngtonie powinna dojrzeć.

**Te spięcia i zgrzyty, o których pan wspomniał, mogą dotyczyć ustawy 447 o restytucji bezspadkowego mienia żydowskiego w Polsce? Administracja Bidena mocniej niż rząd Trumpa zaangażuje się we wsparcie żydowskich roszczeń?**

Nasze stanowisko w tej sprawie jest jasne. Nie zamierzamy go zmieniać. Pogląd o jakiejś nadzwyczajnej presji amerykańskiej, która może zmienić polską politykę, jest mocno wyolbrzymiony. Nasze dobre stosunki wynikały z dużej wagi Polski dla Stanów Zjednoczonych. Amerykanie, którzy byli nieco mniej aktywni za prezydentury Baracka Obamy w Europie Środkowo-Wschodniej, zdali sobie sprawę, jaką rolę odgrywa Polska w regionie. Trójmorze, które jeszcze kilka lat temu było Waszyngtonie inicjatywą dość anonimową, dziś jest zgodnie wspierane zarówno przez republikanów, jak i demokratów w obu izbach Kongresu. Jeżeli Biden będzie chciał jeszcze stawić czoła wpływom rosyjskim w regionie, ze szczególnym wskazaniem na Ukrainę, to będzie skazany na współpracę z naszym krajem. Jeżeli będzie chciał walczyć z wpływami chińskim w Europie, a wielokrotnie o tym mówił, to nie może tych starań zacząć od konfliktu z Polską.

**Czy jesteśmy świadkami jakościowego przewartościowania w Zjednoczonej Prawicy? Mam na myśli ostatnie decyzje personalne i reorganizację w Kancelarii Prezydenta. Czy to oznacza, że ośrodek prezydencki zamierza mieć większy udział w kreowaniu polityki obozu rządzącego?**

Jeżeli spojrzymy na poprzednią kadencję prezydenta, to pamiętajmy o jego licznych wetach wobec ustaw rządu. Było ich znacznie więcej niż za czasów jego poprzednika, który w zasadzie nie wetował ustaw swojego obozu politycznego. Jestem przekonany, że prezydent nie jest nastawiony na spór i konflikt. Andrzej Duda w trakcie kampanii wyborczej wielokrotnie podkreślał, że czuje się uczestnikiem „dobrej zmiany", choć nie należy do żadnej partii politycznej. Liczę na to, że częste kontakty premiera z prezydentem, również uprzedzające ośrodek prezydencki o zmianach czy reformach, które planujemy, sprawią, że tych wet nie będzie bardzo dużo, chociaż jest to oczywiście prerogatywa prezydenta, której nikt nie zamierza podważać.

**Czym różni się dziś Zjednoczona Prawica od swojej wersji sprzed trzech–czterech lat. Czy do głosu coraz mocniej nie dochodzą partykularyzmy, niszcząca walka frakcji?**

Myślę, że nasza siła wynika w dużej mierze z różnorodności. Ta różnorodność od początku była wpisana w nasz projekt. To połączenie różnych nurtów polskiej prawicy dało nam sukces zarówno podczas wyborów w 2015 r., jak i cztery lata później.

Cieszę się z faktu, że jesteśmy obozem tak pojemnym, zarówno w zakresie personalnym, jak i programowym. Z faktu, że nie było w naszej najnowszej historii tak szerokiego obozu, nie tylko na prawicy, wynikają też czasem rozmaite tarcia i spory, które trzeba rozładowywać. One będą też miały miejsce w przyszłości. Nie ma co się nastawiać, że będzie to współpraca bezkonfliktowa. Ale wierzę w odpowiedzialność i roztropność naszych liderów oraz parlamentarzystów. Wierzę, że nie zapomnieli o latach, kiedy wszyscy byliśmy w opozycji, i o tym, że jeśli pewien poziom sporu zostanie przekroczony, to wykorzysta to bezwzględnie nasza konkurencja i odsunie nas znowu od władzy, i to na wiele lat. Myślę, że po tym pierwszym okresie, kiedy zakończyliśmy cykl wyborczy i w sposób niespodziewany dla wielu analityków udało nam się wszystkie cztery kluczowe wybory wygrać, pewnie część z nas uwierzyła, że jesteśmy politycznie nieśmiertelni. Mam nadzieję, że kryzys, który przeżywaliśmy jesienią, podziałał trzeźwiąco na nas wszystkich i w kolejnych latach ta współpraca będzie równie konstruktywna.

**Czy gwarantem „politycznej nieśmiertelności" Zjednoczonej Prawicy jest Jarosław Kaczyński? Czy na polskiej prawicy jest pomysł na jej funkcjonowanie po jego odejściu z aktywnej polityki?**

Nie uważam, że jesteśmy „politycznie nieśmiertelni". Prędzej czy później przecież przegramy wybory, dlatego powinniśmy cenić to, co mamy dzisiaj. Mamy większość w Sejmie, swój rząd i zaprzyjaźnionego z nami prezydenta, ale nie wiadomo, jak długo to będzie trwało, chociaż wierzę, że jesteśmy obozem, który ma bardzo dużą szansę na kolejną reelekcję w roku 2023. Jeśli chodzi o Jarosława Kaczyńskiego, to on dokonał tego zjednoczenia w 2014 r., to on faktycznie rozładowywał różne napięcia i konflikty, dlatego bardzo się cieszę z deklaracji, że będzie ubiegał się o kolejną kadencję na fotelu prezesa PiS. Perspektywa jego przywództwa do roku 2025 obniży, mam nadzieję, temperaturę sporu w naszym obozie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

O INAUGURACJI PREZYDENTURY JOE BIDENA CZYTAJ TAKŻE NA STRONIE 68



eprasa.pl d9f679a473

FOT. MATEUSZ WŁODARCZYK/FORUM

Kamila Baranowska

**Michał Dworczyk ma opinię polityka do zadań specjalnych, który umie gasić polityczne pożary. Nic dziwnego, że koordynację szczepień na COVID-19 powierzono właśnie jemu**

# Człowiek do zadań specjalnych

Jak on polegnie w tej sprawie, to znaczy, że poległby każdy – mówi nam jeden z polityków ekipy rządzącej.

To zdanie dobrze oddaje opinię, jaką się cieszy Michał Dworczyk, szef kancelarii premiera, a od niedawna także pełnomocnik rządu ds. narodowego programu szczepień przeciwko wirusowi SARS-CoV-2. Chociaż do wielkiej polityki trafił stosunkowo niedawno, to szybko stał się jednym z czołowych ludzi obozu rządzącego.

## NAJWIĘKSZE WYZWANIE

W rządzie od początku wszyscy wiedzieli, że program szczepień to operacja skomplikowana i trudna do przeprowadzenia, a co za tym idzie – ryzykowna politycznie. Każda wpadka będzie szła na konto rządu i PiS. Stąd pomysł, by na ten odcinek oddelegować ministra Dworczyka, który ma dobry zmysł nie tylko organizacyjny, lecz także polityczny.

– Lubię wyzwania, ale zawsze z dużą pokorą podchodzę do realizacji poważnych projektów. Przy każdej tak dużej operacji logistycznej jak narodowy program szczepień nie da się przewidzieć wszystkich problemów, które się pojawią – przyznaje Michał Dworczyk w rozmowie z „Do Rzeczy".

A nieprzewidziane problemy pojawiły się szybko. Firma produkująca szczepionki poinformowała o czasowym zmniejszeniu ich dostaw. To zaś musiało wpłynąć na logistykę całego procesu, bo nagle trzeba było zdecydować, komu szczepienie przesunąć, w którym punkcie i jak skutecznie dotrzeć do wszystkich z taką informacją. Zwłaszcza że by przyspieszyć proces szczepienia, zwiększono liczbę punktów szczepień. Początkowo było to 500 szpitali węzłowych, dziś to ponad 5,5 tys. punktów. To zupełnie inna skala.

– Te szpitale, które już szczepiły, wiedzą, jak działa cały system, ale dla 90 proc. punktów wszystko jest nowe, więc mimo przebytych szkoleń mają mnóstwo pytań o każdą najdrobniejszą sprawę. To ogrom pracy dla NFZ i wszystkich podmiotów zaangażowanych w realizację programu – podkreśla Dworczyk.

Mimo to nasz rozmówca podtrzymuje, że cel zapisany w strategii narodowego programu szczepień, czyli opanowanie pandemii do końca 2021 r., jest nadal aktualny. Nie chodzi bowiem o to, by zaszczepić całą populację, lecz o uzyskanie takiego poziomu odporności, by odciążyć służbę zdrowia i móc myśleć o powrocie do normalnego życia.

W połowie grudnia w wywiadzie dla „Dziennika Gazety Prawnej" Dworczyk mówił, że najbardziej boi się m.in. braku zainteresowania szczepieniem. Okazało się, że zainteresowanie jest większe, niż się spodziewano. – Ostatnie badania mówią, że szczepić chce się ponad 60 proc. Polaków, ale pamiętajmy, że od deklaracji do udania się do punktu szczepień i przyjęcia dwóch dawek szczepionki daleka droga – zastrzega.

## ZADANIOWIEC

Michał Dworczyk lubi mówić o sobie, że jest zadaniowcem. – Wszedłem do polityki, wychodząc ze świata organizacji pozarządowych, więc pewnie dlatego najbardziej doceniam polityków, którzy robią coś konkretnego, mają swoją specjalizację, własne pole działania. Samo dyskutowanie w studiach telewizyjnych zdecydowanie mnie nie ekscytuje – mówił nam w 2019 r.

Dzisiaj ten sam Michał Dworczyk jednego dnia potrafi wystąpić nawet w pięciu różnych programach telewizyjnych i radiowych. Tłumaczy, że taka jest dziś jego rola jako pełnomocnika ds. szczepień. Może być też jednak tak, że z biegiem czasu coraz lepiej czuje się w butach polityka i coraz mocniej w politykę wsiąka. – Jako przedstawiciele rządu mamy obowiązek tłumaczyć i odpowiadać na wszystkie pytania, i te oczywiste, i te niewygodne, dlatego obecność w mediach jest bardzo ważna – tłumaczy. – Jest też aspekt polityczny, o który trzeba zadbać. Niestety program szczepień stał się elementem gry politycznej i po pierwszych dniach zgody i spokoju opozycja ruszyła do ataku. Dlatego mamy świadomość, że jeśli sami nie będziemy mówić o tym, jak wygląda sytuacja, to ktoś zrobi to za nas – dodaje.

Koordynacja programu szczepień to oprócz polityki także dużo załatwiania, dogadywania i zapewnienia dobrej



eprasa.pl d9f679a473

współpracy zarówno z samorządami, jak i placówkami medycznymi. – W zasięgu PiS nie ma tłumów sensownych gości, którzy potrafią działać, zostawiając na boku swoje polityczne przekonania i uprzedzenia, a tutaj trzeba załatwiać sprawy także z ludźmi z nie swojej politycznej bajki. A Michał ma umiejętność koncyliacyjnego załatwiania spraw, bez nerwów, bez unoszenia się – mówi dobry znajomy szefa kancelarii premiera.

Podobną opinię na jego temat wygłosił kiedyś w TVN24 Adam Lipiński, polityk, który jest wymieniany jako jeden z patronów kariery Dworczyka. – Potrafi prowadzić rozmowy tak, że się dogaduje. Nie wiem, na czym to polega. To jest fenomen dobrych negocjatorów – mówił Lipiński, który po wyborach samorządowych w 2018 r. wraz z Dworczykiem prowadził negocjacje w sprawie sejmikowych koalicji. Tamte rozmowy okazały się skuteczne, dzięki nim PiS rządzi także w sejmikach śląskim i dolnośląskim, gdzie nie miał samodzielnej większości.

## TAŚMY Z WAŁBRZYCHA

Dzięki tamtej skuteczności bardzo zyskał w oczach Jarosława Kaczyńskiego, z którym pozostaje w dobrych relacjach. Nie zmieniła tego nawet głośna sprawa nagrań z Wałbrzycha. Chodzi o taśmy, na których lokalni działacze PiS rozdają stanowiska i uznaniowo decydują o przyznaniu państwowych dotacji. „Każdy jest pazerny, każdy by chciał coś i tylko różnimy się szefami" – słyszymy z ust jednego z działaczy. W kontekście taśm pojawiło się nazwisko Dworczyka, który jest szefem struktur PiS w tamtym regionie. – Wszystkie osoby, które są „bohaterami" tej historii, są w wałbrzyskim PiS od wielu lat. Ja od 1,5 roku jako pełnomocnik okręgu nr 2 staram się wprowadzać nowe zasady działania struktur naszej partii. Liczyłem, że uda się w ramach dotychczas istniejącego w Wałbrzychu środowiska wypracować nowe standardy działania. Jak widać, źle oceniłem sytuację, dlatego całą tę historię traktuję jako osobistą porażkę – wyjaśnia. – To, co się wydarzyło, co słyszeliśmy na nagraniach, jest nieakceptowalne, tak w formie, jak w treści, dlatego sam wnioskowałem o natychmiastowe rozwiązanie struktur wałbrzyskich i zastosowanie wariantu zero, z czym zgodził się także prezes Jarosław Kaczyński – dodaje.

Taśmy z Wałbrzycha nie wpłynęły też na zaufanie, jakim Dworczyk cieszy się u premiera Morawieckiego. Jeden z polityków powiedział nam kiedyś, że dla Morawieckiego Dworczyk jest kimś takim, kim śp. Przemysław Gosiewski był dla Jarosława Kaczyńskiego – sprawnym organizatorem, który potrafi szybko reagować, człowiekiem do zadań specjalnych, gaszenia politycznych pożarów i opanowywania sytuacji kryzysowych.

– Najwięcej porównań widzę z hydraulikiem, który przetyka różne zatkane rury – tak opisywał swoją rolę w KPRM w jednym z wywiadów dla „Polski The Times". – Jestem niczym hydraulik, który jak trzeba, to i elektrykę naprawi – dodawał.

To on zajmował się rozładowaniem napięcia w związku ze strajkiem nauczycieli w 2019 r., to on brał udział w rozmowach ze stroną izraelską po nieszczęsnej nowelizacji ustawy o IPN. – Jestem typowym zadaniowcem. Kiedy mam coś do zrobienia, skupiam się na zrealizowaniu celu i doprowadzeniu sprawy do końca. Znajoma posłanka kiedyś sarkastycznie porównała moje działania do desantu przeprowadzanego z lądu, morza i powietrza – mówił nam Dworczyk, kiedy rozmawialiśmy z nim w trakcie trwającego akurat strajku nauczycieli w 2019 r.

On sam nie lubi, gdy próbuje się go przyporządkować do którejś z wewnątrzpartyjnych frakcji. Odpowiada, że „szufladkowanie ludzi zawsze wzbudzało jego dużą niechęć", a w decyzjach jest samodzielny. Nie zmienia to faktu, że w PiS bywa kojarzony z Adamem Lipińskim lub Antonim Macierewiczem.

Z tym pierwszym zna się od 2004 r., gdy jako działacz Stowarzyszenia „Wspólnota Polska", zajmującego się pomocą dla Polaków mieszkających na Kresach pomagał mu w organizacji wyjazdu obserwatorów na wybory na Ukrainie. Kiedy rok później PiS wygrał wybory, Lipiński jako minister w KPRM zaproponował Dworczykowi funkcję doradcy ds. polityki wschodniej. Tak Dworczyk trafił w orbitę polityczną PiS, w której już pozostał. Zaangażował się w prace nad Kartą Polaka i ustawą repatriacyjną. Gdy PiS przegrał wybory, Dworczyk przeniósł się do Kancelarii Prezydenta Lecha Kaczyńskiego, gdzie zajmował się sprawami Polonii.

Macierewiczowi Dworczyk zawdzięcza równie dużo, jeśli nie więcej. Dworczyk był znajomym jego córki i jej przyszłego męża, którego znał z harcerstwa. To właśnie Macierewicz poręczył za niego, gdy został zatrzymany za przechowywanie materiałów wybuchowych. Stara sprawa, wielokrotnie przez media opisywana. Dworczyk nie lubi do niej wracać, nazywa ją „grzechem młodości". Jako młody człowiek, zafascynowany militariami i wojskiem, miał w piwnicy pociski z drugiej wojny światowej, które zbierał hobbystycznie za pomocą wykrywacza metalu. Ewakuowano cały blok, skończyło się wyrokiem (dziś już zatartym). – Miłość do militariów i wojska towarzyszy mi od zawsze, dlatego po studiach na ochotnika zgłosiłem się do wojska. Ta pasja została mi do dziś, ale kolekcjonuję już tylko książki i nic więcej – mówił jakiś czas temu w „Do Rzeczy".

## POLITYCZNE PLANY

W marcu 2017 r. Dworczyk został zastępcą Macierewicza w MON. Odszedł w grudniu, prosto na stanowisko szefa kancelarii świeżo mianowanego premiera Mateusza Morawieckiego. Tego samego, który przyczynił się do dymisji Macierewicza z funkcji szefa MON.

Zanim jednak Dworczyk trafił do wielkiej polityki, przez wiele lat był warszawskim radnym, najpierw dzielnicy, miasta, potem sejmiku. Uznał jednak, że praca w samorządzie nie jest dla niego. Dlatego między innymi nie palił się do kandydowania na prezydenta Warszawy, choć był do tego namawiany przez premiera. Ostatecznie jednak Jarosław Kaczyński postawił na Patryka Jakiego. O ile samorząd go nie pociągał, o tyle Michał Dworczyk dobrze odnajdował się w sektorze pozarządowym. Jego ukochanym „dzieckiem" jest Fundacja „Wolność i Demokracja", której był prezesem, a która zajmuje się pomocą Polakom na wschodzie, ale także organizacją i promocją rozmaitych wydarzeń patriotycznych.

Kiedy rozmawialiśmy z Michałem Dworczykiem w 2019 r., nie chciał mówić o politycznych planach, przyznał jedynie, że chciałby powalczyć o mandat poselski. To mu się udało. W wyborach w 2019 r. dostał ponad 58 tys. głosów. Co dalej?

– Są dwa powody, dla których nie wybiegam daleko w przyszłość i nie przygotowuję politycznych planów. Po pierwsze, polityka jest tak nieprzewidywalna, że po prostu nie ma to większego sensu. Po drugie, realizacja narodowego programu szczepień jest tak absorbująca, że poza tym oraz bieżącym zarządzaniem Kancelarią Prezesa Rady Ministrów nie mam już na nic innego czasu – odpowiada.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



eprasa.pl d9f679a473

# Dramat w Plymouth

*Tomasz Rowiński*

**Próba zagłodzenia przez brytyjski szpital polskiego pacjenta w śpiączce to dowód na to, jak głębokiemu rozkładowi uległa cywilizacja europejska**

Pan Sławomir (tak obecnie przedstawiany jest w mediach) to Polak, który 6 listopada zapadł w śpiączkę w wyniku zatrzymania akcji serca. Pracownicy szpitala w Plymouth, dokąd trafił, orzekli poważne uszkodzenie i nieodwracalne zmiany w mózgu. Dyrekcja szpitala wystąpiła do sądu z prośbą o zgodę na odłączenie Polaka od aparatury, określając podtrzymywanie jego życia mianem terapii uporczywej. Zgodę na ten akt wyraziły żona i córka Polaka. Do pierwszego odłączenia doszło w połowie grudnia. Kolejne przerwy w karmieniu trwały dwa, pięć i trzy dni. Ostatnia ciągnie się znacznie dłużej. Te pierwsze zostały zatrzymane, ponieważ część rodziny nie zgadzała się na uśmiercenie pana Sławomira. Matka i siostry dowodziły, że mężczyzna znajduje się w stanie minimalnej świadomości, że reaguje na pojawianie się bliskich osób, płacze itd. Jak można usłyszeć, także szpital nie stwierdził śmierci mózgowej. Rodzina rejestruje zachowanie mężczyzny i przekazuje nagrania zewnętrznym ekspertom.

Z czasem sytuacja stawała się coraz bardziej napięta, szpital odmawiał dostępu do pacjenta ekspertom rodziny, którzy by potwierdzili lub odrzucili pojawiające się wątpliwości co do rzeczywistego stanu chorego. Z jednej strony medycy mówili o uporczywej terapii, a z drugiej strony odmawiali zgody na transport pana Sławomira do kraju.

– My mamy opinię neurologów wystawioną na podstawie wideo, które nagraliśmy, że jest być może stan minimalnej świadomości. W takim przypadku potrzebne jest dalsze badanie i rehabilitacja. Ale szpital w Anglii tego nie uznaje – mówi siostra pana Sławomira zaangażowana w ratowanie brata.

„W Polsce, gdy ma miejsce sytuacja, w której osoba otwiera oczy, reaguje na bodźce, to takiej osoby się nie odłącza. Próbujemy ratować życie" – mówił na antenie Radia Maryja dr Filip Furman z Ordo Iuris.

## EKSPERCI APELUJĄ O ŻYCIE

Gorzko stanowisko brytyjskiego szpitala skomentował także prof. Bogdan Chazan wiceprezes Katolickiego Stowarzyszenia Lekarzy Polskich. „Szpital odmawia przewiezienia pacjenta do Polski. Twierdzi, że byłoby to niepotrzebne narażenie go na niewygody i zagrażałoby jego godności. To dziwne, bo władze szpitala nie zwracają uwagi na fakt, że zagłodzenie człowieka na śmierć jest niezgodne z godnością człowieka". W innym miejscu apelu podpisanego przez prof. Chazana czytamy: „To nie


eprasa.pl d9f679a473

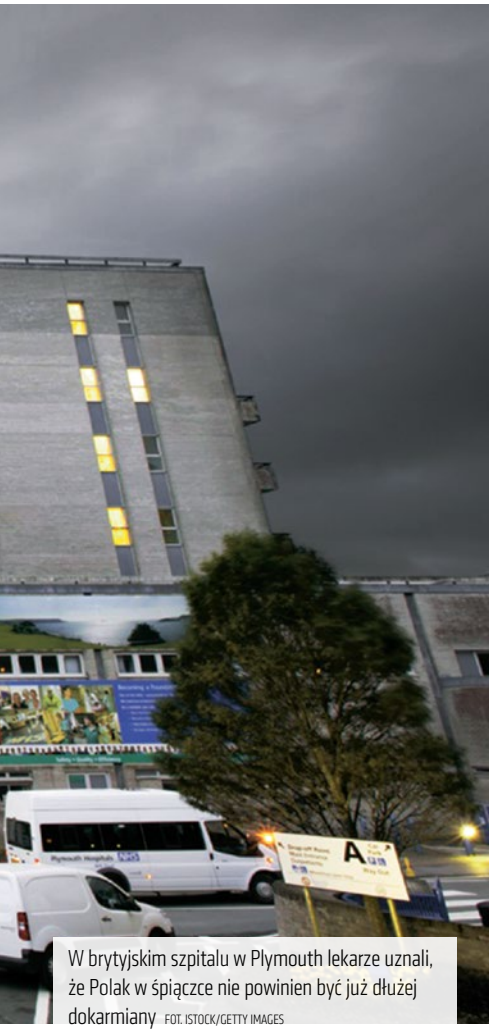

W brytyjskim szpitalu w Plymouth lekarze uznali, że Polak w śpiączce nie powinien być już dłużej dokarmiany FOT. ISTOCK/GETTY IMAGES

jest terapia daremna. Nie jest ona powodem dodatkowych cierpień dla chorego. Terapia jest metodą utrzymania przy życiu człowieka, którego świadomość prawdopodobnie do końca nie jest zaburzona. Zwracają na to uwagę także eksperci z angielskiego Centrum Bioetyki Anscombe – ich zdaniem, jeśli pacjent żyje i jedyne, czego mu potrzeba, to podawać mu pokarm, to nie ma mowy o uporczywej terapii.

W ratowanie pana Sławomira włączyły się różne organizacje. Na miejscu pomaga Christian Legal Center, które wzięło na siebie kontakty z Europejskim Trybunałem Praw Człowieka. Ten jednak odrzucił apelację. To nie dziwi. ETPC już w 2010 r. w sprawie „A, B i C przeciwko Irlandii" orzekł, że wartość ludzkiego życia określa się przez „uczestnictwo w interakcji społecznej". Instytut na rzecz Kultury Prawnej Ordo Iuris w imieniu rodziny wniósł sprawę do Komitetu ds. Osób Niepełnosprawnych ONZ. Niestety, choć sprawy nie odrzucono, nie nadano jej także wyższego priorytetu. Rozpatrywanie jej w normalnym trybie może okazać się zabójcze dla pana Sławomira. Ordo Iuris przygotował też petycję do premiera Borisa Johnsona, pod którą może podpisać się każdy. Pierwszego dnia zrobiło to ponad 10 tys. osób. Apel z prośbą o reakcję wystosowało do prezydenta Andrzeja Dudy także Stowarzyszenie Katolickie Lekarzy Polskich. Profesor Krzysztof Szczerski, który spotkał się w imieniu prezydenta z ambasadorem Zjednoczonego Królestwa w Polsce, powiedział, że rozmowy są bardzo trudne.

Udało mi się krótko porozmawiać z ambasadorem Polski w Wielkiej Brytanii Arkadym Rzegockim. Dowiedziałem się, że MSZ już od tygodni angażuje się w sprawę, która jest delikatna i niełatwa. Także z powodu konfliktu w rodzinie pacjenta. Żona pana Sławomira twierdzi, że mąż nie chciałby żyć w obecnym stanie, z kolei matka, siostry wskazują, że jest praktykującym katolikiem, który opowiadał się za nienaruszalnością ludzkiego życia od poczęcia aż do naturalnej śmierci. A zatem nie zgodziłby się na eutanazję.

W obronie życia pana Sławomira wypowiedział się katolicki biskup Plymouth Mark O'Toole, także abp Stanisław Gądecki napisał list z prośbą o reakcję do kard. Vincenta Nicolsa, prymasa Anglii. Gdy kończę pracę nad tekstem, MSZ stara się o nadanie statusu dyplomatycznego panu Sławomirowi.

## DLACZEGO CHCĄ ZABIĆ?

Jak wytłumaczyć upór szpitala? Można to zrobić na kilka sposobów. Po pierwsze – niemal całkowitą dominacją radykalnego utylitaryzmu w bioetyce krajów anglosaskich. W praktyce polega on na nieustannej analizie „jakości życia" pacjentów i wycenie kosztów leczenia. Na takiej podstawie podejmuje się decyzje o przedłużeniu lub zakończeniu życia. Życie ludzkie ma w tej perspektywie tylko relatywne znaczenie, ono samo nie jest punktem wyjścia do oceny sytuacji. Przypadek pana Sławomira nie jest odosobniony, ale bardzo pasuje do definicji ludzkiego życia ETPC, którą podałem wcześniej.

Mój bliski znajomy od lat pracuje jako opiekun w Anglii i towarzyszy ludziom u progu śmierci. Relacjonował mi swego czasu – niemal na żywo – bardzo podobną historię. Dotyczyła ona wiekowego Anglika, którego życie zmierzało do końca. Nikt jednak nie wiedział, czy potrwa ono kilka tygodni, kilka miesięcy czy może jeszcze rok. Zachowywał pełną świadomość i – co więcej – pełnię sprawności intelektualnej. A mimo to w czasie jednej z hospitalizacji rodzina zorientowała się, że ograniczane mu jest podawanie przez kroplówkę pożywienia i picia. Rodzina była katolicka – co w Anglii nie jest oczywiste – i zaczęła walczyć o ratunek. Ostatecznie udało się, być może dlatego, że zastosowana przez lekarzy „terapia" nie miała podstaw w decyzji sądowej. Ten pan zmarł w spokoju w domu, kilka tygodni później, praktycznie do końca ciesząc się lekturą porannej prasy i rozmowami z bliskimi.

Reakcję szpitala można też wytłumaczyć prozaiczną chęcią ochrony własnego autorytetu, ale też informacją podawaną przez media oraz zawartą w petycji Ordo Iuris, mówiącą, że ciało pana Sławomira zostało już rozdysponowane ma transplantacje dla innych pacjentów. Tak czy inaczej szpital przedkłada ideologię lub własny interes ponad godziwe rozwiązanie sprawy. Byłaby nią zgoda na umożliwienie rodzinie zyskania pewności, że ich bliskiego nie da się uratować lub przeciwnie – zgoda na potwierdzenie możliwości przywrócenia pacjenta do pełniejszej świadomości. Jak by jednak sprawa wyglądała, gdyby się okazało, że polscy lekarze potrafią dać szansę na drugie życie komuś, kto został już za życia praktycznie pokrojony?

Na koniec warto wskazać jeszcze jedną kwestię, która wydaje się być dość uniwersalnym problemem Polski w relacjach z naszymi sojusznikami. Jest to lekceważenie wyznawanych przez Polskę zasad, lekceważenie polskich władz, ale i Polaków – tych w kraju oraz tych w Zjednoczonym Królestwie, którzy znacząco przyczyniają się do wypracowywania tamtejszego PKB. Czy nie należy nam się odrobina szacunku, minimum akceptacji dla zasad, także moralnych, które uważamy za prawe? Może warto postawić w relacjach dwustronnych kwestię implementacji w Wielkiej Brytanii praw człowieka?

W czwartek wieczorem, gdy zamykamy numer tygodnika, nadziei jest coraz mniej, pan Sławomir umiera w głodowych mękach. Być może pozostaje tylko modlitwa za „pacjenta z Plymouth", a jeszcze bardziej za cywilizację, która skazała go na tę śmierć.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



eprasa.pl d9f679a473

# Utrata kontroli

FOT. ADOBE STOCK

*Łukasz Warzecha*

**Przestępcy korzystają z luk w naszej cyfrowej rzeczywistości. Zaskakująco łatwo ich ofiarami padają ważni politycy**

Co zrobić, jeśli nieopatrznie napisze się tzw. alkotweeta? Najlepiej iść w zaparte i twierdzić, że miało się włamanie na konto. To uniwersalne tłumaczenie pojawiało się w najnowszej historii polskiej polityki i mediów społecznościowych tyle razy, że wszystkich takich słynnych przypadków nie sposób spamiętać. Kultowym i być może pierwszym głośnym był kazus niezwykle wojowniczej internautki starszego pokolenia, należącej niegdyś do najbardziej znanych i najaktywniej wspierających obecnie rządzącą partię. Tak się składa, że byłem poniekąd w tę historię zamieszany.

Oto w październiku 2015 r., na tydzień przed wyborami parlamentarnymi, w weekendowym magazynie „Gazety Wyborczej" ukazał się obszerny wywiad z jednym z najbardziej krytycznych wobec PiS publicystów. Pojawił się w nim temat córki premier Ewy Kopacz, która podobno miała zamiar wyjechać z Polski w razie wygranej PiS. Napisałem na Twitterze, że powstrzymywał jej nie będę, co rozmówca „GW" skomentował tweetem następującym: „Warzecha nie będzie powstrzymywał córki PEK przed wyjazdem z Polski. Ja nie powstrzymywałbym Warzechy, ale taki burak może rozkwitnąć tylko tu".

Do tej wymiany uprzejmości nawiązała wspomniana internautka, sugerując nie tylko problemy dzieci publicysty z narkotykami, lecz także nawet skłonności pedofilskie. Nie wspominam tu, o kogo chodzi, ponieważ sugestie te były wyjątkowo obrzydliwe.

Wokół tego wpisu rozpętała się burza. Właścicielka konta oznajmiła wkrótce, że to nie ona pisała, padła bowiem ofiarą ataku na swojego Twittera. Po czym zamknęła się za kłódką, czyli ograniczyła dostęp do swojego konta osobom przez siebie niezatwierdzonym.

## WPADKI NA SZCZYTACH WŁADZY

Jeżeli mówimy o przejmowaniu kont polityków czy osób publicznych, to można wyróżnić dwa sposoby postępowania. Pierwszy, bardziej prymitywny i znacznie mniej skuteczny, gdy idzie o niszczenie czyjegoś wizerunku, to opublikowanie na przejętym koncie wpisów, zdjęć, memów ewidentnie sprzecznych z poglądami i wizerunkiem danej osoby. Dla przykładu – opublikowanie wpisów zachęcających do aborcji na koncie antyaborcyjnego aktywisty. Znacznie groźniejszy jest sabotaż, polegający na umieszczeniu na koncie wiadomości, które wielu może uznać za będące faktycznie autorstwa właściciela konta, tyle że stworzonych albo pod wpływem skrajnych emocji, albo w stanie poalkoholowym. Jeżeli w sprawie tweetów dotyczących rodziny wspomnianego publicysty mieliśmy naprawdę do czynienia z przejęciem konta, to był to zdecydowanie drugi wariant. Jakkolwiek było faktycznie, w tamtej sprawie mało kto jednak wierzył w wyjaśnienie o włamaniu, ponieważ ton wspomnianych tweetów był identyczny z większością wpisów właścicielki konta.

Wyjaśnienia z cyklu „miałem włamanie na konto" pojawiały się wiele razy i czasem były prawdziwe. I pal licho, jeśli miałoby to dotyczyć osób bądź co bądź prywatnych, a przynajmniej niepełniących funkcji publicznych. Co jednak myśleć, jeśli ofiarami padają ludzie władzy, zasiadający w gremiach tak specyficznych jak sejmowa Komisja ds. Służb Specjalnych? Jej członkiem jest właśnie Marek Suski, bohater najnowszej afery z domniemanym włamaniem na twitterowe konto. W ubiegłym tygodniu na dawno nieużywanym koncie polityka PiS ukazała się seria wpisów, z której wynikało, że Marka Suskiego prześladuje swoimi roznegliżowanymi zdjęciami pewna radna związana ze Zjednoczoną Prawicą. Na koncie ukazały się nie tylko jej



eprasa.pl d9f679a473

zdjęcia w łagodniejszej wersji, lecz także link do pliku ze spakowanymi zdjęciami już mocniejszymi.

Rzeczniczka PiS Anita Czerwińska oznajmiła, że to właśnie włamanie na konto. Trudno było natychmiast w to uwierzyć, ponieważ gdy idzie o posła Suskiego, wydaje się, że wszystko jest możliwe. Ten polityk dość powszechnie ma opinię postaci na poły kabaretowej i ewentualni włamywacze brali to zapewne pod uwagę, odpowiednio układając opowieść. Tu jednak ofiarą mogła też paść niewinna kobieta.

Do przeanalizowania sprawy zabrał się portal niebezpiecznik.pl – a to fachowcy najwyższej próby, zawodowo zajmujący się zresztą testowaniem zabezpieczeń informatycznych. Według analityków Niebezpiecznika sekwencja zdarzeń mogła wyglądać następująco. Najpierw wykradziono zdjęcia kobiety. To banalnie łatwe, jeśli dana osoba nie korzysta z mocnych zabezpieczeń, a tak jest w przypadku większości użytkowników, zwłaszcza słabiej obeznanych z technologiami. Telefony pracujące na Androidzie czy iOS mogą domyślnie wysyłać zrobione nimi zdjęcia do chmury, z której może je ściągnąć włamywacz. Wystarczy, że zdobędzie hasło, co bywa bardzo proste.

Potem, zdaniem Niebezpiecznika, włamano się na konto Marka Suskiego, być może za sprawą wycieku haseł z innego miejsca (ludzie na ogół ustawiają identyczne hasła we wszystkich miejscach) albo phishingu, czyli dzięki spreparowanej wiadomości e-mail, której jedynym zadaniem jest właśnie wyłudzenie danych. Reszta była już banalnie prosta: wystarczyło użyć zdjęć, przejmując Twittera posła.

Sprawa z tweetami Suskiego wydarzyła się zaledwie około miesiąca po tym, jak wpadkę zaliczyła minister rodziny Marlena Maląg, której konto na Facebooku zostało przejęte i pojawiła się na nim opinia, co do której można było się wahać, czy faktycznie nie jest autorstwa pani minister. Chodziło o protesty Strajku Kobiet, a wpis opatrzony był zdjęciami pań z wymalowanymi na twarzach błyskawicami: „Jako kobieta, jako matka nigdy nie zrozumiem ani nie poprę protestujących. Wulgarne i chamskie zachowanie nie zdobi kobiet, przypominają mi watahy Papuasów i bezmózgich dzikusów zdolnych jedynie do bicia i bezrozumnego uprawiania seksu. […] Dla wszystkich bluzgających pseudo kobiet należy stworzyć specjalne rezerwaty, w których będą wykorzystywane jako inkubatory [pisownia oryginalna]".

Jak widać, włamywacze zadziałali metodą inteligentniejszej dywersji, umieszczając wpis, który co prawda ewidentnie przekraczał granice tego, co dopuszczalne u polityka, ale przecież nie odbiegał aż tak bardzo od retoryki niektórych członków partii rządzącej lub osób z kręgu PiS, by wspomnieć choćby Joachima Brudzińskiego, Krystynę Pawłowicz czy Dominika Tarczyńskiego.

Nie tylko polscy politycy padali jednak ofiarami włamań i nie tylko im przejmowano konta w mediach społecznościowych. Nasze rodzime przypadki można uznać za niegroźne, przynajmniej na razie, ale gdzie indziej zdarzały się i takie, gdzie w grę wchodziła aktywność obcego wywiadu. Tak było najprawdopodobniej w głośnej sprawie ujawnienia korespondencji szefa kampanii Hillary Clinton, Johna Podesty, przed poprzednimi wyborami prezydenckimi w USA, za czym mieli stać pracujący dla Rosji hakerzy.

Proces włamania opisywała Associated Press. Teoretycznie drużyna pani Clinton była dobrze chroniona. Przywiązywano tam dużą wagę do spraw bezpieczeństwa cyfrowego, a wszystkie konta miały podwójne zabezpieczenia (nie wystarczy wpisanie hasła, trzeba jeszcze potwierdzić logowanie, przynajmniej na wcześniej nieużywanym urządzeniu, aplikacją generującą jednorazowe kody, zainstalowaną na innym zaufanym urządzeniu, na ogół na smartfonie). Hakerzy tymczasem wykorzystali prosty trik: spreparowali fałszywy e-mail o konieczności zmiany hasła, który dotarł do Podesty, a ten – po konsultacji z informatykiem, który niestety udzielił złej rady i uznał e-mail za prawdziwy – kliknął w link zawarty w wiadomości.

## LENISTWO I NIEWIEDZA

Przestępcy wykorzystują luki w naszej cyfrowej rzeczywistości. Po pierwsze, z lenistwa, które sprawia, że większość korzysta z najprostszych haseł, opartych na imionach członków rodziny i datach urodzenia. Programy łamiące hasła rozgryzają to w ciągu milisekund. W dodatku na ogół we wszystkich miejscach hasła są identyczne. Po drugie, z niestaranności i dyletanctwa serwisów, z których zdarzają się masowe wycieki danych, w tym haseł, które, jako się rzekło, są często jednakowe w różnych miejscach. Tego typu wtopę zaliczył choćby świeżo otwarty „prawicowy Facebook" Albicla.com, w którego kodzie informatycy dostrzegli już kilka godzin po uruchomieniu lukę, pozwalającą pobrać całą bazę użytkowników. Można zatem spokojnie założyć, że ich hasła (w tym wicepremiera Glińskiego, bo i on się tam pojawił) są już w czyichś rękach. Po trzecie, z niewiedzy użytkowników. Ogromna większość nie ma pojęcia, że istnieją bezpieczne generatory losowych haseł, praktycznie nie do złamania, których nie trzeba zapamiętywać, bo wystarczy mieć jedno silne hasło do takiego programu. Przejście do dwuetapowej weryfikacji przekracza możliwości techniczne większości użytkowników. Najpopularniejsza zapewne aplikacja zabezpieczająca – Google Authenticator – ma w sklepie Google Play ok. 50 mln pobrań. Nawet doliczając drugie tyle na system Apple'a, to i tak nic w porównaniu z 1,5 mld użytkowników Gmaila.

Jeśli jednak mówimy o osobach pełniących najważniejsze funkcje, to w grę powinny już wchodzić fizyczne klucze zabezpieczające (urządzenie przypominające pen drive, które trzeba fizycznie podpiąć lub zbliżyć do komputera albo telefonu, żeby się na nim zalogować) – zdaniem specjalistów jedyne rozwiązanie zapewniające pełne bezpieczeństwo. Realnie rzecz biorąc, to już jednak zabawa dla naprawdę wtajemniczonych.

Jednak politycy, a już w szczególności ci, którzy pełnią ważne funkcje, powinni przechodzić szkolenia, mieć dostęp do zabezpieczonych urządzeń oraz profesjonalną obsługę informatyczną. Są firmy nie tylko specjalizujące się w doradzaniu w sprawach bezpieczeństwa cyfrowego, lecz także dokonujące kontrolowanych włamań i przejęć kont, aby przetestować bezpieczeństwo infrastruktury. Obawiam się, że w przypadku polskich polityków nie musieliby się specjalnie starać. Nadal obowiązują standardy, które wyznaczyło zdjęcie sprzed 10 lat, na którym przypadkowo utrwalono karteczkę przyklejoną do laptopa premiera Donalda Tuska. Login brzmiał „rmuser43", a hasło „Niebieski7".

Jeśli zaś politycy nie są w stanie sobie z tymi wyzwaniami poradzić, może po prostu powinno się ich wyposażyć w zabytkowe, proste telefony, które – zdaniem wszystkich specjalistów od zabezpieczeń oraz funkcjonariuszy służb – są w świecie cyfrowych technologii praktycznie nie do przechwycenia. Owszem, dostępu do Twittera nie da się z nich uzyskać. Ale czy naprawdę każdy musi być na Twitterze?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



eprasa.pl d9f679a473

FOT. SEAN GALLUP/GETTY IMAGES

# Szkolenie z wolności słowa

*Marcin Makowski*

**„Gazeta Wyborcza" nieopatrznie opublikowała list czytelniczki, którego opublikować nie powinna. Kobieta stawiała w nim bowiem pytania o „modę na niebinarność" i szukała na nie odpowiedzi. Zamiast dyskusji podziękowano jej jednak usunięciem listu z portalu. Redakcja otrzymała natomiast bonusowe szkolenie z równości. Prawda, że wesoła historia?**

Trudne jest życie czytelników „Gazety Wyborczej". Weźmy choćby autorkę listu do redakcji, która licząc na otwarty dialog z ludźmi hołubiącymi wolność słowa, skończyła wciągnięta w środowiskową aferę. Zrobiono z niej transfobkę oraz – nie przymierzając – internetowego trolla. Taki los spotkał matkę nastoletniej córki, zmagającej się w szkole z problemem „mody na niebinarność". List pt. „Mamo, mam udawać osobę niebinarną? Nie chcę! Ale nie chcę też stracić przyjaciół" został opublikowany w połowie stycznia, ale zamiast choćby spróbować odpowiedzieć na obudowany wszystkimi możliwymi zapewnieniami o tolerancji zarzut, po fali krytyki po prostu go usunięto.

## ŚWIAT, W KTÓRYM NIE MA MIEJSCA NA ŚRODEK

Na szczęście nic w Internecie nie ginie, dlatego czytelnicy „Do Rzeczy" będą mogli zapoznać się z treścią „zakazanej" korespondencji, a następnie wyruszyć w podróż do świata, w którym żeby coś opublikować na temat społeczności LGBTQ, trzeba najpierw przejść odpowiednie szkolenie. Nie uprzedzajmy jednak faktów.

Jak dokładnie wygląda sprawa, z którą do „Wyborczej" zwróciła się osoba podpisana jako „Tosia"? Otóż w szkole jej dziecka oraz w Internecie rozwijać się ma „niepokojący dyskurs, nieco zamiatający kobiety pod dywan". I już tutaj, na starcie, pojawia się pierwsza myślozbrodnia, ponieważ czytelniczka doprecyzowuje, że chodzi o „kobiety w sensie czysto biologicznym i płciowym", co – jak wiemy – jest szaloną i nieakceptowalną redukcją inkluzywnego terminu „kobiety z macicami". Matka nazywająca samą siebie „dziadersem" przyznaje jednak, że rozumie, iż świat się zmienia, a to, co nie śniło się jej pokoleniu – zwłaszcza w kontekście podejścia do własnego ciała – jest normą wśród współczesnej młodzieży. Poza pewną naturalną ewolucją pojęcia tabu pojawiają się jednak symptomy zjawiska, które uważa za groźne.

„Córka mówi, że bardzo dużo znajomych identyfikuje się jako osoby niebinarne, »wybiera sobie zaimki«, niektórzy stwierdzają, że są transpłciowi. Przyglądam się temu zjawisku z zaciekawieniem i zmartwieniem. Widzę bowiem, że z drugiej strony zanikło naturalne zjawisko subkultur, czyli kojarzenia się młodzieży według zainteresowań" – czytamy (a właściwie mogliśmy przeczytać). Kobieta podkreśla, że w tak skonstruowanej rzeczywistości nie ma miejsca na środek, neutralność albo brak określenia. „Albo przyjmujesz paczkę poglądów zawierającą niebinarność, »poczucie płci«, albo jesteś klasyfikowana jako przeciwniczka, »terfka«, »transfobka« (mimo że przecież ani ja, ani córka nie wykluczamy osób trans!) i nie ma możliwości rozmowy pomiędzy tymi dwoma grupami" – żali się czytelniczka „Wyborczej". Ja zaś dla porządku dodam, że popularny ostatnio termin „TERF" to anglojęzyczny skrót określający „radykalne feministki wykluczające osoby trans".

## UWAGA, TERFERKA

W tym miejscu Tosia popełnia drugi – po identyfikowaniu kobiet przez pryzmat biologii – błąd. Zapomina bowiem, że samo podważenie transpłciowości jako stanu, którego się nie wybiera, a który jest całkowicie naturalny, wrzuca się do ciemnej szufladki z tabliczką „terferzy". W tym świecie nie można być bowiem „niewykluczającym", gdy zadaje się równie niedorzeczne pytania. Matka nastolatki łatwo się jednak nie poddaje i słysząc narzekania dziecka na „koszmarny wybór między młotem a kowadłem", postanawia się doedukować. Robi to jednak na własną rękę, bez pieczy odpowiednich fundacji, więc błądzi jeszcze bardziej.

„Taki sposób pojmowania świata nie dość, że zakłada, że płeć ma jakieś swoje własne poczucie i uczucia – co jest bzdurą, bo płeć to »materialne« doświadczenie, to jeszcze w konsekwencji może prowadzić do zmniejszenia poczucia wartości kobiet, które będą uciekały w inne dyskursy, zmuszane do tego poczuciem konieczności dostosowania się do otaczającego je towa-



eprasa.pl d9f679a473

rzystwa" – rzuca odważnie Tosia. Konkluduje, że sprowadzanie dyskursu tożsamościowego do roli płci, a nie zainteresowań i wartości, paradoksalnie pogłębia stereotypy płciowe. Najciekawsze, a w pewnym sensie nieświadomie ironiczne, jest jednak zakończenie listu.

Czytelniczka już podskórnie czuje, że przekroczyła tolerancyjny Rubikon, zza którego nie ma powrotu, ale ostatkiem sił stara się odwołać do wyższej idei dyskursu, sprytnie, ale nieskutecznie zabezpieczając możliwą kontrę. „Najgorsze w tej rzeczywistości jest odbieranie pola do dyskusji […]. O ile można to wybaczyć dzieciom, które naprawdę szukają akceptacji, to niestety obserwuję to również wśród dorosłych kobiet. Wiem, że to minie, ale jakim kosztem, co to za sobą pociągnie! Bardzo dziękuję za możliwość wyłożenia moich wątpliwości i proszę o rzetelną dyskusję. Moment, w którym zostanę nazwana TERFką, będzie oznaczał moment klęski dyskutantów – i tego właśnie mojej córki uczę" – kończy nasza bohaterka.

Być może udałoby się jej prześlizgnąć przez sito ostracyzmu, skoro już raz oszukała system, w ogóle pojawiając się w rubryce z listami, ale pech chciał, że trafił na niego pisarz Jacek Dehnel. Och, jakże sarkastycznie przejechał się on po kobiecie, której wątpliwości i córkę uznał z marszu za fałszywe niczym zdjęcia na popularnym serwisie oferującym wszystkie możliwe sytuacje życiowe wykorzystywane do ilustrowania tekstów na portalach. „A w dzisiejszej »Wyborczej« stockowa matka pociesza stockową córkę, ofiarę »lewicowego półświatka«. Jej dramat polega na tym, że niektóre osoby w szkole są niebinarne i w związku z tym »nie ma już metali, punków, nie ma hipisów«" – rozpoczął karuzelę śmiechu Dehnel, a z czasem dołączyli do niej inni aktywiści i działacze. „Gazeto, kiedy listy od matki zaniepokojonej modą na homoseksualizm i dręczeniem jej córki przez szkolnych gejów? Może jakieś partnerstwo z TVP przy okazji?" – rzuciła na Twitterze Nina Kuta, youtuberka i aktywistka transowa. Swoje oburzenie na Instagramie wyraził również znany i lubiany kolektyw „Stop Bzdurom", który zresztą prowadzi prywatną krucjatę przeciwko „transfobii »Wyborczej«".

## „JESZCZE RAZ BARDZO PRZEPRASZAM, PRZESZKOLIMY SIĘ"

Widząc, jak grunt osuwa się jej spod nóg, naczelna portalu wyborcza.pl, na którym opublikowano groźne wezwanie do dialogu, rzuciła się gasić pożar. „Usuwamy ten list. Bardzo przepraszam za tę publikację. Nie mam nic na nasze usprawiedliwienie. W czwartek fundacja Trans-Fuzja zrobi szkolenie dla naszej redakcji. Mam nadzieję, że to pomoże zwiększyć naszą wrażliwość. Jeszcze raz bardzo, bardzo przepraszam!" – zadeklarowała Aleksandra Sobczak w komentarzu pod facebookowym wpisem Dehnela. List następnie, zgodnie z danym słowem, wyparował. Wbrew oczekiwaniom naczelnej nie uleciał jednak środowiskowy smrodek terfizmu. „Po kolejnym w ciągu ostatnich dni terfowym tekście naczelna »Wyborczej« przeprasza za »list czytelniczki« i zapowiada szkolenia w redakcji. Robi to w komentarzu do dyskusji na FB Jacka Dehnela, więc m o g ł o Wam umknąć. Tekst znika z portalu bez śladu i bez przeprosin" – oburzyła się w mediach społecznościowych Agata Kowalska, była dziennikarka TOK FM. Idąc tropem prowokacji, część internautów zwraca uwagę, że list Tosi niebezpiecznie przypomina podobne głosy w dyskusji za oceanem, więc może być koniem trojańskim „prawicowych trolli".

Jacek Dehnel
Ulubione · 12 stycznia o 13:22

A w dzisiejszej Wyborczej stockowa matka pociesza stockową córkę, ofiarę "lewicowego półświatka".

Jej dramat polega na tym, że niektóre osoby w szkole są niebinarne i w związku z tym "nie ma już metali, punków, nie ma hipisów."

Po pierwsze: jest rok 2021. Hipisi, jeśli dożyli, są na emeryturach, a jeden jest nawet prominentnym politykiem i na własnym przykładzie pokazuje młodzieży niszczące skutki wąchania kleju. Ale dobrze, przyznaję: "nie ma hipisów". Dodam, że wygasł również spór między piccinnistami a gluckistami i z tego powodu sam jestem bardzo zaniepokojoną matką. Ale jestem bardziej jeszcze zaniepokojoną matką, że skini już nie ganiają punków z nożami. Gdzie moja stockowa córka nauczy się prawdziwego życia?

Wszystko jednak przebija ten "lewicowy półświatek", który sobie wizualizuję: spelunka w gorszej dzielnicy miasta, za tęczowym szynkwasem w gwiazdy czerwone stoi baba z brodą, wokół apasze z Marksem pod apachą, prostytutki spierające się o pojęcie seksworkerstwa nad drinkami bez plastikowych słomek, niebinarny meliniarz wnosi butelki czystego leninizmu (zwrotne!). Gdzie jest policja?

1,8 tys. 275 komentarzy 62 udostępnienia

Lubię to! Udostępnij

WYBORCZA.PL
Mamo, mam udawać osobę niebinarną? Nie chcę! Ale nie chcę też stracić przyjaciół

Aleksandra Sobczak
Usuwamy ten list. Bardzo przepraszam za tę publikację. Nie mam nic na nasze usprawiedliwienie. W czwartek fundacja Trans-Fuzja zrobi szkolenie dla naszej redakcji. Mam nadzieję, że to pomoże zwiększyć naszą wrażliwość. Jeszcze raz bardzo bardzo przepraszam!

Wątek ten na pytanie magazynu „Press" rozwija sama Agora. Biuro prasowe wydawcy przekazało bowiem, że zespół portalu ma uzasadnione podejrzenia, iż opublikowany list nie był – cokolwiek przez to rozumieć – prawdziwy. „Konkretniej – że nie został napisany przez czytelnika »Gazety Wyborczej«, tylko przez trolla. Tekst powstał prawdopodobnie na podstawie angielskiej wersji bardzo podobnego listu. Dlatego redakcja zdecydowała, że nie przywróci tej publikacji" – czytamy w oświadczeniu. Inne wyjaśnienie, związane z pojawianiem się tych samych dylematów światopoglądowych w różnych miejscach na świecie, niestety okazało się za mało wiarygodne. I tak matka zamieniła się w sabotażystkę, a wezwanie do dyskusji oraz zaklinanie się na wszystkie świętości tolerancji uznano za nieszczere.

– Tak zwany list zaniepokojonej mamy przemycał treści transfobiczne, sugerujące, że transpłciowość to jakaś fanaberia czy moda. W społeczności LGBT+ osoby trans są najbardziej narażone na przemoc psychiczną i fizyczną. Te osoby muszą walczyć o uznanie własnej tożsamości płciowej, czyli o coś, co na przykład dla mnie jest naturalne jak powietrze. Gazeta wspierająca osoby LGBT+ nie powinna rozpowszechniać takiego przekazu – powiedział „Press" Mateusz Sulwiński, prezes stowarzyszenia Grupa Stonewall.

I tak nasza historia zatacza koło. Listu nie ma, było za to awaryjne i uwrażliwiające szkolenie fundacji Trans-Fuzja, która chętnie wytłumaczy, że np. „osobą w ciąży może być kobieta, mężczyzna, osoba niebinarna", a każda z „osób z macicą" ma prawo do „aborcji bez granic". Szkoda tylko, że nie pierwszy raz – bo podobny los spotkał we wrześniu felieton Piotra Głuchowskiego, który krytykował happeningi aktywisty LGBT Barta Staszewskiego – wolność słowa okazuje się mieć bardzo wyraźne granice. Oczyma wyobraźni widzę bowiem świat, w którym na list Tosi odpowiada Marysia albo Jacek, wyjaśniają swój punkt widzenia, a w nieoczekiwanym następstwie zdarzeń czegoś nawzajem się od siebie uczą. Myślą państwo, że to jeszcze możliwe?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



eprasa.pl d9f679a473

# Lodowata kąpiel zamiast siłowni

FOT. BEATA ZAWRZEL/REPORTER

*Agnieszka Niewińska*

**Nie można pójść na fitness, ale dostępu do morza i jezior nikt nam jeszcze nie zabrał. Spragnieni aktywności Polacy rzucili się do morsowania**

Kiedy oglądam zdjęcia pani Magdy z Olsztyna, po plecach przechodzi mi zimny dreszcz. Widzę warmińskie jezioro skute lodem, na którym zalega warstwa śniegu. Od brzegu w tafli wycięte są szerokie połacie lodu i tam w towarzystwie męża morsuje pani Magda. Do stroju kąpielowego założyła ciepłą czapkę z pomponem, szalik i grube rękawice. – Morsować trzeba koniecznie w czapkach i rękawicach, bo to tzw. końcówki ciała, przez które ucieka najwięcej ciepła. Do wody wchodzę w neoprenowych butach, bo w przeciwnym razie bardzo marzną palce u stóp – radzi pani Magda.

Zdjęcie z kąpieli w warmińskim jeziorze dokumentuje morsowanie z weekendu, kiedy to słupki rtęci spadły do –17 st. C. – Paradoksalnie przy takim mrozie zanurzenie w wodzie jest przyjemniejsze niż przy 0 st. C, bo temperatura wody jest wyższa niż temperatura powietrza – mówi pani Magda. To jej pierwszy sezon morsowania, a ma już za sobą kilkanaście zanurzeń. Nie tylko w jeziorach, ale także w morzu.

## KĄPIEL NA 100 OSÓB

W Kołobrzeskim Klubie Morsów, który na spontaniczne kąpiele w Bałtyku zaprasza trzy razy w tygodniu, ostatnio rozdzwoniły się telefony. – Codziennie dzwoni ktoś, kto chce zacząć morsować. Ludzie pytają, jak można uczestniczyć w morsowaniu, chcą się zapisywać. Na kąpielach pojawiają się nowe twarze, przychodzą ludzie, którzy morsują po raz pierwszy. Byli i tacy, którzy przyszli na kołobrzeskie molo, gdzie się zbieramy i wspólnie rozgrzewamy, ale ostatecznie nie zdecydowali się na wejście do wody – opowiada morsujący od dziewięciu lat prezes klubu Łukasz Zięba. I dodaje: – Widać, że pojawił się trend na morsowanie. Przysłużyła się temu pandemia. Wiele osób próbuje na własną rękę zadbać o swój stan zdrowia, poprawić odporność na wirusy, a morsowanie temu sprzyja.

– Nie miałam planu, żeby zacząć morsować, choć mój mąż robi to od lat – mówi pani Magda z Olsztyna. – W tym roku namówiła mnie kuzynka. Zdecydowałam się, bo w czasie pandemii nie ma za wiele możliwości wyjścia z domu i uprawiania sportu. Teraz co weekend jedziemy nad wodę. Widzę już efekty zdrowotne. W tym sezonie ani razu nie byłam chora, nie miałam nawet kataru, a jestem lekarzem weterynarii i codziennie przyjmuję pacjentów, spotykając się nawet z 30–40 osobami. Do tego morsowanie to zastrzyk endorfiny. Po



eprasa.pl d9f679a473

zanurzeniu w zimnej wodzie jestem zrelaksowana i pozytywnie nakręcona na cały dzień – opowiada. I dodaje, że choć jest zmarzlakiem, to tej zimy przełamała swoje bariery. O morsowaniu przy –17 st. C mówi, że to jej mały sukces.

Popularność, jaką morsowanie zdobyło w tym sezonie, ją zaskoczyła. – Rozumiem jednak, z czego to wynika. Morsowanie to okazja do tego, żeby wreszcie zdjąć maski, spotkać się ze znajomymi na otwartej przestrzeni. Już kilkakrotnie zanurzaliśmy się w większej grupie. W Olsztynie i okolicach nie brakuje nie tylko jezior, lecz także morsów. Dzięki temu możemy jeździć w różne miejsca bez konieczności wycinania połaci lodu, bo ktoś, kto morsował przed nami, już to zrobił.

Na morsowanie z Kołobrzeskim Klubem Morsów w dni powszednie przychodzi nawet kilkadziesiąt osób. – Najwięcej chętnych jest w niedzielę. Nawet setka, a bywa, że i ponad sto. Nie są to oficjalne kąpiele organizowane przez klub. Podajemy tylko termin, a ten, kto chce morsować w towarzystwie, przychodzi na własną rękę. Staramy się jednak przestrzegać zaleceń sanitarnych i trzymać dystans – opowiada Łukasz Zięba.

Dla kogo jest morsowanie? – Wśród naszych morsów najmłodszy miał 2,5 roku, najstarszy ponad 80 lat, więc można powiedzieć, że dla wszystkich. Spróbować może każdy, kto ma dobry ogólny stan zdrowia. Ci, którzy mają wątpliwości, powinni skonsultować się z lekarzem. Morsowanie nie jest zalecane m.in. osobom z chorobami serca, układu krążenia, z nadciśnieniem – wylicza Łukasz Zięba. Na pierwszą kąpiel poza strojem kąpielowym radzi zabrać czapkę. – Buty i rękawiczki opcjonalnie. Oczywiście trzeba mieć ręcznik, po kąpieli przyda się termos z ciepłą herbatą – doradza. – Niektórzy do wody wchodzą na trzy–cztery minuty, inni siedzą dłużej. Ja zanurzam się kilka razy podczas jednego morsowania. Wchodzę do wody na cztery–sześć minut, wychodzę, by się przebiec, i zanurzam się ponownie. To po części sport, po części hobby, ale też styl życia. Jedno jest pewne: morsowanie wciąga.

## PÓŁNAGO NA BABIĄ GÓRĘ

Wciągniętych w morsowanie coraz częściej widać na portalach społecznościowych. Mroźnymi wyczynami w sieci chętnie chwalą się nie tylko zwykli zjadacze chleba, lecz także celebryci. Jako morsujące dały się poznać Sonia i Maja Bohosiewicz, Karolina Ferenstein-Kraśko czy Anna Popek.

Zdjęciami z wejść do lodowatej wody chętnie chwali się aktorka Joanna Moro. Ostatnio stojąc po kolana w wodzie, skierowała nawet apel do władz: „Morsowanie stało się naszym narodowym, polskim sportem. Jest normalnie plaga morsowania! […] Potrzebna nam, kochana władzo, infrastruktura dla morsów, więcej plaż do morsowania, może ratownicy, przebieralnie. Pomóżcie nam, a będziemy wszyscy zdrowsi".

Są też zwolennicy suchego morsowania. Zamiast zanurzać się w zimnej wodzie, w stroju kąpielowym wychodzą na śnieg, tarzając się w nim, nacierając się nim. W tym sezonie popularność zdobywa też „górskie morsowanie". To wspinaczka na górskie szczyty zimą, ale w ubraniu odpowiednim do wędrówek latem. Głośno o tej „dyscyplinie" zrobiło się w połowie stycznia, kiedy to ratownicy GOPR musieli sprowadzić ze szlaku na Babią Górę 43-letnią turystkę w hipotermii. Temperatura jej ciała spadła do 26 st. C. Kobieta szczyt zdobywała ubrana jedynie w szorty, biustonosz i buty. Na Babiej Górze tego dnia było –14 st. C, silny wiatr, obwiązywał drugi stopień zagrożenia lawinowego. Kobieta w ciężkim stanie trafiła do szpitala. Ma odmrożenia wszystkich kończyn.

Dzień po akcji ratowniczej na szlaku na Babią Górę ratownicy zostali wezwani do wyczerpanego i wychłodzonego mężczyzny na Hali Skrzyczeńskiej w Beskidach. „Nieodpowiedni ubiór (w tym krótkie spodnie) ponownie mógł stać się przyczyną tragedii" – napisali w relacji z akcji.

Marcin Szczurek, naczelnik Grupy Beskidzkiej GOPR, wyjaśnia, że morsowanie w polskich górach pojawiło się przed trzema laty. Najpierw w Karkonoszach, gdzie osiedlił się Holender Wim Hof, znany na świecie jako Iceman. Pobił rekord na najdłuższą kąpiel w lodzie, w szortach wspiął się na Kilimandżaro, bierze udział w maratonach polarnych, a w Karkonoszach uczy innych morsowania i organizuje doroczny Bieg Icemana. –W Beskidach mamy pierwszy taki sezon, w którym lawinowo wzrosła ilość turystów zdobywająca szczyty w strojach kąpielowych. Z naszych obserwacji wynika, że ten trend nie wynika z filozofii życiowej turystów, długotrwałych treningów i stopniowego hartowania się. On się narodził w mediach społecznościowych. Ludzie widzą, że ktoś opublikował fajne zdjęcie z przerębla, z wejścia w szortach na jakiś szczyt, i też chcą takie mieć. Często podejmują niebezpieczne wyzwanie bez żadnego przygotowania – mówi Marcin Szczurek. I dodaje, że turystka w hipotermii, którą GOPR-owcy ratowali na szlaku na Babią Górę, prawdopodobnie po raz pierwszy próbowała zdobyć ten szczyt. – Jesteśmy dalecy od tego, żeby komuś czegoś zakazywać. Nie chcemy też wrzucać morsów do jednego worka, bo tego samego dnia, w którym wyszliśmy po turystkę w hipotermii, Babią Górę zdobyła inna grupa morsów – przygotowana kondycyjnie, wyposażona w ciepłe ubrania, w których później schodzili z góry. Do tego wejścia przygotowywali się etapami. Turystka, do której zostaliśmy wezwani, nie miała przy sobie ciepłych ubrań. Prawdopodobnie zawdzięcza życie spotkanym na szlaku osobom, które ją okryły.

## ODMROŻENIA GROŻĄ KALECTWEM

Naczelnik Grupy Beskidzkiej GOPR apeluje, by decydując się na górskie morsowanie, pamiętać, że może być ono śmiertelnie niebezpieczne, i przestrzegać kilku podstawowych zasad. – Nie róbmy tego w pojedynkę. Idźmy w grupie ludzi odpowiedzialnych za siebie nawzajem. Nie chodzi tylko o to, żeby w razie trudnej sytuacji był przy nas ktoś, kto wezwie pomoc. Objawów hipotermii drugiego stopnia, takich jak apatia czy zaburzenia świadomości, nie jesteśmy w stanie stwierdzić sami. Zauważą je osoby, które nam towarzyszą. Bądźmy przygotowani na sytuacje awaryjne. W plecaku musimy mieć ciepłe ubrania, termos z herbatą, batony energetyczne. Jeśli dopiero próbujemy takiego morsowania, wybierzmy niższe góry. Zanim wejdziemy na szlak bez ubrania, spróbujmy go przemierzyć zarówno latem, jak i zimą ciepło ubrani. Pamiętajmy, że góry to nie miasto. Pomoc nie przyjdzie w kilkanaście minut. Trzeba na nią poczekać – mówi Marcin Szczurek. I dodaje, że GOPR-owcy zawsze wyjdą na ratunek. – Zgodnie ze składaną przysięgą ruszymy z pomocą zarówno turyście przygotowanemu do wyprawy, któremu zdarzył się nieszczęśliwy wypadek, jak i osobie, która w trudnej sytuacji znalazła się z powodu własnej nieodpowiedzialności czy głupoty. Podejmując ryzyko, pamiętajmy, że odmrożenie kończyn nie zawsze dobrze się kończy. Może doprowadzić nas do kalectwa.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



eprasa.pl d9f679a473

Krzysztof Masłoń

**Bardzo długo wiele faktów z życia Bułata Okudżawy pomijano, inne zaś fałszowano. Warto je poznać**

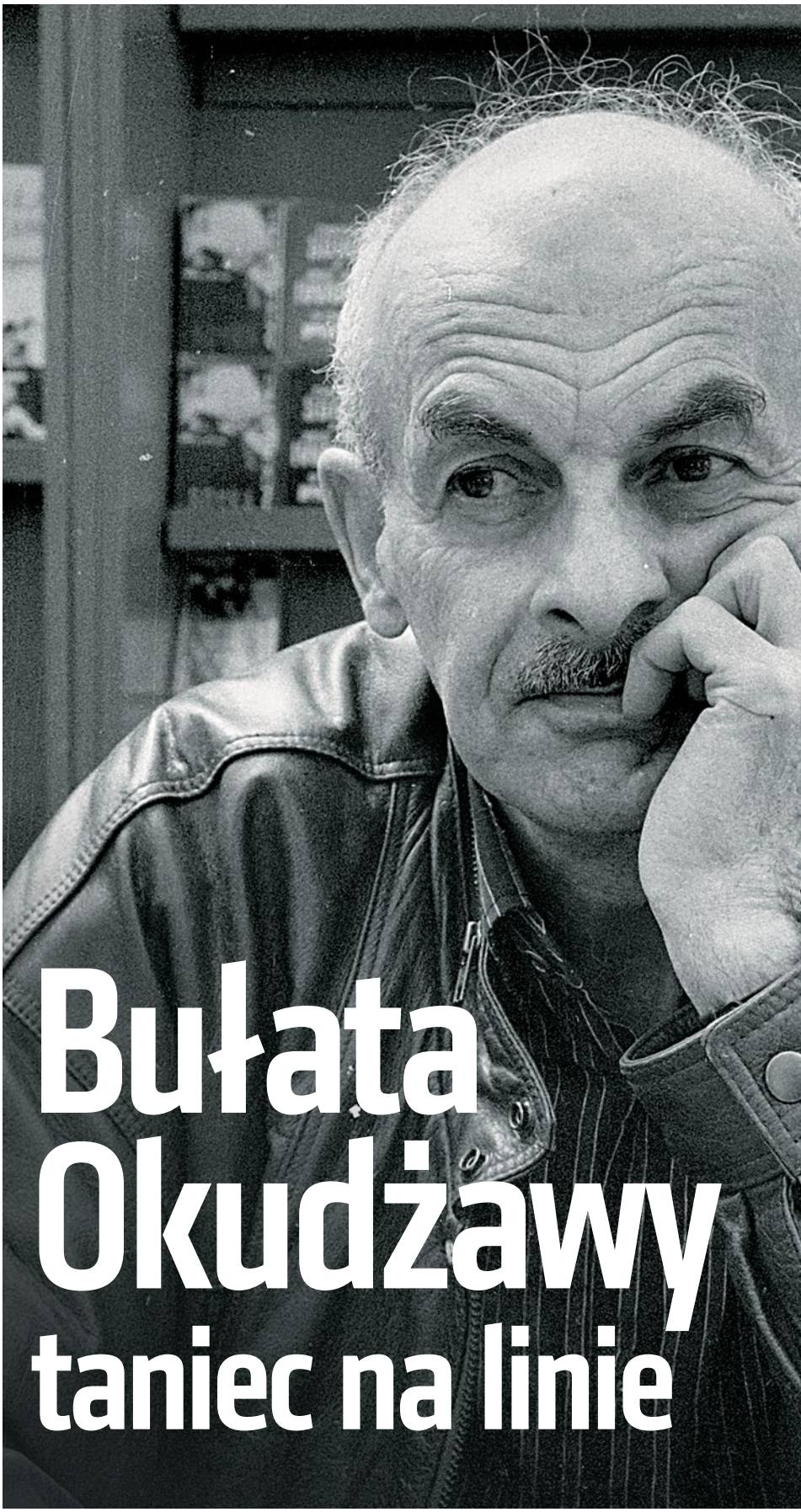

# Bułata Okudżawy taniec na linie

FOT. NAC

Bułata Okudżawę łatwo było wyprowadzić z równowagi, nazywając go bardem. Prawdopodobnie był to jeden z powodów, dla których jedyną rozmowę, jaką odbyłem z nim w 1992 r. na okoliczność wznowienia przez wydawnictwo Rytm powieści „Jeszcze pożyjesz", wspominam jako wybitnie nieudaną. Zapamiętałem z niej jedynie odpowiedź, której udzielił mi na zapytanie – już poza wywiadem – co sądzi o piosenkach autorskich i ich wykonaniach przez innych artystów. A była to anegdota, żydowski szmonces, który po latach znalazłem w osobistym szkicu poświęconym Okudżawie, napisanym przez zmarłego cztery lata temu prof. Henryka Łatyszewa. Jemu sławny balladzista też go opowiedział: „Przychodzi Icek do domu i mówi do żony: – Wiesz, Salcia, wszyscy się zachwycają: Karuzo! Karuzo! Słyszałem ja tego Karuzo i powiem Ci, że to nic szczególnego! – A co – mówi żona – ty na jego koncercie byłeś? – Nie – Icek na to – przecież Karuzo już dawno nie żyje. – A, to słuchałeś płyty? – Nie – mówi Icek. – Mosze mi zanucił".

Kłóci się ten dowcip z rozpowszechnioną opinią, jakoby Bułat Okudżawa wysoko cenił interpretacje swoich piosenek dokonane przez polskich wykonawców. W rekomendacji do wydanej właśnie w Polsce biografii Okudżawy pióra Dmitrija Bykowa Daniel Olbrychski zaświadcza o tym, pisząc: „Sam słyszałem, jak mówił, że jego słynną »Modlitwę« piękniej od Niego śpiewa po polsku Gustaw Lutkiewicz". Rzeczywiście jednak, twórca „Modlitwy" (ze względów cenzuralnych nazywanej często „Modlitwą François Villona"), mógł w superlatywach wyrażać się o polskich nagraniach jego utworów, gdyż „Ballady Bułata Okudżawy" z wykonaniami Sławy Przybylskiej, Edmunda Fettinga, Gustawa Lutkiewicza, Bohdana Łazuki, Wojciecha Młynarskiego, Wojciecha Siemiona i, oczywiście, samego Okudżawy o całe lata wyprzedziły płyty Okudżawy firmowane przez „Miełodię" (pierwszy singiel, zresz-



eprasa.pl d9f679a473

tą przegrany z płyty paryskiej, ukazał się dopiero w 1973 r., gdy każdy obywatel ZSRS mający magnetofon na pamięć znał dziesiątki jego songów). No i były to pierwsze, udane, próby przetłumaczenia jego pieśni na języki obce. Co nie znaczy, że zawsze były to tłumaczenia stuprocentowo wierne oryginałowi. Pewnych uwarunkowań się jednak nie przeskoczy.

Henryk Łatyszew tak na przykład skwitował znanego „Wańkę Morozowa": „Oto niewinna, zdawałoby się, piosenka o Wańce Morozowie, który chodził do cyrku na Starym placu i tam zakochał się w cyrkówce, nabrałaby zupełnie innego sensu, gdyby tłumacz wiedział o tym, że na znanym wszystkim moskwiczanom i wielu Rosjanom »Starym placu« w centrum Moskwy – nigdy nie było cyrku. Był natomiast inny »cyrk« (właśnie w cudzysłowie), czyli Dom Partii (komunistycznej oczywiście). Właśnie to partia była tą, w której tak zakochał się symboliczny Wańka – prosty chłop, którego obietnicami i nawoływaniem swą »białą dłonią« tak urzekła. Jakiż Wania nie uwierzyłby w taką świetlaną przyszłość, jakiż chłop nie poszedłby za tą, która tak wiele obiecała. Nie przypuszczał oczywiście żaden »Wania«, że chodzi po linie, jak i sama »cyrkówka«. Dodajmy jeszcze, że piosenka jest w dużym stopniu autobiograficzna. Czy Okudżawa należał do partii ze względu na sentyment do swojej mamy (która pozostawała w niej do końca swojego życia, nawet wiele lat po wyjściu z łagrów stalinowskich, w których spędziła […] 17 lat? Czy też z innych pobudek Okudżawa był równie długo członkiem [1956–1990 – przyp. K.M.] i wielbicielem tej »cyrkówki«? A może też jest w tej piosence trochę autoironii?".

## ŁZY BREŻNIEWA

Na te pytania spróbował odpowiedzieć w swej książce Dmitrij Bykow. Książce kontrowersyjnej, przynoszącej jednak wiele nieznanych powszechnie informacji i ciekawych wspomnień. Autor przełożonego przez Michała B. Jagiełłę „Okudżawy" jest w swojej ojczyźnie postacią już legendarną; na spotkania z tym, znanym z obrazoburczych często sądów, pisarzem i satyrykiem przychodzą tłumy, nie takie jak na wieczory autorskie twórcy „Majstra Griszy", ale jak na literaturoznawcę i tak wyjątkowe. A o Okudżawie pisze z miłością, nie pomijając jednak trudnych i niejednoznacznych wydarzeń z życia swojego bohatera. Warto je poznać, zwłaszcza że bardzo długo wiele faktów z jego życia pomijano, inne zaś fałszowano. Nie szukając daleko, sięgnijmy do polskiego wydania utworów Bułata Okudżawy z 1985 r. pod redakcją Witolda Dąbrowskiego i Wiktora Woroszylskiego. Można tam w stosownej nocie przeczytać: „Bułat Okudżawa, rosyjski poeta i pieśniarz, urodzony 9 maja 1924 w Moskwie, jest synem Gruzina i Ormianki. Jego ojciec był działaczem partyjnym wysokiego szczebla. Ale ojca stracił jako bardzo młody chłopak, a z matką był przez wiele lat rozłączony". Naprawdę ojciec (m.in. pierwszy sekretarz partii w Niżnym Tagile) został w 1937 r. rozstrzelany, a matka (sekretarz rajkomu) w łagrach spędziła ponad 17 lat.

„Jeśli prześledzimy los Okudżawy – pisze Dmitrij Bykow – i porównamy go z kanoniczną biografią poety romantycznego, ujrzymy naprawdę tragiczne widowisko. Mało kogo prześladowały nieszczęścia tak upokarzające, nieestetyczne, niepoetyckie. Był synem funkcjonariuszy aparatu partyjnego, fanatycznie oddanym swojej pracy i poświęcającym synowi bardzo mało czasu. Okudżawa, podobnie jak Puszkin, miał ukochaną nianię, rosyjską chłopkę, ale matka wypędziła ją na wieść, że niania zaprowadziła małego Bułata do niezburzonej jeszcze cerkwi Chrystusa Zbawiciela. Po aresztowaniu ojca Okudżawa zamieszkał u babci w Moskwie (cały jego mit Arbatu to właśnie te trzy lata, później już nigdy tam nie mieszkał), a po aresztowaniu matki, od 1940 roku w Tbilisi, u ciotki Sylwii. W 1942 roku jako osiemnastolatek zgłosił się na ochotnika do wojska, doświadczył całego wojskowego chaosu pierwszych lat wojny, ćwiczył musztrę, ale niemal w ogóle nie zaznał frontowej solidarności i wolności – tej szczypty swobody, którą weterani tęsknie wspominają do dziś. Wojna odwróciła się do niego najbardziej smętną i absurdalną stroną. Podczas swego krótkiego pobytu na pierwszej linii zdążył dostać równie absurdalny postrzał w nogę z samolotu zwiadowczego, który leniwie ostrzeliwał pozycje moździerzy. Poleżał w szpitalu i jeszcze przez dwa lata snuł się na tyłach, przenoszony z jednej jednostki do drugiej".

A jednak, niemal jak nikt, potrafił oddać swymi tekstami frontową prawdę. Między innymi napisał genialną pieśń „Zdies pticy nie pajut" do znanego filmu





eprasa.pl d9f679a473

Andrieja Smirnowa z 1970 r. „Dworzec Białoruski". Obraz ten miał znikome szanse na dopuszczenie na sowieckie ekrany, pomógł mu jednak… Leonid Breżniew, który na urządzonym dla niego pokazie „Dworca…" się popłakał. Być może, po części ze względu na balladę, która – kiedy już się ukazała na płycie – „nobilitowała – czytamy w biografii – autora jako muzyka. Nie przeszkodziło to kolegom wyrzucić go z partii. Decyzję unieważnił Komitet Miejski KPZR. Stało się tak nie tylko dzięki staraniom przyjaciół (przede wszystkim Jewtuszenki), lecz także dzięki temu, że Okudżawa był twórcą najbardziej znanej i ukochanej przez wszystkich piosenki o wojnie".

Z tym że naprawdę towarzysze z podstawowej organizacji partyjnej postanowili go usunąć ze swego grona po tym, jak odmówił złożenia samokrytyki za opublikowanie w emigracyjnym wydawnictwie „Posiew" zbioru swoich utworów poprzedzonych przedmową uznaną za antysowiecką. Okudżawa, skądinąd przytomnie, wywodził, że nie będzie odnosił się do książki, o której nic nie wie (podobne tytuły ukazywały się na Zachodzie z nadrukiem: „Wydano bez zgody autora"), gdyż przyznałby, że ją zna, a tak przecież nie jest. Jewtuszenko retorycznie zapytał komunistycznego czynownika: „Czyżbyśmy mieli dać się im [czyli zachodnim imperialistom – przyp. K.M.] prowadzić na smyczy?", i cała zawierucha skończyła się na partyjnej naganie. A Okudżawa w KPZR wytrwał aż do pieriestrojki.

## WRÓG LUDU

Jewgienija Taratuta, też więziona w czasach stalinowskich, w eseju „Pewnego razu w Pradze" wspomina swoją rozmowę z Okudżawą nad Wełtawą w 1964 r. Bułat opowiedział jej wtedy, jak po aresztowaniu rodziny „w szkole musiał stanąć na środku klasy i wyprzeć się ojca – jesteś prawdziwym pionierem, a twój ojciec to wróg ludu…". Z tą etykietą musiał żyć przez długie lata, a „niewłaściwe" pochodzenie wytykano mu przy każdej okazji. Starał się więc…

Po wojnie wciąż miał pod górkę: „Od 1945 roku – czytamy – studiował na Uniwersytecie w Tbilisi, gdzie znalazł nową rodzinę w kółku studentów o podobnych poglądach Słomiana Lampa, ale członkowie kółka zostali aresztowani i zesłani do łagrów, a sam Okudżawa musiał jak najszybciej wyjechać do Moskwy i przez trzy miesiące przeczekiwać falę represji. W 1951 roku poprosił o przydział pracy do Rosji Środkowej, za którą stale tęsknił w Gruzji, i trafił do wsi Szamordino, gdzie cierpiał straszliwą biedę bez żadnego dobytku, gnieżdżąc się z młodą żoną w pełnej przeciągów celi klasztornej. W 1953 roku przeniósł się do Kaługi. Przez pewien czas uczył tam w szkole dla młodzieży robotniczej, samotny w gronie kolegów z pracy, wśród których nie znajdował nikogo do rozmowy, nadal ciążyło na nim piętno »syna wroga ludu«".

Zadebiutował w 1952 r. w Kałudze, w gazecie „Sztandar" wierszem „Buduję":

***Pod nieboskłonem pokoju***
***Na budowie***
***Ja, murarz,***
***Wznoszę ściany miast i domów;***
***Jak nienawidzą mnie panowie***
***Z Londynu i Waszyngtonu!***
***Szybko, równo wyrastają ściany,***
***Jasne słońce wschodzi nad nami,***
***Widzę,***
***Jak trzeszczą panów tych plany***
***Pod czerwonymi cegieł rzędami!***
***Mój słoneczny dom w górę pnie się,***
***Ja, murarz,***
***Zbudować go muszę;***
***Wiem,***
***Że w każdym mym ruchu i geście***
***Tkwi ludzkiego szczęścia okruszek.***

Dwa lata wcześniej zaliczył w Tbilisi na filologii rosyjskiej na bardzo dobry pracę dyplomową „Wielka Rewolucja Październikowa w poematach Majakowskiego" – „czterdzieści stron – powiada Dmitrij Bykow – frazesów, banałów i obszernych cytatów". Minęło sześć lat i został redaktorem działu poezji w „Litieraturnoj Gazietie". To już był inny czas, chruszczowowski, wciąż niewolny od zagrożeń, ale przecież pozwalający mieć jakąś nadzieję. I o niej pisał, i o niej śpiewał.

W drugiej połowie lat 50. w „Ostatnim trolejbusie", „jednej ze swoich najlepszych piosenek, która stała się klasykiem gatunku", pisał: „»Twoi pasażerowie przychodzą z pomocą«. Nocny trolejbus jest duszą Moskwy. Miasto wysyła go nocą, żeby zbierał smutnych i samotnych. Podobny obraz znajdziemy w trzeciej części „Harry'ego Pottera" J.K. Rowling. Tam nocny autobus niczym karetka pogotowia spieszy na pomoc czarodziejom w opałach. Niezmienna dziecięca wiara w transport miejski?

Dobra i demokratyczna Moskwa z pierwszego cyklu wierszy to hołd złożony pamięci z czasów dzieciństwa o najlepszym mieście na świecie; bohater wrócił i nic już ich nie rozłączy. Okudżawa przesadza w tych wyznaniach miłosnych: »Ach, to miasto jest takie jak ja, to smutne, to wesołe, ale zawsze dumne«. Nieważne, że obok pojawia się obraz »moskiewskiej mrówki«, zwykłego człowieka, przeciwwaga dla radzieckiej gigantomanii. »Zawsze dumny« to odważne stwierdzenie, ale Okudżawa miał do niego prawo – wielokrotnie udowadniał, że potrafi zachować twarz w każdej sytuacji. Najważniejsze podobieństwo polega jednak na tym, że miasto noszące »najwyższy stopień i nazwę Moskwa zawsze samo wychodzi gościom na spotkanie«. Okudżawa obdarza stolicę własną, kaukaską gościnnością. Wkrótce powstanie piosenka, która rozsławi poetę – »Arbat, mój Arbat«, w której znów mamy do czynienia z »udomowieniem« Ojczyzny. Arbat staje się tą ojczyzną. Nie dlatego, że jest wielki, ale dlatego, że jest niewyczerpany. Nigdy nie uda się przejść go do końca, a w każdym przechodniu, »człowieczku niewielkim«, kryją się te same moce co w bohaterach czy gigantach ducha".

## ZMIANY NA ARBACIE

W 1984 r. na wieść o tym, że Arbat, ta stara moskiewska ulica, zostanie przebudowana, napisał Okudżawa „Piosenkę niszczycieli Arbatu", opublikowaną dopiero 10 lat później, gdy znakomicie było już widać, że słowo ciałem się stało:

***Płytkami pokryjemy Arbat jak WC,***
***Przeszłości za nic mając blask,***
***I nawet na torturach nie przyznamy, że***
***Zwyczajni ignoranci z nas.***
***Refren:***
***Niech ktoś z zawiści plan ten krytykuje,***
***Że niby gustu całkiem nam brakuje,***
***A my nie przejmujemy się lamentem,***
***Puścimy płytki wszędzie, wzdłuż i wszerz,***
***Mało wybredny gość uzna, że piękne,***
***Moskwianin nawet nie otworzy ust.***

***Będzie ciąg knajp na miejscu historycznych miejsc,***
***Portierzy będą stać u bram,***
***Nam samym na weganizm trzeba będzie przejść,***
***Arbat chce glazurowych zmian!***
***[…].***

Do Polski przyjechał po raz pierwszy w 1964 r. Znalazł tu przyjaciół, poznał


eprasa.pl d9f679a473

ważną w jego życiu prywatnym Agnieszkę Osiecką (przez Bykowa z ewidentną przesadą nazwaną „najwybitniejszą poetką europejską"), którą uwiecznił w napisanym później „Pożegnaniu z Polską", pił wódkę ze Zbigniewem Cybulskim i z Ewą Demarczyk, znalazł grono szczerych miłośników jego twórczości. Podczas następnych wizyt w naszym kraju przybywało gości na spotkaniach z nim. W 1967 r. Komitet Centralny (!) KPZR otrzymał stosowny raport z KGB, podpisany przez zastępcę przewodniczącego tej instytucji, Siergieja Bannikowa:

„Według posiadanych przez KGB informacji poeta Bułat Okudżawa podczas pobytu w PRL spotykał się z wieloma polskimi literatami, znanymi ze swoich rewizjonistycznych i syjonistycznych poglądów, szczególnie z Modzelewską Natalią, Kołakowskim Leszkiem, Konwickim Tadeuszem, a także z Szenfeldem Ignacym, podejrzewanym o przekazywanie wydawnictwom zachodnim materiałów literackich autorstwa pisarzy radzieckich. Szenfeld bardzo interesował się Okudżawą, nieoficjalnie był jego opiekunem, stwarzał warunki do nawiązywania kontaktów z kręgami literackimi oraz organizował spotkania o charakterze prywatnym. Kontakty osobiste z Okudżawą utrzymywali pisarze znani ze swych wystąpień antysocjalistycznych: Michnik Adam, Kofman Jan, Blumsztajn Seweryn, Zambrowski Antoni, Kuczyński Waldemar, Sawicki Mirosław, Modzelewska Bogna, Tenenbaum Natan, a także Stanisław i Joanna Gomułkowie oraz Grażyna i Jacek Kuroniowie. Z inicjatywy Michnika Adama i Kuroniów w mieszkaniu tych ostatnich 16 lipca odbyło się spotkanie Okudżawy z ww. literatami. Okudżawa uskarżał się, że w związku ze stosunkiem władzy do jego osoby nie jest w ZSRR zbyt popularny. Mówił też, że w czasie rozmowy w KC KPZR oskarżono go, że jego twórczość wykorzystywana jest przez wrogie ośrodki propagandy antyradzieckiej na Zachodzie. Modzelewska Natalia i Staszewski Stefan powiedzieli, że Okudżawa zasługuje na starania z ich strony, gdyż należy do grupy tzw. młodych gniewnych pisarzy radzieckich. Studio Film Polski planowało nakręcenie filmu dokumentalnego o Okudżawie, jednakże później zrezygnowano z tego pomysłu".

W dekadzie lat 70. Bułat Okudżawa coraz mniej pisał wierszy, koncentrując się na prozie. Tej ostatniej, pisze Bykow, „próbował już wcześniej. »Jeszcze pożyjesz«… opublikował w 1961 roku, ale dopiero jako czterdziestolatek zabrał się do pisania prozy historycznej – »Nieszczęsnego Awrosimowa«, od którego zaczęła się jego saga na temat XIX wieku; cykl, który sam nazywał »fantazjami historycznymi«. Zapewne był to sposób ratowania samego siebie, sposób zachowania duszy i możliwości twórczych w okresie, kiedy »dźwięki ustały«". Wymienić tutaj trzeba jeszcze tytuły: „Mersi, czyli przypadki Szypowa", „Wędrówki dyletantów" i „Spotkanie z Bonapartem". A za powieść o charakterze autobiograficznym „Zamknięty teatr. Kronika rodzinna" (1993) nagrodzono go rosyjskim Bookerem.

## CHRZEST Z WODY

Generalnie jednak późne lata życia Bułata Okudżawy nie były dla niego łaskawe. Wstąpił do stowarzyszenia pisarzy Kwiecień, niejako z automatu stając się przeciwnikiem tych byłych kolegów, którzy solidaryzowali się z „Pamięcią". Dmitrij Bykow porównuje tu Okudżawę do Aleksandra Błoka, któremu „po »Dwunastu« wielu ludzi przestało podawać Błokowi rękę. Po »Liście czterdziestu dwóch« i wywiadzie, jakiego Okudżawa udzielił Andriejowi Kryłowowi – rozumianym niekiedy jako pochwała użycia siły – na występie w Mińsku zorganizowano poecie prawdziwy bojkot, a znakomity artysta Władimir Gostiuchin, człowiek o poglądach umiarkowanie patriotycznych, publicznie połamał i podeptał jego płytę". Niemłodemu już przecież poecie przyszło też kiedyś stoczyć na spotkaniu literatów regularną bójkę.

Pisał już niewiele, dużo za to podróżował, jakby chcąc odrobić dawne lata, gdy nie wypuszczano go za granicę. Ale też w Ameryce trafił do szpitala, gdzie nie było go stać (!) na opłacenie, jak miało się okazać, kosztownej operacji aorty. Ubezpieczenie obejmowało zabiegi do 10 tys. dol., a trzeba było dopłacić jeszcze 40 tys. W końcu amerykańscy przyjaciele pomogli, wybłagali od wydawców zaliczki i zadowolili żądania szpitala w Los Angeles, a rząd amerykański umorzył część długu, niemniej organizowano już publiczną zbiórkę pieniędzy, które potem zresztą oddano ofiarodawcom. Dla samego Okudżawy, człowieka dumnego, była to jednak sytuacja bardzo przykra.

W październiku 1993 r. w Rosji wybuchł poważny kryzys rządowy, przez wielu nazywany drugim puczem moskiewskim. Ostrzelany został wtedy parlament zajęty przez opozycję, po której stronie opowiedzieli się przewodniczący Rady Najwyższej Rusłan Chasbułatow i wiceprezydent Aleksandr Ruckoj. „Pod sztandarem obrony prawa i demokracji gromadzili się ludzie, którzy w razie przejęcia władzy nie zostawiliby zbyt wiele ani prawa, ani demokracji" – twierdzi Bykow. W każdym razie właśnie wtedy Bułat Okudżawa pierwszy i jedyny raz wyraźnie stanął po stronie państwa. Czyli Jelcyna.

Do problemów zdrowotnych dołączyły się rodzinne. „Starszy syn Okudżawy [Igor – przyp. K.M.] był dobrym i czarującym chłopcem, ale wyrósł na człowieka bezwolnego i miękkiego – czytamy. – Nie pociągało go żadne zajęcie. W efekcie często zmieniał pracę – od muzyka po rzeźnika. Cierpiał na alkoholizm, popadł w narkomanię, w młodości obracał się w kręgu hipisów, odsłużył wojsko, przeżył nieudane małżeństwo, był sądzony, o mało co nie trafił do więzienia, chorował, żył w nędzy. Przeszedł ciężką operację, amputowano mu nogę. Zmarł 11 stycznia 1997 roku tuż po swoich czterdziestych trzecich urodzinach. Ojciec przeżył go o pół roku".

Bułat Okudżawa umarł 12 czerwca w szpitalu paryskim, gdzie nie znając francuskiego, nie mógł doprosić się o szklankę herbaty. Przed śmiercią jego żona Olga ochrzciła go z wody, wcześniej upewniając się u batiuszki, czy taki chrzest jest dla Cerkwi ważny. Nadała mężowi imię Jan. Dmitrij Bykow w cytowanej tu gęsto książce „Okudżawa. Życie, piosenki, legenda" zauważa, że jego bohater już dawno w autobiograficznych opowiadaniach nazywał siebie Iwanem Iwanowiczem. A po pół roku wdowa znajdzie w kieszeni marynarki Bułata kartkę z dwuwierszem:

***To, że ktoś ze śmiercią żarty sobie stroi,***
***Nie oznacza, że się jej nie boi.***

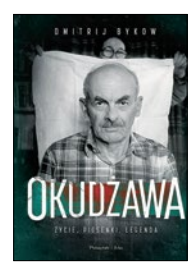


**DMITRIJ BYKOW „OKUDŻAWA. ŻYCIE, PIOSENKI, LEGENDA" PRÓSZYŃSKI I S-KA 2020**

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



eprasa.pl d9f679a473

Piotr Gociek

# Pod dachami Paryża

**Serial „Lupin" w ciągu kilku dni od premiery stał się najchętniej oglądaną produkcją w kilkudziesięciu krajach świata. Także w Polsce**

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Arsène Lupin między nami! Nieuchwytny włamywacz, którego bohaterskie czyny od miesięcy nie schodziły ze stron wszystkich dzienników. Arsène Lupin, dżentelmen-fantasta, który operował tylko w starych zamkach oraz salonach i który, dostawszy się pewnej nocy do siedziby barona Schormanna, wyszedł z niej z pustymi rękami, zostawiając po sobie kartkę z tymi słowami: „Arsène Lupin, dżentelmen-włamywacz, wróci tu wtedy, kiedy meble będą prawdziwymi antykami". „[...] Arsène Lupin, człowiek o tysiącu twarzy: szofer, tenor operowy, bookmacher, chłopiec z dobrego domu, młodzieniec lub starzec, komiwojażer z Marsylii, rosyjski lekarz, hiszpański toreador, wszystko po kolei!" – takimi słowami opisywał swego najsłynniejszego bohatera francuski pisarz Maurice Leblanc na kartach pierwszego opowiadania w tomie „Arsène Lupin dżentelmen-włamywacz" otwierającego (jak się potem okazało) serię liczącą 17 powieści i kilkadziesiąt opowiadań.

Kariera Lupina rozpoczęła się w roku 1905 i nie skończyła wraz ze śmiercią Leblanca (zmarł w 1941 r.). Dżentelmen-włamywacz stał się jedną z najważniejszych postaci francuskiej zbiorowej wyobraźni, obok hrabiego Monte Christo czy d'Artagnana i pozostałych muszkieterów, czego owocem były liczne filmy, seriale, sztuki teatralne i komiksy. Oraz oczywiście powieściowe kontynuacje jego przygód, ale autorstwa innych twórców. Bez wątpienia dla świata frankofońskiego Arsène Lupin to postać równie znacząca jak dla Anglosasów Sherlock Holmes, zresztą jako rywal Holmesa został przez Leblanca wymyślony.

Dzisiaj Arsène Lupin powrócił w nowej wersji. Nazywa się Assane Diop i zamiast cylindra na głowie nosi kaszkiet. Nie ma monokla w oku, pe-



eprasa.pl d9f679a473

lerynę zastąpił wełnianym płaszczem. No i jest czarnoskóry. Bo to nie oryginalny dżentelmen-włamywacz, lecz jego zapamiętały fan, żyjący i grasujący w Paryżu XXI w. Francuzi pozazdrościli swym odwiecznym rywalom Anglikom udanej rewitalizacji popkulturowego bohatera, jaką był serial BBC „Sherlock" z Benedictem Cumberbatchem w roli genialnego detektywa. Odpowiedzią jest serial „Lupin", który trzy dni po premierze (trafił do Netflixa 8 stycznia) stał się najchętniej oglądaną propozycją tego serwisu streamingowego w niemal 50 krajach światach (w kolejnych wskakując do pierwszej dziesiątki). „Pierwszym wielkim serialem roku 2021" nazwał „Lupina" recenzent prestiżowego portalu RogerEbert.com, a odtwórca głównej roli – Omar Sy – dziękował fanom z całego globu na Twitterze.

## WSKRZESZENIE POSTACI

Jest to bardzo dobry przykład bezpretensjonalnej, rozrywkowej telewizji, a wskrzeszenie postaci Arsène'a Lupina obmyślono zgrabnie. (Prztyczek w nos zadufanych w sobie Francuzów – scenarzystów znad Sekwany wyręczył Anglik, George Kay, twórca m.in. serialu „Obsesja Eve"). Assane'a Diopa poznajemy w chwili, gdy stawia się do pracy na nocną zmianę w Luwrze. Ktoś musi sprzątać jedno z najwspanialszych muzeów na świecie, Diop pucuje więc podłogi, spoglądając na „Monę Lizę", a tęsknym wzrokiem wodząc po drogocennym naszyjniku, który kiedyś Ludwik XVI podarował Marii Antoninie. Cacko ma wkrótce trafić na aukcję, ale na razie spoczywa w muzealnej gablocie.

Dlaczego Diop skrzykuje gromadę opryszków, aby ukraść naszyjnik? Co łączy go z bogatą rodziną Pellegrinich, którzy sprzedają zabytkowe cacko? Opowieść toczy się dwutorowo, bo oprócz wypadków współczesnych widzimy retrospekcję: mały Assane wychowywany jest przez samotnego ojca, Babakara Diopa, imigranta z Senegalu. Diop zatrudniony zostaje przez Pellegrinich jako szofer, nastoletni Assane poznaje też młodą i piękną córkę jaśnie państwa, która ma na młodzieńca apetyt. I wszystko wygląda dobrze dopóty, dopóki pewnego dnia naszyjnik nie zostaje skradziony, o co właściciele i policja oskarżają nieszczęsnego Babakara.

No dobrze, wprawdzie oryginalny Arsène Lupin był zamieszany w sprawę kradzieży cennego naszyjnika, ale nie on pierwszy i nie on ostatni. Co zatem łączy sympatycznego Senegalczyka z serialu George'a Kaya oraz postać stworzoną przez Maurice'a Leblanca? Już wyjaśniam – pierwsza książka o przygodach dżentelmena-włamywacza to prezent od ojca dla małego Assane'a. Małoletni Diop zaczytuje się w przygodach Lupina i bierze go sobie za wzór w trzech kwestiach. Po pierwsze, jak wyjaśnia szkolnej koleżance, mężczyźni nie dzielą się jedynie na agresywnych macho oraz rycerzy w srebrnych zbrojach – są także dżentelmeni. Po drugie, motto Lupina „być zawsze o krok przed innymi" staje się mottem Assane'a Diopa. Po trzecie, pozostając dżentelmenem oraz wyprzedzając innych w myśleniu, decyduje się na karierę złodzieja i sądząc po niemałych środkach pozostających do jego dyspozycji oraz wystroju mieszkania, wiedzie mu się bardzo dobrze.

Rozmaite motywy w „Lupinie" wyjęte są z dawnych bestsellerów Leblanca i kto je pamięta, ten będzie się świetnie bawił, odnajdując te tropy w serialu, tak jak zapamiętali fani przygód Sherlocka Holmesa podziwiali wykorzystanie pomysłów Conan Doyle'a w serialu BBC. Poza tym jest to jednak opowieść na wskroś współczesna, a skoro współczesna, to musi też mieć odpowiedni wydźwięk polityczno-społeczny. Tutaj twórcy „Lupina" oddają hołd wymogom poprawności politycznej wręcz do bólu. Chociaż Assane Diop może liczyć na pomoc dobrego białego – czyli wspólnika Benjamina (Antoine Gouy), handlarza antykami i geniusza techniki, z którym zaprzyjaźnił się w szkole – to reszta ról rozpisana jest wedle schematu bardzo prostego.

Sprawcami nieszczęść rodziny Diop są bogaci biali Francuzi (rodzina Pellegrinich). Za skręconymi śledztwami i niesprawiedliwymi wyrokami (których ofiarą padł nie tylko Babakar, nieszczęsny ojciec Assane'a) stoją oczywiście biali policjanci. Ofiarami dzielnego współczesnego Lupina są starzy biali bogaci, tak jak pewna staruszka, której ukradnie biżuterię – w tym oryginalne jajo Fabergé – przedstawiona jako rasistka, z sugestią, że nie powinniśmy jej w takim razie żałować. Tępy biały oficer policji, nienadążający za wyczynami Lupina, ma pod sobą mądrych podwładnych – oczywiście rasowo słusznych, w tym Araba Yussufa. I oczywiście Yussuf jest oczytany i sprytny, ale głupi białas go nie słucha. Wyjątek uczyniono dla kobiety, w której od młodości zakochany jest Assane Diop i z którą ma kilkunastoletniego syna – tej pozwolono być i białą, i niegłupią, i sympatyczną.

Miarą talentu twórców „Lupina" niech będzie fakt, że cała ta konstrukcja nie przeszkadza w oglądaniu i wcale nie dziwi mnie wielki sukces serialu pod wszystkimi szerokościami geograficznymi. Netflix do spółki z francuskim studiem Gaumont Television ma w rękach hit o olbrzymim potencjale rozwojowym, osadzony bardzo mocno w chwytliwych schematach popkultury, łączący opowieść kryminalną z motywem zemsty po latach w duchu „Hrabiego Monte Christo". Ma głównego bohatera, któremu chce się kibicować, ma ogólnie słuszne przesłanie, które trafi do XXI-wiecznych proletariuszy turbokapitalizmu: precz z bogatymi, grab zagrabione! I ma fenomenalnego Omara Sy, który obdarzony jest wielką charyzmą, a i aktor z niego bardzo dobry, co przecież wcześniej pokazywał w takich filmach jak „Nietykalni" (2011) czy „Jutro będziemy szczęśliwi" (2016). Nie bez powodu o Omara Sy upomniał się już Hollywood, zobaczymy go wkrótce w superprodukcji „Jurassic World: Dominion".

## KTO NASTĘPNY?

Nakręcono 10 odcinków „Lupina", które zaprezentowane zostaną w dwóch pięcioodcinkowych seriach. Na razie dystrybuowana jest pierwsza. Nie mam wątpliwości, że będą kolejne sezony. Skoro BBC wyprodukowało cztery serie odnowionego „Sherlocka", a hiszpańska Antena 3 i Netflix ponad 30 odcinków „Domu z papieru" („La casa de papel", w dwóch sezonach podzielonych na cztery serie), to „Lupina" czeka świetlana przyszłość. Warto też zwrócić uwagę, że w odróżnieniu od rozmaitych konkurencyjnych produkcji nie jest to serial ani krwawy, ani przesadnie kosztowny, oparty głównie na precyzyjnym scenariuszu i dobrych aktorach (oprócz Omara Sy występują m.in. Hervé Pierre, Nicole Garcia i Vincent Londez). Główny twórca „Lupina", George Kay, i wspierający go Francuz, François Uzan, przypomnieli widzom, że najbardziej lubimy piosenki, które już znamy, ale trzeba je jeszcze fenomenalnie i oryginalnie zaśpiewać. Ciekawi mnie, kogo jeszcze wskrzeszą filmowcy znad Sekwany – może Fantomasa?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



eprasa.pl d9f679a473

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

# Kobieta na krawędzi

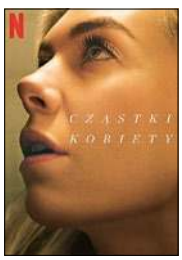


★★★★☆☆

**REŻ. KORNÉL MUNDRUCZÓ**
**„CZĄSTKI KOBIETY" („PIECES OF A WOMAN")**
**USA/WĘGRY 2020**
wyst. Vanessa Kirby, Shia LaBeouf, Ellen Burstyn

Kino nie tylko jako narzędzie wypowiedzi artystycznej, lecz także jako terapia. Twórcy „Cząstek kobiety", reżyser Kornél Mundruczó („Biały bóg", „Księżyc Jowisza") oraz scenarzystka Kata Wéber, przekuli prywatną tragedię i traumę na film niesłychanie intensywny emocjonalnie. Bohaterka filmu Martha (Vanessa Kirby) decyduje się na domowy poród. Pierwsze pół godziny filmu to zapis tego doświadczenia. Wstrząsający nie poprzez drastyczność, lecz wspomnianą emocjonalną intensywność. Poród kończy się śmiercią dziecka, życie młodych małżonków się rozsypuje.

Ciąg dalszy opowieści to doświadczenie wielkiej pustki i żalu, rozbicie rodzinnej wspólnoty, bo tragedia wyzwala ukrywane urazy i konflikty. Jesteśmy zupełnie bezradni wobec takich wyroków losu, a nasze poszukiwanie wytłumaczenia (za wszelką cenę, bo przecież ktoś musi być winien) mogą prowadzić do równie wielkich tragedii. Podobnie jak w „Historii małżeńskiej" Noaha Baumbacha dobrymi chęciami piekło jest wybrukowane, a z chwilą, gdy w rodzinny dramat mieszają się prawnicy, sprawy przybierają jeszcze gorszy obrót.

Film niesiony jest wybitną kreacją Vanessy Kirby, za którą nagrodzono aktorkę na festiwalu w Wenecji (trudno wyobrazić sobie brak oscarowej nominacji). Kroku dotrzymuje jej Ellen Burstyn na drugim planie, rady nie daje natomiast Shia LaBeouf w roli męża, bo to po prostu aktor dużo mniejszego talentu. W pamięć zapada także Molly Parker w roli położnej oskarżonej o zaniedbania.

Nierówne jest to dzieło, w wielu miejscach znaczące, ale zbyt długie, trochę rozsypujące się w drugiej połowie, ale prowadzące ku katharsis, co nie jest częste we współczesnym dramacie. Miłośnicy dobrego, artystycznego kina nie mogą „Cząstek kobiety" przegapić, do Netflixa rzadko trafiają przecież nowości, które nie są jedynie barwną i mało wymagającą rozrywką. Warto przypomnieć, że film duetu Mundruczó/Wéber rozpoczął swój żywot jako sztuka teatralna wystawiona w 2018 r. przez warszawski Teatr Rozmaitości i była to realizacja godna uwagi. ©℗

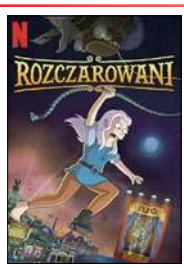


**NOWE SERIALE: „ROZCZAROWANI"**

Animowana parodia science fiction „Futurama" Matta Groeninga była bardziej gorzka od jego największego hitu, „Simpsonów", a „Rozczarowani", kpina z konwencji fantasy, są bardziej gorzcy od „Futuramy". Groening wyszydza władzę, religię i bogactwo, oferując solidną porcję niebajkowej mizantropii. W najnowszych 10 odcinkach „Rozczarowanych" wreszcie daje głównej bohaterce, księżniczce Tiabeanie, okazję, by dorosnąć, to znaczy zrozumieć, że choć świat nie jest dobrym miejscem dla ludzi o szlachetnych sercach, to warto próbować choć trochę go naprawić. ©℗ ***Piotr Gociek***

- ***seria 3 „Rozczarowani" („Disenchantment"), USA 2021, serial animowany***

**NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:**

- *reż. Niki Caro* ***„Mulan"****, USA 2020* CANAL+
- *reż. Cathy Yan* ***„Ptaki Nocy (i fantastyczna emancypacja pewnej Harley Quinn)" („Birds of Prey")****, USA 2020* HBO GO
- *reż. Dome Karukoski* ***„Tolkien"****, USA 2019* CINEMAX



eprasa.pl d9f679a473

# Wypili do dna

Na faktach. W sierpniu 2008 r. wioska Shindisi, niedaleko Cchinwali, stolicy republiki Osetii Południowej, stała się widownią rosyjsko-gruzińskiego starcia. Wynik wojny był już przesądzony: czołgi Putina miały otwartą drogę do Tbilisi. Zgodnie z postanowieniami rozejmu Rosjanie powinni utworzyć korytarz, by ułatwić ewakuację cywilom i wojskowym, którzy zostali za linią frontu. Pokusa, by dobić pokonanego przeciwnika, okazała się jednak zbyt silna.

Dramat Cincadzego, który dwa lata temu wygrał Warszawski Festiwal Filmowy, potwierdza starą prawdę, że mając talent i mocne argumenty, bolesną porażkę można przekuć na moralne zwycięstwo. Polskiemu widzowi obraz cywilów ratujących żołnierzy (a przecież powinno być odwrotnie) musi wydać się znajomy. No cóż, taki już los narodów, osiadłych w imperialnej strefie rażenia. Twórcy filmu nie ustrzegli się patosu, co na pewno spodobało się rodakom, ale osłabiło szanse na międzynarodowy sukces. Najbardziej zapadają w pamięć dwie sceny: gdy nocą na pobojowisku odzywają się melodyjki telefonów komórkowych, z których przed bitwą młodzi wojacy próbowali dodzwonić się do rodzin, i gdy rosyjski generał wznosi toast na cześć Gruzinów, którzy „zawsze umieli dobrze gotować i są naszymi braćmi". Młodszymi, oczywiście. ©℗

***Wiesław Chełminiak***

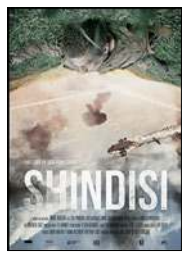


★★★★☆☆

**REŻ. DITO CINCADZE „SHINDISI" GRUZJA 2019**

wyst. Goga Pipinaszwili, Dawit Bachtadze, Tamuna Abszilawa

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

# NIE PIJĘ... WINA

W 80. rocznicę premiery powrócił – w odrestaurowanej wersji – absolutny klasyk kina grozy: „Książę Dracula". Wampir jest tu zblazowanym dżentelmenem, któremu nie potrafi oprzeć się żadna kobieta z Londynu i okolic. Łatwo jest dziś kpić z naiwności scenariusza tudzież aktorskiej maniery Lugosiego, polegającej na wytrzeszczaniu oczu, zamaszystych gestach i wyrazistej mimice, lecz takiego właśnie potwora ówczesna, wychowana na teatrze, publika chciała, więc go dostała. Nosferatu z wcześniejszego horroru Murnaua nie miał w sobie nic ludzkiego, był bezlitosnym drapieżnikiem. Amerykański Dracula to przede wszystkim hipnotyzer i uwodziciel. Co ciekawe, równolegle nakręcono, w zmienionej obsadzie, wersję hiszpańskojęzyczną. Podobno jeszcze bardziej emanuje seksem. Nie dajmy się jednak zwieść pozorom – wampir z filmu Browninga jest figurą rodem z piekła. Tym groźniejszą, że nikt nie wierzy w jego istnienie.

★★★★☆☆

**REŻ. TOD BROWNING „KSIĄŻĘ DRACULA" („DRACULA") USA 1931**

wyst. Bela Lugosi, Dwight Frye, Helen Chandler

# JAK ONE ŚPIEWAJĄ

Peter Cattaneo pogodził się już chyba z faktem, że nie wyjdzie z cienia „Goło i wesoło", skoro nowy film przyrządził według bardzo podobnej receptury. Oto brytyjska baza, pogrążona w marazmie z powodu wyjazdu żołnierzy do Afganistanu. Ich matki, żony i córki zamiast biernie czekać na – niekoniecznie dobre – wieści z pola walki o pokój, postanawiają wspólnie zrobić coś, w czym są dobre. I wcale nie chodzi o plotkowanie ani robótki ręczne, lecz o śpiew chóralny. W repertuarze, oprócz złotych przebojów, mają monumentalny song własnego autorstwa. Wszystkie złe rzeczy, jakie słyszeliście o wyspiarzach, są prawdą, jednak jedno im trzeba przyznać: są cholernie muzykalni. Zanim żeńskie komando podbije Royal Albert Hall, przejdzie kilka kryzysów, głównie na tle wojny o przywództwo między spontaniczną Sharon Horgan i kostyczną Kristin Scott Thomas. Jak łatwo zgadnąć, aktorski pojedynek wygrywa ta druga. ©℗

***recenzuje Wiesław Chełminiak***

★★★☆☆☆

**REŻ. PETER CATTANEO „POJEDYNEK NA GŁOSY" („MILITARY WIVES") WIELKA BRYTANIA 2019**

wyst. Kristin Scott Thomas, Sharon Horgan, Amy James-Kelly

**GRA TYGODNIA: „HITMAN 3"**

Agenta 47 nie da się pomylić. Ogolony na łyso płatny zabójca z kodem kreskowym na potylicy to bohater ciągnącej się od 21 lat serii taktycznych gier akcji. Reguły są proste: konkretny cel (lub cele) do wyeliminowania. Cała reszta zależy od pomysłowości i stylu gracza, który może przekraść się niepostrzeżenie do centrum chronionego kompleksu w stroju wartownika i zatruć whisky generała, na którego poluje, albo pożegnać go z tym światem, przedzierając się przez ochronę z karabinem w ręku. „Hitman 3" to po prostu „więcej tego samego" – nowe, bardziej filmowe misje. Reszta pozostaje bez zmian. ©℗

***Marcin Makowski***

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

★★★★☆☆

- ***Gatunek:*** *TPP/Akcji*
- ***Platforma:*** *PS5/XSX/PS4/XONE/PC*
- ***Producent, dystrybutor:*** *IO Interactive/Cenega*
- ***Klasyfikacja PEGI:*** *18+*



eprasa.pl d9f679a473

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

# Imperium po polsku

Nadzwyczaj ciekawa książka Mariusza Świdra o wzajemnym przenikaniu się dwóch żywiołów – polskiego i rosyjskiego – na przestrzeni wieków nazwana została przez wydawcę gawędą historyczną. I rzeczywiście, luźny tok narracji, potoczystość, liczne dygresje, wszystko to bierze się z naszej bogatej tradycji szlacheckiej gawędy, której autor wydaje się godnym kontynuatorem. A że pióro ma ostre i głosi sądy dziś raczej niepopularne, tym bardziej ze strony na stronę nabieramy większej ochoty do lektury tej pracy, która po pierwsze przynosi nam całą masę nieznanych powszechnie faktów, po drugie zaś każe nam wiele obiegowych prawd zweryfikować. Co prawda, niekoniecznie musimy od zaraz zapałać do naszych kapryśnych sąsiadów przyjaźnią, że o miłości nie wspomnę, ale warto wiedzieć choćby o tym, że Katarzyna I, małżonka Piotra Wielkiego, była Polką, podobnie jak matka Iwana Groźnego – Helena Glińska, żona cara Wasyla III.

Być może błądzą „Kroniki Nestora", według których Moskwę założyli Lechici, ale już na pewno Jekaterynburg został tak nazwany na cześć Katarzyny I – Marty Skowrońskiej. Dwieście siedemdziesiąt jeden rodów szlacheckich w Rosji pieczętowało się herbami polskimi. Sławny kompozytor Mikołaj Rimski-Korsakow pochodził z rodziny żyjącej na Litwie, która przez siedem pokoleń nosiła nazwisko Korsak. Autor książki cytuje jednak prof. Hieronima Gralę i jego zdanie o Bułhakach, za którymi kryli się Bułgakowowie. Niewątpliwie najważniejsze jest w tym, kto kim się czuł. Gogolowi polskie pochodzenie ciążyło, bodaj jeszcze bardziej Dostojewskiemu, który też miał rodzinne związki z Polską.

FOT. WYDAWNICTWO FRONDA

Z kolei polskie związki księcia Potiomkina nie są już całkiem pewne, a na pewno Mikołaj Przewalski, sławny podróżnik, generał i członek Rosyjskiej Akademii Nauk (odkrywca konia Przewalskiego), jako prawdziwy ojciec Stalina jawi się zupełnie niewiarygodnie, chociaż Nikita Siergiejewicz Chruszczow w czasie swej „niezapowiedzianej" wizyty w Polsce w październiku 1956 r. coś podobnego sugerował, zapominając, że i jemu wytykano nie tylko polskie pochodzenie żony, Janiny Kucharczuk z Zamojszczyzny, lecz także biologicznego ojca – Polaka, którym miał być szlachcic Aleksander Gaswicki. Swoją drogą szlacheckich rysów w fizjonomii tego genseka trudno się dopatrzyć, w przeciwieństwie do Stalina wykazującego, istotnie, zadziwiające podobieństwo do Przewalskiego. Nie wyłącznie ze względu na wąsiska.

Myślę, że prawie wszyscy wiemy o wysadzeniu w powietrze wielkiego soboru w Warszawie (św. Aleksandra Newskiego), ale już nie o zburzeniu pomnika wzniesionego w 1841 r. dla uczczenia polskich oficerów w moskiewskiej służbie poległych w powstaniu listopadowym – w walkach przeciw powstańcom. Pomnika tego, zaprojektowanego przez Antonia Corazziego, Warszawa pozbyła się w roku 1917. A ulicę tegoż Corazziego mamy dzisiaj obok największego jego dzieła – Teatru Wielkiego.

Całkiem z innej beczki: przyznam się, że nie rozumiem powodów, dla których przez 30 lat po upadku komunizmu i zakończeniu nazbyt długo trwającego etapu „wiecznej przyjaźni" z naszym wschodnim sąsiadem wciąż w propagandzie historycznej nie wygrywamy hołdu cara Wasyla Szujskiego złożonego Zygmuntowi III Wazie. Niektóre tematy z naszych dziejów potrafimy, przepraszam za wyrażenie, międlić w nieskończoność, tu tymczasem zachowujemy nieuzasadnioną wstrzemięźliwość.

I na zakończenie jeszcze jedno pytanie. Czy jesteśmy świadomi tego, że między 1991 a 2000 r. hymnem Rosji była polska pieśń religijna „Niech rozbrzmiewa grom zwycięstwa", skomponowana 200 lat wcześniej przez Józefa Kozłowskiego, a następnie wykorzystana przez Michała Glinkę (też pochodzącego z polskiej rodziny) przy tworzeniu swojej pierwszej opery „Życie za cara", znanej także jako „Iwan Susanin"? W czasie drugiej wojny światowej wojskowy dyrygent Michał Bagrinowski zmienił nieco melodykę i rytm pieśni, nadając jej cechy marszowe, otrzymała tytuł „Pieśń patriotyczna" i jako taka stała się rosyjskim hymnem. Do czasu, aż Putinowi przestała się podobać i przywrócił stary hymn sowiecki Aleksandrowa z 1943 r., oczywiście ze zmienionym tekstem.

No i co, ciekawe? Jeszcze jak!

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

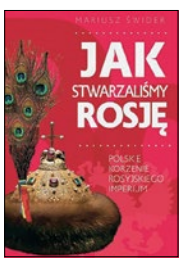


★★★★★

**MARIUSZ ŚWIDER „JAK STWARZALIŚMY ROSJĘ. POLSKIE KORZENIE ROSYJSKIEGO IMPERIUM"**
**FRONDA, WARSZAWA 2020**



eprasa.pl d9f679a473

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

# Jak wiatr zawieje

Jedno miejsce można obfotografować z nieskończenie wielu perspektyw i za każdym razem ukaże nam się inne jego oblicze" – zauważa w finale „Szajki" jeden z jej bohaterów. Zastanawia się więc, czy złożenie jednego zdjęcia ze stu albo tysiąca ujęć „przyłapałoby na gorącym uczynku konkretną chwilę". Wczesna powieść Lajosa Grendela, znakomitego węgierskiego pisarza zmarłego w 2018 r., to próba złożenia prawdy z setek rozmaitych drobnych obserwacji.

Na dziewięć rozdziałów wydanej w 1982 r. powieści (w tzw. krajach demokracji ludowej był to rok równie smutny jak w Polsce) składają się opowiastki o mieszkańcach niewielkiego miasta nad Dunajem leżącego nieopodal granicy słowackiej. A poszukiwana prawda to coś więcej niż tylko zapis aktualnego stanu ducha opisywanych postaci. Grendel swobodnie przechadza się (a my wraz z nim) po skomplikowanej historii naszej części Europy, historii, którą my sami ledwie rozumiemy, a która czytelnikom spoza naszego kręgu kulturowego musi wydawać się kompletnie szalona i niewytłumaczalna. W ciągu lat, miesięcy, czasem ledwie tygodni i dni zmieniają się granice, systemy władzy, ideologie i wykładnie przeszłości – zatem jak żyć? Odpowiedź bohaterów Grendela jest oczywista, choć nie będzie w smak wykładowcom heroicznej wersji historii. Otóż najlepiej nie wychylać się, dostosować, przytakiwać i płynnie zmieniać barwy, choć nawet i taka strategia nie zawsze musi zapewnić sukces. Zmiany następują szybko i konia z rzędem temu, który wie, jak zawczasu do wiatru historii się ustawić.

„Szajka" to powiastka pięknie napisana, lecz niezmiernie smutna tym smutkiem, który bił choćby z debiutanckiej powieści Josefa Škvoreckyego „Tchórze". Zabawna i wzruszająca tam, gdzie czytamy o życiowych perypetiach ładnie nakreślonej galerii bohaterów (zwłaszcza damsko-męskich), przygnębiająca, gdy dochodzimy do owych warunkowanych historią wyborów (pouczająca historia pewnego detektywa). Historia w naszych okolicach to nie igraszka, miażdży bezlitośnie kolejne pokolenia. A gdzie prawdziwy duch miasta, którego mieszkańców przedstawia nam Grendel? Uleciał bezpowrotnie już w pierwszym rozdziale „Szajki" (zresztą w cudnie fantastycznych okolicznościach). A zostało to, hm… co zostało. ©℗

★★★★★☆
**LAJOS GRENDEL „SZAJKA" BIBLIOTEKA ANALIZ 2020**

## NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Szesnaście krótszych prozatorskich utworów, doskonałe uzupełnienie edycji dzieł autora „Moby Dicka", w ramach której ukazały się (oprócz wznowienia słynnej powieści) też „Billy Budd" i „Taipi". Sto stron przypisów i posłowia.

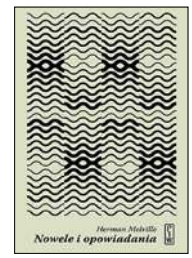


**HERMAN MELVILLE „NOWELE I OPOWIADANIA" PIW**

Obszerny zbiór map dokumentujących rozwój ludzkości od australopiteka i ostatniego zlodowacenia aż do wieku XXI. Co ważne, nie jest to publikacja europocentryczna, sporo miejsca poświęcono też kwestiom gospodarczym.

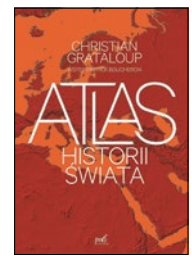


**CHRISTIAN GRATALOUP „ATLAS HISTORII ŚWIATA" POST FACTUM**

Wznowienie biblii zwolenników wolnego rynku, klasycznej słynnej pracy Friedmanów – przystępnego wykładu zwolenników rządu ograniczonego. Cztery dekady po premierze książka nie utraciła ani mocy, ani aktualności.

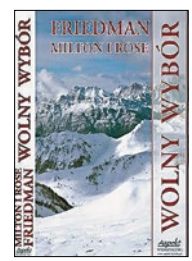


**MILTON I ROSE FRIEDMANOWIE „WOLNY WYBÓR" WYDAWNICTWO ASPEKT**

Utwory wybrane genialnych rosyjskich fantastów, pięć powieści w jednym tomie. Oprócz tytułowej (podstawy słynnego filmu „Stalker") także m.in. „Trudno być bogiem" oraz „Poniedziałek zaczyna się w sobotę". Klasyka. ©℗

***poleca Piotr Gociek***

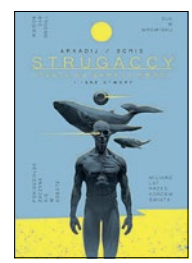


**ARKADIJ I BORYS STRUGACCY „PIKNIK NA SKRAJU DROGI" PRÓSZYŃSKI**

**KOMIKS TYGODNIA: „ALIENS: ZBAWIENIE. OFIAROWANIE"**

Obcy jako diabeł? Takiej analizy filmu Ridleya Scotta dokonywał jako pierwszy w Polsce przed laty śp. Maciej Parowski. W komiksowym albumie „Zbawienie. Ofiarowanie" ukazują się dwie opowieści z uniwersum „Aliens" pełne motywów religijnych. W obydwu wiara bohaterów (głęboko wierzącego najemnika oraz członkini załogi statku misyjnego) zostaje wystawiona na próbę w spotkaniu z przerażającymi ksenomorfami, ale przynosi to skrajnie różne skutki. Autorem rysunków do pierwszej historii jest doskonale znany polskim czytelnikom Mike Mignola, twórca „Hellboya". ©℗

***poleca Piotr Gociek***

**GIBBONS/MIGNOLA, MILLIGAN/ JOHNSON „ALIENS: ZBAWIENIE. OFIAROWANIE" SCREAM COMICS 2020**



eprasa.pl d9f679a473

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

# Dziewczyna z kontrabasem

Przyszła na świat w Zakopanem, ale jako 16-latka opuściła Tatry i wyemigrowała do Stanów Zjednoczonych. Mówi, że to tam ożyło jej marzenie o tworzeniu muzyki, która „zawsze pulsowała w góralskich żyłach". Megitza, czyli Małgorzata Babiarz, muzyczną karierę rozpoczęła w Chicago. Pobyt w Stanach zaowocował powstaniem Megitza Quartet, w którym góralce towarzyszył m.in. muzyk greckiego pochodzenia Andreas Kapsalis. W 2008 r. zadebiutowali albumem „Boleritza", a po czterech latach powstały kolejne dwa krążki: „Megitza" i „Legenda".

Ze Stanów do Europy Megitza wróciła w 2012 r. Do dziś wydała osiem albumów, mieszając składy, z którymi występowała i nagrywała, inspiracje i style. Z formacją Megitza Trio nagrała album „Happy Metal", na którym akustyczne instrumenty łączą się z elektronicznymi beatami. Inspirują ją kultura bałkańska, latynoska, etnojazz, pop, reggae, no i oczywiście tradycje Podhala.

Ostatni studyjny album „ToTen" z 2018 r. to podsumowanie dekady na scenie. Na płycie, jak i przez całą dekadę, różnorodnie – od „góralskiego hip-hopu" („Ostatnio wierchowo" feat. Samłel), elektroreaggowego „Do you?" do soulu („Kobieta"). Pod koniec ubiegłego roku Megitza pokazała dwa teledyski w reżyserii Piotra Smoleńskiego: „Są takie mosty" jako Megitza Band i „Moi ludzie" w duecie gitarzystą z Piotrem Ondyczem, Romem od lat mieszkającym na Podhalu. W napisanym przez siebie utworze „Są takie mosty" Małgorzata Babiarz śpiewa: „Całego świata / dziś na siłę nie ocalisz, / Stracisz moc / i po prostu się wypalisz. [...] / Są takie mosty, które lepiej spalić. / Są tacy ludzie, których nie da się ocalić".

Megitza to wokalistka, tekściarka, gitarzystka i kontrabasistka. Ten ostatni instrument stał się jej nieodłącznym atrybutem na scenie. Lekcje gry pobierała u swojego ojca, górala Stanisława Babiarza. ©℗ ***Radosław Wojtas***

NA SŁUCH

# Dwie jazzowe strony świata

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

★★★★★★

**MARIA SCHNEIDER ORCHESTRA „DATA LORDS" ARTISTSHARE**

Większość amerykańskich pism i portali jazzowych uznało tę płytę za album 2020 r. To niezwykłe dzieło, a i sama Maria Schneider jest artystką wyjątkową. 60-letnia Amerykanka jest obecnie najwybitniejszą aranżerką i liderką bigbandową. Protegowana samego Gila Evansa, zdobywczyni pięciu nagród Grammy, współpracownica Milesa Davisa, Davida Bowiego i Stinga…

Album „Data Lords" jest instrumentalnym okrzykiem przeciwko „mrocznym przejawom Internetu". Na dwóch płytach Schneider zderza świat cyfrowy i naturalny. Zarówno ta „zła", jak i ta „dobra" zawierają porywającą muzykę. Pierwsza jest oparta na mrocznych akordach zagranych z piekielną elegancją. Utwór „Don't Be Evil" – nawiązanie do motta Google – eksponuje jadowitą gitarę kontrastującą z wibrującymi blachami, pianinem i basem. W „CQ CQ", bazując na kodzie Morse'a (wczesnym binarnym narzędziu globalnym), liderka wysyła poprzez 18-osobowy big-band sygnały: „SOS", „moc" i „chciwość".

Drugą płytę otwiera „Sanzenin" (japońska świątynia buddyjska), w którym akordeon rozbrzmiewa duszpasterskim spokojem. A w „Look Up" artystka celebruje świat natury. Album „Data Lords" pokazuje polaryzację naszego codziennego życia. Z jednej strony mamy wciągający świat wzmacnianych, przerabianych i replikowanych muzycznych udoskonaleń, z drugiej – prostotę natury, która sama wzbogaca się o siły naprawcze i transformacyjne. ©℗

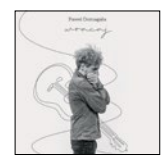

★★★★★

**PAWEŁ DOMAGAŁA „WRACAJ" MYSTIC**

Po sukcesie hitu „Weź nie pytaj" (127 mln odsłon) i 60-tysięcznym nakładzie płyty „1984" popularny aktor składa kolejne hołdy żonie i wzruszająco śpiewa o wewnętrznych rozterkach. Jednak formuła się wyczerpała. Nie ma przeboju, a płyta na liście sprzedaży już po miesiącu pikuje.

★★★★★

**KULT „LIVE POL'AND'ROCK FESTIVAL 2019" SP RECORDS**

Weterani nie wydają składanek z przebojami, stąd albumy koncertowe mogą za takowe uchodzić. Dekadę temu Kult odniósł wielki sukces z akustycznym albumem „MTV Unplugged", a teraz elektryczny „Live…" już zasłużenie zdobył platynę. ©℗



eprasa.pl d9f679a473

DO RZECZY
HISTORIA DO RZECZY

*Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości, ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości ani prawa do przyszłości.*

Józef Piłsudski

STRAŻNIK PAMIĘCI

# STRAŻNIK PAMIĘCI 2021

**WIĘCEJ INFORMACJI:** DORZECZY.PL/STRAZNIK-PAMIECI

PARTNER STRATEGICZNY ORLEN

PARTNER Grupa Inwest HM Inwest S.A.

eprasa.pl d9f679a473

# Co wiesz o polskich serialach

Akcja „Pokonanych" rozgrywa się w powojennym Berlinie, serial wyróżnia się brutalnością FOT. MATERIAŁY PRASOWE

*Krzysztof Masłoń*

Z uznaniem obserwuję szlachetną rywalizację naszych wiodących telewizji, by w trudnym czasie pandemii dostarczyć zgnębionemu narodowi wiedzy i godziwej rozrywki. Ze zrozumiałych względów wiele się obecnie mówi o funkcjonowaniu służby zdrowia, nic więc dziwnego, że tematyka medyczna śmiało wkroczyła do seriali. Także i tych, które na pozór z medycyną nie mają wiele lub zgoła nic wspólnego. Nie mówię tu oczywiście o „Klanie", w którym egzekwie po śmierci dr. Koziełły skończą się najwcześniej w przyszłym roku, ale na przykład o TVN-owskim tasiemcu „Na Wspólnej", gdzie Kuba tak się naćpał, że rzuciło mu się to na mózg i musiał odpuścić sobie konkurs matematyczny, w którym pewnie dałby popis, gdyby nie fatalny nałóg, któremu uległ. A na dodatek, bestia, nie chce iść na odwyk. W przeciwieństwie do Marii z Polsatowskiej „Pierwszej miłości", która sama się zgłasza do szpitala psychiatrycznego, by zaraz potem usiłować stamtąd uciec, gdzie pieprz rośnie. Z kolei niejaki Kulas z tej samej produkcji, który stracił pamięć, martwi się, co będzie, gdy ją odzyska. Podzielam jego troskę.

Telewizja z ul. Wiertniczej swoją misyjność, bo przecież nie jest ona jej obca, skupia na jakże przydatnym w dobie ekspansji COVID-19 reality show zatytułowanym „W czym do ślubu". Wprawdzie złośliwi powiadają, że bardziej adekwatne do tego, co za oknem, byłoby transmitowanie przygotowań do pogrzebu, ale – przynajmniej na razie – program „W czym do trumny" nie jest planowany przez tę słynącą z otwartości wobec społeczeństwa stację. O tym zaś, że TVN trzyma się blisko życia, świadczy nowy kryminalny serial wyprodukowany przez tę telewizję – „Nieobecni", w którym zaginionej rodziny szuka komisarz cierpiący na zespół Aspergera. A w „Zakochanych po uszy" dobrzy przyjaciele odradzają Asi, by leczyła Piotra metodami alternatywnymi. Żadne takie! Ma być postępowo i nowocześnie.

W Polsacie smutno, bo Maciej Dowbor stracił ząb. Nie w Stochowym Zębie, co prawda, ale niedaleko, bo we wspinaczce na Kościelec. Wspaniałego wodzireja równie wspaniałego programu rozrywkowego „Twoja twarz brzmi znajomo" jest więc jakby mniej, za to mamusi pana Macieja przybyło, gdyż co tylko włączę Polsat, to Katarzyna Dowbor oddaje kolejnym płaczącym ze szczęścia ludziskom wyremontowany i odpicowany na połysk nowy dom. Prawdopodobieństwo trafienia w Polsacie na panią Katarzynę jest niemal takie samo jak w TVN na Magdę Gessler, która kuchennie zrewolucjonizowała już chyba połowę restauracji w Polsce.

TVN, niewątpliwe zazdroszczący Polsatowi sukcesu budowlanego, nie poddaje się jednak i w tej dziedzinie, nęcąc telewidzów takimi wesolutkimi programami jak „Wyjątkowe domy" i „Patent na dom". A Polsat nieśmiało usiłuje podważyć liderowanie TVP w programach nacelowanych na wieś z przebojowym „Rolnik szuka żony" na czele i przypomina o sobie serialem dokumentalnym „Rolnicy – tak się żyje u nas na wsi". Na wszelki wypadek podpowiadam o możliwości przerobienia na atrakcyjny cykliczny program sławnej maksymy Sławomira Mrożka „Rolniku! Myj zęby!".

Tego, że w serialach tkwi nadzwyczajna moc, że o wyższych wartościach nie wspomnę, dowieść ma zaangażowanie stacji Canal Plus, która nadawanych właśnie „Pokonanych" reklamuje nawet w publicznej telewizji. Rzecz się dzieje w powojennym Berlinie, wyróżnia się brutalnością, a dowiedzieliśmy się z niej m.in., że w burdelach podzielonej na sektory, zrujnowanej niemieckiej stolicy zatrudniano… polskie dziewice. To pewnie były Wandy, które nie chciały Niemca.

Canal Plus uruchomił również na swojej platformie kanał Novelas+, gdzie furt, na okrągło lecą seriale tureckie i południowoamerykańskie. A ponieważ w TVP po miłości do Latynosów i Orientu zapanowała miłość do Rosjan i Ukraińców, z ulgą zerkamy w Jedynce na z gruntu polską „Osiecką", dziwiąc się tylko, dlaczego grający Passenta nasz etatowy serialowy Żyd Piotr Żurawski wygląda jak syn tytułowej bohaterki, choć kreuje postać jej męża. W rzeczywistości był Passent półtora roku młodszy od swojej partnerki, z kolei Żurawski jest młodszy od grającej Agnieszkę Osiecką Magdaleny Popławskiej o cztery i pół roku. W serialu dzielą ich lata. Świetlne.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



eprasa.pl d9f679a473

DODATEK SPECJALNY

# 50-lecie odbudowy Zamku Królewskiego w Warszawie

POLONIA RECORDATUR · POLSKA PAMIĘTA

- Jak Niemcy zniszczyli symbol państwa polskiego
- Wielka akcja odbudowy: od ruin po zamek w XXI w.
- Królewski blask Sali Tronowej
- Pierwsza powojenna „Zbrojownia"

ZAMEK KRÓLEWSKI W WARSZAWIE

2021 1971 Jubileusz Zamku Królewskiego w Warszawie

PARTNERZY DODATKU:

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

KGHM POLSKA MIEDŹ

eprasa.pl d9f679a473

**Grabiony i dewastowany przez Szwedów i Rosjan, obrócony w gruzy przez Niemców i podniesiony z nich wielkim narodowym wysiłkiem, z historią równie burzliwą jak dzieje narodu, dla którego Zamek Królewski w Warszawie stał się ważnym symbolem. Świadek wielu przełomowych wydarzeń w historii Rzeczypospolitej, siedziba władców Polski i miejsce rezydowania jej okupantów**

# Symbol po przejściach

Początki nadwiślańskiego grodu zbiegają się niemalże z powstaniem miasta Warszawy. Jako początek istnienia zamku przyjmuje się wzniesienie w III ćwierćwieczu XIV w. Wielkiej Wieży, dzisiejszej Wieży Grodzkiej. Jest to najstarszy zachowany budynek zamkowego kompleksu, choć wcale nie jest to najstarszy murowany obiekt w tym miejscu. Po wschodniej stronie wieży istnieje relikt fundamentu ceglanego muru, do którego została ta wieża dostawiona. Losy budowli, która została zastąpiona przez wieżę, nie są jednak znane.

Janusz I Starszy po przeniesieniu swej siedziby do Warszawy zaczął jej rozbudowę. Najważniejszą dla zamku inwestycją poczynioną przez tego przy-


eprasa.pl d9f679a473

FOT. ADOBE STOCK

równywanego do Kazimierza Wielkiego (jako założyciela miast i budowniczego wielu zamków) księcia warszawskiego i czerskiego było wzniesienie w latach 1407–1410 murowanego gotyckiego zamku, tzw. Dworu Wielkiego. W przyziemiu tego trzykondygnacyjnego budynku znalazła się reprezentacyjna sala sądów i zgromadzeń. Na piętrze zaś ulokowano książęce mieszkanie.

## KSIĄŻĘTA I KRÓLOWIE

Pierwszy raz królewska stopa przekroczyła progi Zamku Warszawskiego wiosną 1426 r. W trakcie objazdu państwa, spływając Wisłą z Kazimierza do Płocka, Władysław Jagiełło zatrzymał się w Warszawie na kilka dni, goszcząc u księcia Janusza III Starszego. W tym czasie Mazowsze nie należało do Królestwa Polskiego, było lennem polskich królów.

Musiał minąć wiek, by kolejny polski monarcha zawitał do zamku w Warszawie. W roku 1526 zajechał tam ze swoim orszakiem Zygmunt I. Objął wtedy w posiadanie mazowiecką dzielnicę po zmarłych bezpotomnie lennikach królewskich, książętach piastowskich Stanisławie i Januszu. Trzy lata po odebraniu w Dworze Wielkim przysięgi wierności, król zwołał po raz pierwszy do Warszawy sejm koronny, który w roku 1529 ostatecznie włączył Mazowsze do Królestwa Polskiego.

Z biegiem lat zamek zmieniał swoje funkcje i zyskiwał na znaczeniu, przekształcając się z siedziby starosty i królewskiego namiestnika w monarszą rezydencję. Początkowo królowych – żon i córek królów, którzy rezydowali wtedy w Krakowie i Wilnie. Zwykle w podróżach między tymi miastami królowie omijali Warszawę, jednak w 1544 r. rodzina królewska – Zygmunt I, królowa Bona i Elżbieta Habsburżanka, pierwsza żona Zygmunta Augusta – zatrzymała się w warszawskim zamku na dwa miesiące, co zaowocowało otrzymaniem przez królową Bonę nadania na Mazowszu tzw. dóbr wdowich. Po śmierci Zygmunta I, Bona przeniosła się na Mazowsze na stałe i zamieszkała wraz z córkami w Dworze Mniejszym.

Reformy państwa podjęte przez Zygmunta Augusta, w tym unia realna Korony i Litwy, przyspieszyły wzrost znaczenia Warszawy, a wraz z nią zamku. Król coraz więcej czasu spędzał na pograniczu polsko-litewskim: w Grodnie, Knyszynie i właśnie w Warszawie. Także sejmy pracujące nad unią zwoływał bliżej centrum, w tym do dzisiejszej stolicy Polski. W 1568 r. wraz z dworem i najwyższymi urzędnikami zamieszkał w Warszawie na stałe. Wznowiono wtedy rozpoczęte kilka lat wcześniej prace nad rozbudową zamku.

Był to jeden z kilku dużych projektów przebudowy, jakie warszawski zespół zamkowy przechodził na przestrzeni wieków. Średniowieczne zabudowania zamkowe przekształcono pod nadzorem włoskiego architekta Giovanniego Battisty Quadro z Lugano w trójskrzydłową gotycko-renesansową budowlę. Wykonano wiele prac, m.in. wyremontowano wtedy najstarszy, pochodzący jeszcze z XIV w. budynek, a Dwór Wielki, czyli rezydencję książęcą, rozbudowano, przygotowując do pełnienia nowej funkcji. Budynek podpiwniczono i dobudowano ciąg pomieszczeń, przekształcając go w gmach sejmowy. Parter przeznaczono na potrzeby posłów, tworząc w nim wielką salę ze sklepieniem malowanym w motywy heraldyczne. Równie przestronna sala na piętrze przeznaczona została dla senatorów. Połączono je klatką schodową. Na potrzeby monarchy powstał Nowy Dom Królewski, a w nim m.in. sala prospektowa, z której roztaczał się widok na dolinę Wisły, ogrody i miasto; reprezentacyjne apartamenty ze zdobnymi ścianami, wyposażone w artystyczne meble sprowadzane z Krakowa od serwitora królewskiego Jurka Szwarca.

Od końca 1569 r. Zygmunt August praktycznie nie wyjeżdżał z Warszawy. W tym samym roku lubelski sejm wyznaczył Warszawę i zamek na stałe miejsce obrad sejmu zjednoczonej Rzeczypospolitej. W murach zamku w Warszawie kreowała się przez następne wieki polityczna rzeczywistość Polski. Zaczęły powstawać tu dokumenty kształtujące podstawy ustroju państwa i światopogląd szlachty, m.in. formułujące zasady ustrojowe elekcyjnej monarchii parlamentarnej czy gwarantujące równouprawnienie wyznawcom różnych religii.

## PUNKT CENTRALNY

Zygmunt Waza po elekcji i koronacji na Wawelu rezydował w Krakowie półtora roku. Pierwszy raz na zamku w Warszawie pojawił się na sejmie w 1589 r. i wracał wraz z dworem i rodziną na kolejne sejmy praktycznie każdego roku. Wreszcie monarcha podjął decyzję o przeniesieniu dworu na stałe. Warszawa, w której mieściło się centrum parlamentarne, władza królewska i najważniejsze urzędy, stała się od tej pory de facto stolicą Rzeczypospolitej. Centrum administracyjnym i kulturalnym kraju.

Na potrzeby króla i jego świty niezbędna była kolejna rozbudowa zamku, która ruszyła w 1600 r. Także i tę modernizację powierzono włoskim mistrzom. Giovanni Trevano, Giacomo Rodondo, Paolo de la Corte i Mateo Castello opracowali koncepcję wa-



eprasa.pl d9f679a473

zowskiej rozbudowy. Przyjmuje się, że twórcą ostatecznej koncepcji był ostatni z wymienionych architektów. Wczesnobarokowy pięcioskrzydłowy gmach z wewnętrznym dziedzińcem nawiązywał do architektury pałacowych siedzib urzędów papieskich, otoczony murami, stworzony w koncepcji palazzo in fortezza, łączył wygodę pałacu z walorami obronnymi. Status budowli podkreślały 40-metrowa Wieża Zegarowa, wieżyczki narożne fasady miejskiej oraz kamienne portale bram i boniowane naroża.

Największy z królewskich apartamentów składał się z części reprezentacyjnej (Sieni Wielkiej, trzech Antykamer i Pokoju Audiencjonalnego) oraz prywatnej (Sieni Gwardii, Gabinetu w Altanie i Sypialni, sąsiadujących od północy z apartamentem królowej). Łącznie rodzina królewska i dwór zajmowali ok. 30 pomieszczeń.

Wystrój i wyposażenie zmieniali i wzbogacali kolejni najważniejsi lokatorzy zamku. Czasy panowania Władysława IV to okres pokoju i dobrobytu, dwór królewski żył na wysokiej stopie, zaspokajając swoje aspiracje. Do Warszawy ściągano kolekcje artystyczne – obrazy, rzeźby, tkaniny, rękodzieła. Rozmiłowany w poznanej we Włoszech operze Władysław IV sprawił, że w zamku rozkwitło centrum życia teatralnego. Rozrywkę zapewniał stały zespół muzyków, tancerzy i śpiewaków, ale zaangażowani byli także dworzanie. Opery wystawiano w trakcie trwania sejmów, a w karnawale stawały się wydarzeniami, o których relacje docierały nawet poza granice Rzeczypospolitej.

Kraj rozkwitał, a Warszawa i zamek razem z nim.

## FALA POTOPU

Wkrótce jednak nadeszły wyniszczające wojny. Najazd Szwedów w 1655 r. był jedną z najtragiczniejszych kart w historii zamku. Opuszczony przez parę królewską po raz pierwszy został zajęty przez obce wojska. Atak był dla miasta zabójczy. Szacuje się, że w wyniku działań wojennych ludność Warszawy zmniejszyła się aż o ok. 90 proc.!

Cała Rzeczpospolita poniosła ogromne straty materiale. Dla Szwedów rabujących wszystko, co przedstawiało jakąkolwiek wartość, bogactwa zgromadzone w Zamku Królewskim były jak otwarty skarbiec bankowy przed złodziejem. Grabież rozpoczęła się wiosną 1656 r. Szwedzi wywozili z zamku nie tylko obrazy, rzeźby czy meble, lecz także marmurowe posadzki, kominki i fontanny ogrodowe. Słowem – wszystko, co było cokolwiek warte. Ogołocone wnętrze zdewastowano. Zamkowe komnaty służyły najeźdźcom za lazarety i stajnie. Po trzech okupacjach i powrocie pary królewskiej do Warszawy, wspaniały niegdyś zamek nie nadawał się do zamieszkania. Rezydencją Jana Kazimierza i dworu stała się Villa Regia, zwana od tego czasu Pałacem Kazimierzowskim.

Większości zrabowanych dzieł nie odzyskano do dziś, jednak nasi przodkowie dość szybko doprowadzili zamkowe wnętrza do ładu. Zamek remontowano za sprawą kolejnych monarchów – przebudowywano. Przestał jednak pełnić funkcję stałej siedziby królów Polski. Zmienił to dopiero Stanisław August, który ponownie uczynił z niego stałą monarszą rezydencję.

## WZLOTY I UPADKI

Historia Zamku Królewskiego w Warszawie siłą rzeczy jest odbiciem historii narodu i państwa. Kiedy Polacy święcili triumfy, rozkwitała i nadwiślańska rezydencja, która często była niemym świadkiem tychże triumfów. Kiedy Rzeczpospolita upadała, konsekwencje nie omijały zamku.

Po sukcesach w wojnie z Moskwą – zwycięstwie pod Kłuszynem 4 lipca 1610 r., odzyskaniu Smoleńska i zajęciu Moskwy – w Zamku Królewskim zorganizowano bezprecedensową uroczystość. Nadając wydarzeniu najwyższą rangę i skrupulatnie się do niego przygotowując, zapraszając wielu gości, w udekorowanej arrasami Sali Senatorskiej, 29 października 1611 r. odbyła się prezentacja cara Wasyla IV Szujskiego i jego braci, Dymitra i Iwana, którzy jako jeńcy zostali wzięci do niewoli przez hetmana polnego Stefana Żółkiewskiego. Jeńcy najpierw zostali przewiezieni Krakowskim Przedmieściem, gdzie przyglądał im się lud Warszawy, a następnie doprowadzeni przed królewskie oblicze. Klęcząc i pochylając głowy przed Zygmuntem III, ucałowali jego dłoń. Dla uwiecznienia tej sceny sprowadzono z Krakowa malarza Tomasza Dolabellę, który wykonał wielkie malowidło. W murach tej samej Sali Senatorskiej w 1791 r. uchwalono Konstytucję 3 maja. Na Zamku Królewskim na przełomie lat 1806 i 1807 przebywał Napoleon Bonaparte, który podjął decyzję o utworzeniu Księstwa Warszawskiego i oddaniu go w ręce Fryderyka Augusta I, który na swą siedzibę wybrał Zamek Królewski.

Nadwiślańska palazzo in fortezza była też w samym środku najtrudniejszych dziejów polskiego narodu. Gdy Rzeczpospolita traciła suwerenność, Zamek Królewski jako ważny dla Polaków symbol natychmiast stawał się obiektem zainteresowania najeźdźców. Tak było w trakcie III rozbioru Polski, kiedy to jeszcze przed wymuszoną abdykacją Stanisława Augusta w 1795 r., decyzją cesarzowej Katarzyny wywieziono do Petersburga archiwum Metryki Koronnej i Litewskiej oraz personel. Niedługo później do Warszawy wkroczyły wojska pruskie. Tym razem w murach Sali Senatorskiej zorganizowano przygnębiającą uroczystość, podczas której poddani złożyli homagium na wierność królowi pruskiemu.

Zamek Królewski ucierpiał także po upadku powstania listopadowego. Niszczono wszelkie pamiątki po niepodległym państwie, a do Petersburga wywożono dzieła sztuki. Salę Senatorską podzielono wtedy na dwie kondygnacje i urządzono w niej pomieszczenia biurowe. Za sprawą cara Mikołaja I „były Zamek Królewski" stał się siedzibą przedstawicieli wrogiego państwa, z pokojami generał-gubernatorów urządzonymi od strony placu Zamkowego. W czasie pierwszej wojny światowej Zamek Królewski za siedzibę obrał sobie generał-gubernator Hans von Beseler. Żaden z zaborców nie poczynił jednak takich szkód jak Niemcy podczas drugiej wojny światowej, obracając symbol niepodległej Polski w ruiny.

Podniesiony z popiołów Zamek Królewski, wpisany razem ze Starym Miastem na światową listę dziedzictwa UNESCO, jest ważnym symbolem trudnej historii Polski i determinacji Polaków w dążeniu do suwerenności. Wiele z bezcennych zabytków zrabowanych z Zamku Królewskiego nigdy do niego nie wróciło. Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego od 1992 r. gromadzi dane na temat strat poniesionych przez Polskę w wyniku drugiej wojny światowej oraz podejmuje działania, mające na celu odnalezienie i odzyskanie utraconych zabytków, także z królewskiej rezydencji w stolicy Polski.

***oprac. raw***



eprasa.pl d9f679a473

KGHM
POLSKA MIEDŹ

# Mecenas Zamku Królewskiego w Warszawie

eprasa.pl d9f679a473

Zamek Królewski, widok od pl. Zamkowego

Ruiny Starego Miasta i Zamku Królewskiego, 1945 r.

Teren zamkowy przed rozpoczęciem odbudowy, 1970 r.

# Jubileusz Zamku Królewskiego

W roku 2021 przypada jubileusz 50-lecia rozpoczęcia prac nad odbudową Zamku Królewskiego w Warszawie. Po latach historia zniszczenia oraz odbudowy zamku zatarła się w pamięci wielu ludzi – zarówno Polaków, jak i gości z zagranicy. W trakcie obchodów jubileuszu chcielibyśmy przypomnieć, jak bardzo prace przy odbudowie królewskiej rezydencji zjednoczyły nasz naród, przywołać emocje sprzed lat, skalę społecznego zaangażowania oraz ofiarności, która przekroczyła wszelkie oczekiwania. Pragniemy wspomnieć i uhonorować osoby, dzięki którym zamek powrócił do życia. Jubileusz to okazja do podsumowania tego wyjątkowego w skali światowej przedsięwzięcia, docenionego wpisem na listę światowego dziedzictwa UNESCO. Zależy nam również, by w ramach jubileuszu zrealizować zamierzenia związane z dzisiejszym funkcjonowaniem zamku – wzbogacić kolekcję dzieł sztuki i ukończyć program inwestycyjny wokół zamku. Obchody jubileuszu zainaugurujemy 26 stycznia 2021 r., odwołując się tym samym do dnia pierwszego historycznego posiedzenia Obywatelskiego Komitetu Odbudowy Zamku Królewskiego, a zakończymy w roku 2024, kiedy będziemy wspólnie świętowali 40. rocznicę udostępnienia Zamku Królewskiego społeczeństwu.

## WOJNA

Jako symbol suwerenności państwa polskiego Zamek Królewski już w pierwszych dniach drugiej wojny światowej stał się obiektem ataków wojsk niemieckich. 17 września1939 r. gmach ogarnął pożar, w jego gaszeniu obok strażaków i służb miejskich brała też udział ludność cywilna. W tym samym czasie polscy muzealnicy i konserwatorzy z narażeniem życia prowadzili akcję ratowania najcenniejszych zbiorów sztuki oraz elementów wyposażenia sal zamkowych. Po wkroczeniu do Warszawy wojsk niemieckich, z rozkazu Adolfa Hitlera, rozpoczęto przygotowania do unicestwienia zamku. W połowie listopada 1939 r. zjawili się tu niemieccy saperzy, którzy rozpoczęli przygotowania do wysadzenia gmachu, wiercąc w jego murach otwory na dynamit. Mimo poważnych zniszczeń Zamek Królewski dotrwał do wybuchu powstania warszawskiego. Dzieło zniszczenia dokonało się ostatecznie we wrześniu 1944 r., kiedy saperzy niemieccy wysadzili zamkowe mury. Z królewskiej rezydencji pozostało jedynie morze ruin.

## W ZAWIESZENIU

Po zakończeniu wojny w trakcie prac na terenie Zamku Królewskiego z ruin wydobyto i zabezpieczono


eprasa.pl d9f679a473

Makieta Zamku Królewskiego ustawiona na pl. Zamkowym, 1972 r.

Skarbonka, do której zbierano fundusze na odbudowę zamku, 1972 r.

Fasada Zamku Królewskiego od strony ogrodu

kilka tysięcy detali architektonicznych. Zachowane elementy oraz dokumentacja źródłowa pozwalały planować odbudowę zamku. Mimo uchwały sejmu z 1949 r. o odbudowie gmachu decyzję o rozpoczęciu prac odsuwano w czasie. Powstawały projekty zakładające odbudowę gmachu m.in. w stylu historycznym lub socrealistycznym, z przeznaczeniem np. na siedzibę najwyższych władz państwowych. W roku 1954 ogłoszono konkurs na projekt odbudowy zamku. W jego wyniku do realizacji skierowano koncepcję zespołu prof. Jana Bogusławskiego, zakładającą odtworzenie historycznej bryły i podniesienie jej o kilka metrów, by górowała nad Starym Miastem. W maju 1956 r. powstała Pracownia Projektowa „Zamek", która rozpoczęła wstępne opracowanie planów. Niestety w 1961 r. decyzją najwyższych władz partyjnych wstrzymano wszelkie prace, a teren zamku uporządkowano. Śladem historycznej budowli były jedynie zarys murów i pozostawione fragmenty ruin. Na wiele lat nad zamkiem zaległa cisza.

## ZAMEK BĘDZIE ODBUDOWANY

Po wielu latach niepewności o losy zamku i długim okresie wstrzymywania odbudowy przez władze komunistyczne decyzję o jego odbudowie podjęto w styczniu1971 r. Do kierowania przedsięwzięciem oraz zbiórką funduszy powołano Obywatelski Komitet Odbudowy Zamku Królewskiego, który skierował apel do Polaków: „Rodacy! Polki i Polacy z kraju i na obczyźnie. Zamek Królewski w Warszawie będzie odbudowany. Podniesiemy go z ruin wspólnym narodowym wysiłkiem. W tym wielkim dziele nie może zabraknąć nikogo, kto czuje i myśli po polsku".

Wiosną z ogromnym entuzjazmem rozpoczęto prace społeczne związane z przygotowaniem terenu budowy, a w symbolicznym dniu 17 września 1971 r. położono „pierwszą cegłę". W lutym 1973 r. nad zamkiem pojawiła się wiecha, a w lipcu 1974 r. montażem zegara i hełmu na Wieży Zegarowej zakończono pierwszy etap odbudowy – oddanie bryły w stanie surowym. W kolejnych latach prowadzono żmudne prace nad odtworzeniem historycznych wnętrz, które udostępniono publiczności w sierpniu 1984 r.

## HISTORYCZNA SKARBONKA

Decyzję o odbudowie zamku Polacy przyjęli z niebywałym entuzjazmem. Zgodnie z założeniami całość prac nad odbudową bryły i odtworzeniem wnętrz miała zostać sfinansowana ze środków społecznych. To bardzo odważne założenie udało się zrealizować. Na specjalnie utworzone konto natychmiast zaczęły napływać wpłaty od osób fizycznych, instytucji i organizacji społecznych. Zbiórkę funduszy w znaczącym stopniu wsparła Polonia. Dodatkową najbardziej popularną formą zbierania pieniędzy były zbiórki do skarbonek wykonanych zwykle w czynie społecznym, które pojawiły się w wielu polskich miastach. Jedną z nich ustawiono nawet na statku pasażerskim TSS „Stefan Batory" kursującym do USA. Pierwszą skarbonkę zamontowano w 1971 r. na skrzyżowaniu Al. Jerozolimskich i ul. Marszałkowskiej w Warszawie, kolejna w 1972 r. pojawiła się na pl. Zamkowym. Do skarbonek wrzucano pieniądze oraz drobne precjoza. Symbolem prowadzonej w ten sposób zbiórki stała się skarbonka z pl. Zamkowego do dziś przechowywana w zamku.

## ZAMEK W XXI W.

Po udostępnieniu zwiedzającym apartamentów i sal zamkowych systematycznie realizowano prace nad odtworzeniem całego zespołu Zamku Królewskiego – przeprowadzono remont pałacu Pod Blachą (2008) wraz z odtworzeniem

Patronat Honorowy
Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej
Andrzeja Dudy

2021 1971

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Mecenas
KGHM POLSKA MIEDŹ

Partner strategiczny
TOTALIZATOR SPORTOWY
65 LAT TOTALIZATORA SPORTOWEGO

Partnerzy
ORLEN
Poczta Polska

Patroni medialni
POLSKIE RADIO
TVP
ams
pap
STOLICA
LAVIE



eprasa.pl d9f679a473

Prace pozłotnicze w Sali Tronowej, 1979 r.

Sala Tronowa, widok współczesny

Orzeł z zaplecka tronu w Sali Tronowej

w nim Apartamentu Księcia Józefa Poniatowskiego (2010), rewitalizację Arkad Kubickiego (2009), remont elewacji saskiej (2013), odtworzenie Ogrodu Górnego (2015) i Ogrodu Dolnego (2019). Równolegle kontynuowano prace nad wystrojem wnętrz, które dzięki hojnym darom, zakupom dzieł sztuki oraz rekonstrukcjom powracają do dawnej świetności. W roku 1994 dzięki niezwykle szczodrej donacji prof. Karoliny Lanckorońskiej powróciła do zamku część dawnej kolekcji króla Stanisława Augusta, w tym dwa znakomite obrazy pędzla Rembrandta. Dziś Zamek Królewski w Warszawie – dawna rezydencja królów Rzeczypospolitej – to przede wszystkim muzeum wnętrz oraz miejsce prezentacji bezcennych zbiorów sztuki. Zamek niezmiennie pozostaje znakiem polskiej suwerenności i chwały, a jednocześnie dostosowuje swoje funkcje do aktualnych potrzeb społecznych.

## PROGRAM OBCHODÓW

Jubileusz zamku chcemy podkreślić wyjątkowymi inicjatywami, takimi jak odtworzenie w całości dekoracji hafciarskiej Sali Tronowej. Obchodom będzie towarzyszyło wiele wystaw, wydarzeń kulturalno-naukowych i edukacyjnych, pokazów filmowych, adresowanych do wszystkich naszych gości. Każdy kolejny rok jubileuszowy poświęcimy zagadnieniom ściśle związanym z odbudową zamku, odtwarzaniem jego wnętrz i kolekcji.

2021 – powstanie i działalność Obywatelskiego Komitetu Odbudowy Zamku Królewskiego.

2022 – restytucja Zamku Królewskiego. Odbudowa bryły, odtwarzanie wnętrz.

2023 – kolekcja Zamku Królewskiego w Warszawie.

2024 – Nowa Instytucja. Symbol – ludzie – działalność.

Zaplanowane konferencje naukowe i publikacje w znacznym stopniu uzupełnią stan badań nad powojenną historią Zamku Królewskiego.

## SZTAFETA POKOLEŃ

Nawiązując do działań podjętych przez OKOZK w trakcie odbudowy Zamku Królewskiego, pragniemy ogłosić społeczną zbiórkę pieniędzy, do której zapraszamy wszystkich Polaków w kraju i poza jego granicami oraz instytucje, które przed 50 laty wspierały dzieło odbudowy. Nasz cel to zebranie funduszy na odtworzenie w całości dekoracji hafciarskiej Sali Tronowej. Pragniemy, aby w akcji nie tylko wzięły udział osoby sentymentalnie związane z zamkiem, lecz także by młode pokolenie dołączyło do sztafety pokoleń rozpoczętej przez ich dziadków i rodziców wspierających przed laty odbudowę zamku z ogromną szczodrością. Zbiórka będzie prowadzona przez Internet oraz do historycznej skarbonki z czasów odbudowy, którą ustawimy na dziedzińcu zamku. Jesteśmy przekonani, że i tym razem dzięki wsparciu społecznemu planowane prace uda się zrealizować, a Sala Tronowa odzyska wspaniały królewski blask.

## POWRÓT ORŁA Z KRÓLEWSKIEGO TRONU

W roku 1785 król Stanisław August zamówił w Lyonie bogatą dekorację hafciarską do Sali Tronowej – głównym motywem kompozycji było 86 haftowanych srebrem orłów. Sala Tronowa zyskała przepiękną dekorację z haftami najwyższej klasy. Niestety dekoracja ta częściowo zaginęła lub została zniszczona – podzieliła tym samym burzliwe losy naszego kraju od schyłku XVIII w. aż do czasów drugiej wojny światowej. Po odbudowie Zamku Królewskiego, dzięki wieloletnim poszukiwaniom, odnaleziono w 1991 r. jedyny egzemplarz oryginalnego orła z zaplecka królewskiego tronu, który powrócił do zamku jako dar Polonii amerykańskiej. Umożliwiło to podjęcie prac nad rekonstrukcją wystroju Sali Tronowej – dotychczas wykonano 86 orłów i wszystkie wąskie bordiury dekoracji.

W roku 2018 odtworzono projekt dekoracji lyońskiej, co umożliwiło dalsze prace. Efekty podjętych działań będziemy mogli zaprezentować w roku 2024 – wieńczącym jubileusz Zamku Królewskiego w Warszawie.

***Bożena Radzio***
***kustosz, Zamek Królewski w Warszawie.***


eprasa.pl d9f679a473

ORLEN

PARTNER
STRATEGICZNY
IX EDYCJI NAGRODY

# STRAŻNIK PAMIĘCI 2021

DO RZECZY

HISTORIA DO RZECZY

eprasa.pl d9f679a473

# Miedziowy Mecenas Zamku

**KGHM Polska Miedź S.A. od wielu lat aktywnie uczestniczy w znaczących przedsięwzięciach z obszaru kultury i sztuki. Jest sponsorem instytucji oraz wydarzeń – festiwali, produkcji filmowych i teatralnych, zarówno na szczeblu lokalnym, krajowym, jak i międzynarodowym. Wsparcie dziedzictwa narodowego Spółka prowadzi także poprzez działanie Fundacji KGHM. Mecenat nad Zamkiem Królewskim w Warszawie objęty został przez miedziowy koncern w szczególnym dla muzeum czasie. W 2019 r. zamek obchodził 400-lecie ukończenia przebudowy podjętej na zlecenie króla Zygmunta III Wazy**

## RAPIER, SZABLE I PISTOLETY

W ubiegłym roku, pierwszy raz od momentu odbudowy, Zamek Królewski w Warszawie zaprezentował nową, stałą ekspozycję militariów. Na kolekcję składa się unikatowy zbiór broni białej, palnej i uzbrojenia ochronnego z XVII i XVIII w.

Od czasów późnego średniowiecza przez kolejne stulecia w warszawskim zamku gromadzono broń białą, palną oraz uzbrojenie ochronne. Dzięki temu, tak jak każda twierdza i siedziba książąt mazowieckich oraz polskich królów, Zamek Królewski w Warszawie był dobrze przygotowany do odparcia ataku wroga. Jak czytamy na stronach zamku, broń oraz zbroje pełniły także funkcje m.in. „ceremonialne, paradne, dekoracyjne".

Powstanie pierwszej w powojennej historii „Zbrojowni" w zamku – jak zauważył prof. dr hab. Wojciech Fałkowski, dyrektor Zamku Królewskiego w Warszawie – było możliwe dzięki współpracy z KGHM Polska Miedź. Jedna z najważniejszych polskich firm i największych spółek notowanych na Giełdzie Papierów Wartościowych w Warszawie jest mecenasem Zamku Królewskiego od maja 2019 r.

– Jesteśmy niezwykle dumni, że możemy w tak wyrazisty sposób uczestniczyć we wzbogacaniu zbiorów Zamku Królewskiego. Zdajemy sobie sprawę, że powstanie tej ekspozycji i dołączenie jej do wystawy stałej w muzeum to wydarzenie niecodzienne i znaczące. Jako mecenas czujemy szczególną więź z tematyką tej ekspozycji. Militaria to co prawda nie specyfika działalności KGHM, ale jako spółka Skarbu Państwa zajmująca się produkcją miedzi i innych metali odczuwamy pewną łączność między przedmiotem naszych działań a historią rozwoju oręża – mówił w lutym 2020 r. Marcin Chludziński, prezes zarządu KGHM Polska Miedź, podczas uroczystości otwarcia wystawy.

Nowa stała wystawa pozwala na uwypuklenie wojennych dziejów rezydencji. Jej zwiedzanie stanowi nie lada


eprasa.pl d9f679a473

gratkę nie tylko dla miłośników militariów oraz osób pasjonujących się historią wojskowości. Wśród eksponatów podziwiać można bowiem unikatowy rapier pojedynkowy typu Pappenheimer z motywem ukoronowanego orła – tak wartościowy eksponat, którego głownia została wykuta w jednym z najlepszych ówczesnych zakładów produkujących broń białą na całym Starym Kontynencie, jest ewenementem na skalę europejskich zbiorów muzealnych.

Na wystawie w Zamku Królewskim w Warszawie można też obejrzeć pierwszą parę pistoletów, która opuściła Królewską Manufakturę Broni Palnej w Kozienicach. To szczególne eksponaty, ponieważ prezentowane na Zamku Królewskim w Warszawie egzemplarze – powstałe w 1788 r. – to jedyne na świecie pistolety kozienickie, które przetrwały do naszych czasów.

Miłośnicy broni białej w specjalnie zaprojektowanych bezpiecznych gablotach w Izbie w Wieży Grodzkiej mogą podziwiać piękne szable husarskie (zarówno z XVII, jak i z XVIII w.) oraz cenną karacenę z okresu wiedeńskiego. Projekt realizuje bronioznawca i historyk wojskowości, kustosz kolekcji militariów Zamku Królewskiego w Warszawie dr Tomasz Mleczek. Pozyskane na potrzeby wystawy eksponaty pochodzą ze zbiorów Zamku Królewskiego w Warszawie, Fundacji im. Ciechanowieckich, Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie, Muzeum Pałacu Króla Jana III w Wilanowie, a także z kolekcji prywatnych.

## VICTORIA 1920

W czasach pandemii Zamek Królewski w Warszawie w ramach akcji „Darmowy listopad online w pięciu rezydencjach królewskich" umożliwił także bezpłatne wirtualne zwiedzanie zamku oraz pałacu Pod Blachą, który wzbogacony został o cenne eksponaty w Apartamencie Księcia Józefa Poniatowskiego. Dyrekcji i pracownikom udało się także – z zachowaniem zasad rygoru sanitarnego – planowo zorganizować takie wystawy czasowe jak „Niezwykły dar króla. Pokaz naczyń z serwisu sułtańskiego ze zbiorów polskich", „Szablą i krzyżem. Pokaz obrazu Jana Henryka Rosena", „Dolabella. Wenecki malarz Wazów", „Uwięziony Geniusz. Giovanni Battista Piranesi" czy „Umarł król. 650. Rocznica śmierci Kazimierza Wielkiego".

KGHM Polska Miedź S.A. był również w sierpniu 2020 r. współorganizatorem niezwykłego koncertu i widowiska poetyckiego Victoria 1920, zorganizowanego na zamkowym Dziedzińcu Wielkim z okazji setnej rocznicy wielkiego zwycięstwa Polaków nad bolszewikami.

Podczas części otwierającej koncert wiceminister kultury i dziedzictwa narodowego Paweł Lewandowski – wraz z ministrem Michałem Dworczykiem oraz prezesem KGHM S.A. Marcinem Chludzińskim – wręczyli nagrody zwycięzcom hackathonu historycznego „1920 jam Bitwa Warszawska", który odbył się pod patronatem Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Goście wydarzenia wysłuchali wariacji Ignacego Paderewskiego w wykonaniu wybitnego młodego pianisty Aleksandra Dębicza, który zagrał również skomponowany przez siebie specjalnie na tę okazję utwór „VICTORIA 1920". Niezwykły koncert na Zamku Królewskim w Warszawie połączony był z widowiskiem artystyczno-poetyckim, w którego programie wykorzystano m.in. wiersze Stanisława Młodożeńca i Władysława Broniewskiego oraz teksty Juliana Przybosia. Widzowie na multimedialnych tablicach obejrzeli też animowane archiwalne zdjęcia, dokumenty, plakaty i listy, które zostały zaprezentowane w układzie chronologicznym od odzyskania niepodległości przez Polskę przez najazd sowiecki, patriotyczny zryw narodowy, wojnę, do zwycięstwa Polaków w Bitwie Warszawskiej – jednej z najważniejszych bitew w historii ludzkości.

## „1920 WOJNA ŚWIATÓW"

Mury Zamku Królewskiego w Warszawie gościły również w zeszłym roku wystawę „1920 Wojna Światów", którą miedziowa spółka przygotowała wspólnie z Ministerstwem Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Wystawa adresowana głównie do młodego pokolenia Polaków, eksponowana była w formie gazet kolportowanych do zainteresowanych instytucji. Prace graficzne utrzymane są w stylistyce komiksowej i prezentują najważniejsze wątki oraz postaci związane z tym historycznym wydarzeniem.

KGHM Polska Miedź czuje odpowiedzialność za wspieranie polityki historycznej realizowanej przez rząd i najważniejsze polskie instytucje. Jako mecenas Zamku Królewskiego w Warszawie miedziowa spółka będzie więc nadal wspierać uroczystości i wydarzenia związane z jubileuszem 50-lecia jego odbudowy. – KGHM to lider polskiej gospodarki i strategiczna spółka Skarbu Państwa. Konsekwentnie budujemy naszą biznesową pozycję, ale współcześni giganci rynku biorą odpowiedzialność nie tylko za wskaźniki ekonomiczne. Rozumiemy nasz wpływ na polską gospodarkę i czujemy się odpowiedzialni również za wspieranie polskiego dorobku i dziedzictwa narodowego – zauważył Marcin Chludziński, prezes zarządu KGHM Polska Miedź S.A., podkreślając szczególne miejsce Zamku Królewskiego w Warszawie w historii Polski. – Jego zbiory są wśród najcenniejszych obiektów polskiego dziedzictwa narodowego, a budynek odbudowany po drugiej wojnie światowej stał się symbolem naszej siły i determinacji. To symbol polskich dokonań, waleczności i wartości, ale zarazem symbol wielkich trudów, jakie stawały się naszym udziałem, zwłaszcza w minionym wieku – dodał prezes Chludziński.

KGHM POLSKA MIEDŹ



eprasa.pl d9f679a473

# Kompleks Kościoła

FOT. ADOBE STOCK

*ks. Przemysław Artemiuk*

**Profesor Tomasz Polak w najnowszej pracy proponuje nowe odczytanie chrześcijaństwa, które określa mianem systemu kościelnego. Poznański profesor ogałaca rzeczywistość kościelną z transcendencji, widząc w niej jedynie ziemską instytucję**

Książką opisującą system kościelny po latach milczenia powrócił prof. Tomasz Polak, do kwietnia 2008 r. Tomasz Węcławski, duchowny katolicki i jeden z czołowych polskich teologów. „System kościelny, czyli przewagi pana K" nie jest jedynie reakcją na obecną sytuację Kościoła katolickiego. Badacz, definiując system kościelny, rekonstruuje jego genezę, przedstawia dynamikę rozwoju oraz charakteryzuje kluczowe cechy. Aż dziw bierze, że naukowcy debatujący nad książką w listopadowym numerze „Znaku" przyjmują ją bez zastrzeżeń. Boskość Jezusa czy Chrystusowa geneza Kościoła zanegowane przez prof. Polaka nie budzą w nich żadnego oporu. A przecież dwoje z czworga rozmawiających to teologowie katoliccy. Jaką zatem teologię uprawiają, skoro zgadzają się na tak redukcjonistyczne poglądy? Czy rzeczywiście można widzieć we wspólnocie uczniów Jezusa początek systemu kościelnego? Jak mają się badania prof. Polaka do chrystologii i eklezjologii? Czy można w końcu pogodzić głębokie analizy ks. Tomasza Węcławskiego, przeniknięte ortodoksyjnością, z dzisiejszym redukcjonizmem prof. Polaka, który stwierdza, że wprawdzie system kościelny powołuje się na Boga jako źródło, ale jego jądro pozostaje ateistyczne? Poznański profesor, dokonując dekonstrukcji katolickiej eklezjologii, ukazuje istnienie alternatywnego wobec Kościoła systemu, który jest uniwersalny, ateistyczny i niereformowalny. Kluczem do zrozumienia analiz pozostaje interpretacja źródeł chrześcijańskich, której dokonuje prof. Polak.

## INSPIRACJE

Są nimi przede wszystkim koncepcje naukowców wyraźnie skłaniających się w badaniu genezy chrześcijaństwa ku redukcyjnym metodologiom. Profesor Polak najczęściej przywołuje niemieckiego biblistę Gerda Theissena, ale sięga także do prac Gezy Vermesa i Gerda Lüdemanna. Dwaj ostatni „niemal całkowicie odrywają pierwotne chrześcijaństwo od intencji samego Jezusa". Ich zdaniem wspólnota wierzących jawi się jako grupa sprzeniewierzająca się Jezusowi. Według Vermesa to Paweł założył chrześcijaństwo, nie znając zupełnie ziemskiego Jezusa. Theissen z kolei postrzega chrześcijaństwo jako nieudaną próbę uniwersalizacji judaizmu.

Oczywiście obok wymienionych metodologii redukcyjnych w badaniach nad genezą Kościoła spotykamy odmienne spojrzenia. Profesor Polak ich jednak nie przywołuje. A przecież wielu biblistów i historyków starożytności widzi początek chrześcijaństwa we wspólnocie wiary w Objawienie Boga w Jezusie z Nazaretu. J.D.G. Dunn na przykład uważa, że najważniejszy jest wpływ, jaki „Jezus historyczny wywarł na swoich uczniów, naocznych świadków Jego słów i czynów". Dlatego zupełnie możliwe jest, o czym zdaje się nie pamiętać prof. Polak, dotarcie do „Jezusa zapamiętanego". Według Richarda Bauckhama, „pierw-



eprasa.pl d9f679a473

si chrześcijanie byli zainteresowani przechowaniem historii Jezusa, głównie z tej racji, że pojmowali ją jako eschatologiczny etap działania Boga Izraela wobec swojego ludu". Niestety poglądów wspomnianych biblistów nie odnajdujemy w argumentacji prof. Polaka. Sięga on jedynie do koncepcji wyraźnie redukcjonistycznych. Dlaczego? Wydaje się, że źródeł tego wyboru należy szukać w jego interpretacji Mistrza z Nazaretu.

## JEZUS – WEWNĘTRZNY REFORMATOR

W listopadowym „Znaku" poznański profesor stwierdza: „Żadne badania historyczne, jeśli są uczciwe, nie mogą rościć sobie prawa do jednoznacznego określenia osoby historycznego Jezusa. Mamy problem, bo dostęp do niego i jego nauczania jest zapośredniczony przez pisma Nowego Testamentu zawierające już istotną interpretację". Poznański uczony z miejsca odrzuca zatem wiarygodność ewangelicznych przekazów jako historycznych źródeł, sprowadzając je jedynie do kategorii interpretacji. To zdecydowanie za mało, jeśli chcemy w sposób uczciwy mówić o Jezusie. To prawda, że On sam nie pozostawił po sobie żadnych pism, a podczas Jego życia jedynie zapisano krzyżowy titulus crucis.

Szukając danych dotyczących Jezusa historycznego, należy najpierw sięgnąć do tekstów Pawłowych, które zawierają nieliczne, ale istotne szczegóły. W tej perspektywie Ewangelie kanoniczne powinniśmy zdefiniować w pierwszej kolejności jako wspomnienia naocznych świadków Jezusa, dodając zarazem, „już teologicznie zinterpretowane z inspiracji Ducha Świętego w kontekście rozwijającego się chrześcijaństwa". Spośród synoptyków (Marek, Mateusz, Łukasz) pierwszeństwo należy przyznać Piotrowi, który dzierżył prymat w gronie Dwunastu i najprawdopodobniej uczestniczył w redakcji Markowej Ewangelii. Relacja Czwartej Ewangelii to głos „umiłowanego ucznia", naocznego świadka Jezusa, napełnionego Duchem Świętym. Inne, pozakanoniczne źródła, czyli teksty wczesnych chrześcijan, nazwane pismami Ojców Apostolskich, posiadają w zasadzie charakter wtórny.

Badając nowotestamentowe źródła, nie sposób pominąć metody. Profesor Polak wspomina jedynie o jej historyczno-krytycznej formie. Dzisiaj pozostaje ona niewystarczająca i domaga się, co sugeruje J. Ratzinger/Benedykt XVI, uzupełnienia metodą teologiczną. Zdaniem M. Skierkowskiego, „Jezus wiary Kościoła jest historycznie wiarygodny", „w Ewangeliach zaś [mających kluczowe znaczenie dla Jego historii] ulokowane są wspomnienia naocznych świadków Jezusa, ale jednocześnie interpretująca aktualizacja tych przeszłych wydarzeń inspirowana przez Ducha Świętego. Duch Święty jakby nieustannie wywierał presję na ewangelistach, by w spojrzeniu na Jezusa nie ograniczali się tylko do perspektywy przedpaschalnej (przeszłej), lecz przedstawiali Go w pełniejszym rozumieniu, czyli także tym popaschalnym (teraźniejszym). Ewangelie pozostają dokumentami historycznymi, a jednocześnie płoną żywym ogniem Ducha Świętego".

**TOMASZ POLAK „SYSTEM KOŚCIELNY, CZYLI PRZEWAGI PANA K" WYDAWNICTWO NAUK SPOŁECZNYCH I HUMANISTYCZNYCH UAM 2020**

Tego rodzaju stwierdzeń nie spotkamy w badaniach prof. Polaka. Jezus według niego „był człowiekiem intensywnie oddanym relacji do Boga postrzeganego jako Ojciec. Stał się więc reformatorem – nie instytucjonalnym, lecz wewnętrznym – odniesienia do Boga w swojej społeczności". Ponadto Nazarejczyk „niewątpliwie [pozostawał] człowiekiem porządku religijnego ówczesnego Izraela". „Nie należy jednak – jak sugeruje prof. Polak – ulegać pokusie przeciwstawiania Jezusa anarchicznego późniejszej strukturyzacji religijnej. Oba elementy, które pojawiają się w systemie kościelnym: zarówno anarchiczny, emancypacyjny, jak i archiczny, związany z porządkiem instytucjonalnym, mają zakorzenienie (oczywiście później intensywnie reinterpretowane) w tym, kim był Jezus". Ewangeliczne teksty dotyczące zmartwychwstania Jezusa, zdaniem prof. Polaka, żadną miarą nie stanowią potwierdzenia tego faktu. Po śmierci Jezusa jego uczniowie „znaleźli się w sytuacji nie do pozazdroszczenia". Ich oczekiwania dotyczące „królowania Boga" nie spełniły się, a oni sami zdezerterowali. Pod wpływem traumatycznych doświadczeń sformułowali interpretację, która okazała się kluczowa dla genezy Kościoła: „Jezus jest kimś zupełnie wyjątkowym, ta śmierć jest wyjątkowa i my, którzy w to wierzymy, też jest jesteśmy wyjątkowi". Czym w takim razie okazało się samo zmartwychwstanie? Poznański badacz sceptycznie konstatuje: „Wśród ludzi, którzy byli istotni dla dalszego rozwoju chrześcijaństwa, istniała gotowość, by znać, iż z Jezusem coś się stało, iż Jezus mógł zostać wskrzeszony. Dla samego wydarzenia – co mówi większość poważnych teologów – nie mamy dostępu". Profesor Polak nie dostrzega ciągłości między głoszonym przez Jezusa królestwem a powstaniem Kościoła. Widzi za to zarówno w Izraelu, jak i wśród pierwszych chrześcijan wyraźne cechy systemu kościelnego, rozwiniętego w kolejnych wiekach. Są nimi przeświadczenie o wybraństwie, „które zostaje związane ze szczególnym odniesieniem do Jezusa", a także sakralizacja władzy, ujawniająca się w przeniesieniu „autorytetu z Chrystusa na tych, którzy przewodzą wspólnocie", i w końcu manipulacja, polegająca na powoływaniu się „na Boga, najwyższe wartości, rzeczy ważne dla bardzo wielu ludzi po to, żeby bronić własnych interesów". Według prof. Polaka „system kościelny to sposób realnego społecznego i politycznego funkcjonowania chrześcijaństwa od jego początków do dziś, a to znaczy zarazem: istotny wyraz religijnej i społeczno-kulturowej tożsamości tej religii. Najważniejsza jest tu właśnie tożsamościowa stałość zjawiska".

## NIEREFORMOWALNY SYSTEM KOŚCIELNY ZAMIAST KOŚCIOŁA

Profesor Polak w najnowszej pracy proponuje nowe odczytanie chrześcijaństwa, które określa mianem systemu kościelnego. Jego koncepcję, rozwijającą niektóre idee badaczy z nurtu Third Quest, cechuje wyraźny redukcjonizm. Wykorzystując teorię maszyn społecznych, poznański profesor ogałaca rzeczywistość kościelną z transcendencji, widząc w niej jedynie ziemską instytucję. Profesor Polak w swoich analizach przypomina nieco żydowskiego badacza Gezę Vermesa, który porzuciwszy chrześcijaństwo, nie mógł się uwolnić od kompleksu Jezusa, poświęcając Mu kolejne prace. Odnoszę wrażenie, że poznański profesor cały czas próbuje rozliczyć się z Kościołem.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Ks. dr hab. Przemysław Artemiuk, profesor UKSW, teolog fundamentalny, adiunkt na Wydziale Teologicznym UKSW w Warszawie, przewodniczący Stowarzyszenia Teologów Fundamentalnych w Polsce.



eprasa.pl d9f679a473

FOT. GRZEGORZ MOMOT/PAP

Z Sebastianem Pitoniem, inicjatorem „Góralskiego veta", architektem
*rozmawia Ryszard Gromadzki*

# „Góralskie veto" w obronie godności

**RYSZARD GROMADZKI: „Góralskie veto" to przejaw desperacji i złości czy raczej potrzeba wolności i normalności?**

**SEBASTIAN PITOŃ:** Myślę, że „Góralskie veto" jest raczej przejawem poczucia dumy, honoru i potrzeby traktowania ludzi poważnie. Ludzie mają swoją godność i nie lubią, kiedy ta godność jest deptana. To nie jest przejaw desperacji. Jestem architektem, mnie te wszystkie ograniczenia też dotykają, ale nie jestem w tak dramatycznej sytuacji jak inni przedsiębiorcy. Uważam, że te restrykcje, które ograniczają nasze życie i je niszczą, depczą moje poczucie godności. To jest dla mnie najgorsze.

**Długo musiał pan namawiać przedsiębiorców z Podhala do przyłączenia się do „Góralskiego veta"? Wielu ludzi uległo psychozie strachu, a inicjatywa, którą pan kieruje, wzywa do oporu...**

Schemat działania polegał na tym, że ja przedstawiłem pewną wizję powrotu do normalności, a nawet więcej – przedefiniowania pewnych aspektów życia w Polsce, żeby perspektywy życia tutaj dla następnych pokoleń były być może jeszcze lepsze. Jesteśmy w trakcie wojny hegemonicznej między Wschodem a Zachodem. Wschód tę wojnę wygrywa. Po tej wojnie wyłoni się nowy policentryczny świat, Polska w tej nowej architekturze będzie jednym z głównych łączników wschodu i zachodu, państwem leżącym na głównych szlakach tranzytowych. Możemy tutaj żyć naprawdę dobrze, wykorzystać tę dywidendę geograficzną. Tymczasem jesteśmy państwem, które jest osłabiane po to, żeby można je było kontrolować. A to, co się w tej chwili wyprawia, to już kompletne zniszczenie. Oczywiście te wszystkie działania dotyczą całej Europy i Stanów Zjednoczonych. Widząc, co się dzieje, doszedłem do wniosku, że to jest ostatni moment, żeby wyrazić swoje zdanie. Jako człowiek, który autentycznie wierzy w personalizm, w naszą cywilizację łacińską, której spadkobiercami jesteśmy, uznałem, że nie muszę mieć gromady ludzi wokół siebie, żeby coś zrobić.

**Nie wierzy pan rządowi? Premier Morawiecki mówi, że w obecnym kryzysie widać już „światełko w tunelu", a powrót do normalności jest już blisko.**

Bądźmy poważni. Obserwuję sytuację. Może być tak, że polski rząd gra na dwie strony. Z jednej strony stara się spełniać oczekiwania, nazwijmy to, międzynarodowych mocodawców, a z drugiej rząd PiS stara się jakoś nas przed tym zabezpieczyć w ramach swoich bardzo małych możliwości. Wydaje mi się jednak, że tak nie jest.

**Twierdzi pan, że jesteśmy osłabiani. Przez kogo?**

Myślę o międzynarodowych bankach i korporacjach. Tym, co nazywa się Wall Street, Bankiem Rozrachunków Międzynarodowych, Grupą Bilderberg... W tym banksterskim światku szefowie są często anonimowi. To jest taka kultura, w której rządzą ludzie nieafiszujący się ze swoimi twarzami ani nazwiskami.

**Tutaj nie chodzi o Sorosa, Gatesa, Zuckerberga et consortes?**

To jest część tej bandy. Myślę, że nie ma sensu zastanawiać się, kto tam naprawdę rządzi.

**Pana zdaniem w czasie obecnego kryzysu polski rząd podporządkowuje się dyspozycjom, które płyną z tych ośrodków?**

Trudno uwierzyć, widząc stopień koordynacji poczynań rządów na całym świecie, że jest to proces spontaniczny. Wszystkie ordynowane działania wprowadzane są w podobnym rytmie we wszystkich krajach Europy, choć są oczywiście pewne różnice. Czasem nawet spore, co pokazuje kazus Szwecji.

**Jaką rolę w tym procesie odgrywa polski rząd?**

Myślę, że polski rząd wykonuje polecenia globalistów. Natomiast tak jak w każdym rządzie, czy raczej w każdej strukturze władzy, są siły bardziej sterowalne z zewnątrz i takie, które posiadają



eprasa.pl d9f679a473

większy stopień autonomii. Wśród tych sił mogą znajdować się również polscy patrioci. Obecnie ster państwa trzymają ludzie wykonujący polecenia banksterów.

**Łatwo sobie wyobrazić, że głosząc takie poglądy, będzie pan traktowany jako fan teorii spiskowych, a do tego wichrzyciel, który podważa obowiązującą narrację o bohaterskiej walce rządu z morderczym wirusem...**

Sytuacja jest naprawdę poważna, te groźne procesy przyspieszają. Skupiam się raczej na tym, żeby poznać plany wrogów. Znając zamiary przeciwnika, można przeciwdziałać, można znaleźć słaby punkt tej strategii i stworzyć przeciwstrategię. Wydaje mi się, że polemika z ludźmi, którzy przedstawiają mnie jako szura i wariata, jest stratą czasu. Jak mówię, staram się poznać strategię przeciwnika. Doszedłem do wniosku, że jeśli teraz, czyli w końcówce lockdownu, który miał się skończyć 17, 18 stycznia, nie stoczymy bitwy o uwolnienie przedsiębiorczości, którą będziemy musieli wygrać, to następne bitwy sromotnie przegramy. Znajdziemy się wtedy w tym nowym, lepszym świecie, w którym za miskę ryżu będziemy kopać doły i je zasypywać.

**Jednak „bitwa o maski" została przegrana niemal bez walki... Przytłaczająca większość ludzi dała się przekonać opowieściom o ich niezbędności. A mówi się o Polakach, że mają silny gen wolności...**

Strasznie łatwo przyjęliśmy ten rygor. Nie liczę, że Polacy masowo się przebudzą. Chociaż muszę powiedzieć, że tu, na Podhalu, jeżdżąc z ekipą wRealu24 po restauracjach, które się otworzyły, widać entuzjazm. Widać, jak ludzie mają dość życia w strachu i niepewności, jak potrzebują nadziei, że to się wreszcie może skończyć, że możemy wygrać, że możemy się jako Polacy z tego otrząsnąć. To bardzo silny impuls. Taki natywny. Bardzo jestem dumny, że taki impuls jest i że w ogóle wyszedł. Na jednej z konferencji prasowych wystosowałem zaproszenie dla prezydenta Andrzeja Dudy...

**... na narty i do tego nie incognito...**

Tak. Mam taką wizję, której symptomy uwidoczniły się w pierwszej części prezydentury Andrzeja Dudy, kiedy dał się poznać jako polityk zabiegający o jak najlepsze miejsce dla Polski w nowej tworzącej się architekturze świata, która będzie sprzęgnięta z chińską inicjatywą „Jednego Pasa, Jednej Drogi". Bardzo kibicowałem panu prezydentowi, uważałem, że wykonał kawał świetnej roboty, a jego działania są bardzo perspektywiczne i bardzo dojrzałe. Później z przerażeniem obserwowałem, jak ta jego koncepcja była torpedowana przez czynniki wewnątrz PiS, związane z ośrodkami bliskimi panu Macierewiczowi i w pewnym zakresie panu Morawieckiemu. Cała ta polityka została wstrzymana. Liczę na to, że pan prezydent, któremu jakoś udało się na drugą kadencję „wślizgnąć", teraz do tej koncepcji wróci. Musiał trochę udawać „długopis i Adriana", nie wychylać się, bo prezes Kaczyński mógłby wstawić na jego miejsce Beatę Szydło, która też by pewnie wygrała bez problemu. Mam nadzieję, że prezydent będzie zabiegał o wykorzystanie potencjału, jaki daje nam położenie między Wschodem a Zachodem, żeby stać się krajem bogatym i wolnym.

**Podkreśla pan, że obecny moment kryzysu ma krytyczny charakter. Dlaczego?**

Obserwując ten kryzys, widać, że zło atakuje dwie kluczowe sfery: rodzinę i racjonalność. Myślę, że fundamentem człowieczeństwa jest z jednej strony umiejętność racjonalnego myślenia, a z drugiej strony rodzina. Monogamiczna i wyemancypowana. Oba te elementy uległy destrukcji, dzięki czemu jesteśmy bardzo podatni na sterowanie. Nie myślimy samodzielnie ani nie mamy oparcia w silnych strukturach rodziny. Gołym okiem widać, jak ludzie pozbawieni tych fundamentów łatwo poddają się absurdom, które są im narzucane. Uważają, że skoro tak kazali, to pewnie tak musi być. Dlatego te dwa elementy są dla mnie bardzo ważne. System dodatkowo ciągle nas dzieli. Wprowadzenie do debaty publicznej sprawy aborcji to klasyczny przykład strategii „dziel i rządź", która miała nas skonfliktować, żebyśmy nie patrzyli tam, gdzie trzeba, czyli na działania rządu prowadzone pod przykrywką walki z pandemią.

**Chwali pan prezydenta Dudę za zaangażowanie w działania na rzecz wykorzystania naszego położenia geograficznego, budowę koncepcji „państwa zwornika" eurazjatyckiej prosperity pod auspicjami Chin. Nie obawia się pan, że zostanie uznany za chińskiego agenta wpływu?**

Czuję się polskim agentem. Jestem agentem polskości. Polskości i łacińskości. Jeśli ktoś chciałby mnie zapytać, czyim jestem agentem, to tak bym odpowiedział.

**Rozmawiamy o uwolnieniu naszych przedsiębiorców spod lockdownu. Wspomniał pan o natywnym impulsie widocznym na Podhalu. To polski instynkt wolności znów daje o sobie znać?**

Owszem. Myślę, że wyczuwa się tego rosnącego ducha polskości w tej zbitej, zatomizowanej, wydawałoby się, zmiażdżonej zbiorowości. Teraz patrząc w twarze tych ludzi, którzy siedzą w tych, moim zdaniem, legalnych, ale otworzonych wbrew rozporządzeniom rządu lokalach, widzę, jak promienieją wolnością. Myślę, że ta reakcja łańcuchowa, którą staram się wspomóc, zachodzi. Mam nadzieję, że obronimy naszą cywilizację przed tym, co nas tutaj miało czekać. Głęboko w to wierzę. Uważam, że trzeba walczyć i wierzyć w zwycięstwo.

**Sebastian Pitoń – „agent polskości" – zamierza włączyć się w wielką politykę?**

Nigdy nie miałem takich ambicji. Zawsze uważałem się za kogoś, kto raczej wymyśla strategie, niż je realizuje. Od wiosny szukałem kogoś, kto mógłby być taką twarzą. Tak się jakoś złożyło, że sam zostałem tą twarzą. Kiedy zrobiłem wystąpienie „Góralskie veto", zaczęli do mnie przychodzić ludzie, mówiąc, że chcą, żebym był ich przywódcą. Nie miałem wyjścia. Ale zobaczyłem też atuty takiego stanu rzeczy. Staram się jakoś dopasować do tej roli, która jest mi mocno obca. Nie jestem typem klasycznego polityka, który w garniturku chodzi na różne nudne imprezy. Przecina wstęgi i mówi to, co ludzie chcą usłyszeć. To zupełnie nie mój styl. Patrzę na siebie jak na narzędzie.

**Boże narzędzie?**

Trudno jest myśleć w ten sposób. Nie jestem aż tak próżny. Jednak wszyscy jesteśmy narzędziami w rękach Boga. Robię to dla dzieci, dla Polski, dla planu Bożego, żeby człowiek nie był niewolnikiem, ale tym pięknym stworzeniem, które Bóg stworzył dla idei miłości, a nie kontroli i wyzysku. Gdzieś w dalszej perspektywie mnie, architekta-budowniczego, kusi idea civitas dei.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

*__Sebastian Pitoń__ – architekt z Kościeliska, absolwent Politechniki Łódzkiej. W swoich projektach inspiruje się m.in. słynnym architektem katalońskim Antonim Gaudim. W 2014 r. startował w wyborach samorządowych, postulując m.in. likwidację Tatrzańskiego Parku Narodowego i oddanie ziemi góralom w imię „świętego prawa własności". Sympatyk Konfederacji. Mówi o sobie: „Oryginalność jako metoda na bycie zauważonym i odniesienie sukcesu mnie nie interesuje. Nie jestem oryginalny".*



eprasa.pl d9f679a473

Sebastian Ligarski

# Debaty Gierka

**Po tragicznym grudniu 1970 r. i objęciu stanowiska I sekretarza KC PZPR przez Edwarda Gierka sytuacja w Polsce w styczniu 1971 r. nadal była niespokojna. Jak opisywał historyk Grzegorz Majchrzak, tylko w pierwszym miesiącu roku funkcjonariusze SB odnotowali ponad 60 „przerw w pracy". Jednym z najbardziej zapalnych miejsc na tej mapie był Szczecin**

Jak wynikało z gromadzonych skrupulatnie przez Służbę Bezpieczeństwa materiałów, już na początku nowego roku robotnicy ze szczecińskich stoczni coraz śmielej i głośniej domagali się ukarania winnych za zbrodnię sprzed niespełna miesiąca oraz wskazywali, że dojście do władzy Gierka niewiele zmieniło. Co prawda, pracownicy stoczni dostali ogromne dodatki do pensji, ale wielu z nich uważało, że była to próba zamknięcia im ust. Co więcej, uznawano, że strajk w grudnia 1970 r. nie został zakończony tylko zawieszony, w każdej chwili komitet strajkowy może się reaktywować i dalej prowadzić akcję strajkową. Stanisław Wądołowski wspominał: „Przyszedł nowy rok. Nic się nie zmieniło. Dalszy chaos, bałagan, Gierek nie poprawiał. I przyszedł dzień dziesiątego stycznia, kiedy ze stoczni zaczęły wyjeżdżać samochody z napisem »Strajk trwa«". Władze próbowały natychmiast zgasić tlący się protest. Udało się, ale tylko na chwilę. 22 stycznia stanęła Stocznia im. Warskiego w Szczecinie.

Iskrą, która na nowo rozpaliła strajk, był zmanipulowany artykuł w „Głosie Szczecińskim" o rzekomym szerokim poparciu robotników z Wydziału Rurowni dla kierownictwa partii. Lokalne władze (funkcję I sekretarza KW PZPR pełnił Eugeniusz Ołubek, który zastąpił Antoniego Walaszka) po raz kolejny zlekceważyły robotników i przygotowywały się do następnego siłowego rozprawienia z buntownikami. Stocznia została otoczona, zasypywana była ulotkami i płynącymi przez megafony wezwaniami do zaprze-





eprasa.pl d9f679a473

Edward Gierek (na zdjęciu) wraz z przedstawicielami najwyższych władz PRL spotkał się ze stoczniowcami Stoczni Szczecińskiej im. Adolfa Warskiego. Podczas tego spotkania padły słynne słowa: „[...] jak, pomożecie?"

FOT. JANUSZ UKLEJEWSKI/PAP

stania protestu. Odcięto prąd, radiowęzeł, na pewien czas również wodę pitną. Marian Juszczuk wspominał: „Baliśmy się czołgów, czekaliśmy, że ktoś przyjdzie z nahajem. W niedzielę chyba zabroniono nam dostarczać jedzenie. Otoczono stocznię podwójnym kordonem milicji".

Stoczniowcy spodziewali się najgorszego. Po mieście jeździły tramwaje i samochody z wymalowanymi hasłami strajkowymi. Po pewnym czasie zaczęły dołączać inne zakłady pracy. Strajk zorganizowany był podobnie jak ten grudniowy, na terenie stoczni panowała dyscyplina, strajkujący podzieleni byli na grupy zadaniowe. Na czele 38-osobowego komitetu strajkowego stanął Edmund Bałuka, dlatego czasem ten protest nazywany jest „strajkiem Bałuki". Brak zdecydowania ze strony władz oraz usilne próby zmuszenia robotników do przerwania protestu powodowały narastającą irytację obu stron. Przerwał ją dopiero przyjazd Edwarda Gierka wraz z członkami rządu 24 stycznia 1971 r.

## BEZ ZAPROSZENIA

Decyzja o wyjeździe do Szczecina zapadła w godzinach popołudniowych 23 stycznia 1971 r. Jak pisał Michał Paziewski, „na popołudniowym posiedzeniu Sekretariatu KC PZPR [...] J[erzy] Szydlak zreferował patową sytuację zaistniałą w Szczecinie i »związane z nią przedsięwzięcia polityczno-organizacyjne«, które służyć mogłyby zażeganiu palącego kryzysu. Po czym miano przyjąć wniosek E. Gierka, aby wraz z P. Jaroszewiczem, który również uczestniczył w tym posiedzeniu, spotkać się z „delegatami wydziałów stoczni szczecińskiej, a następnie z przedstawicielami innych zakładów pracy w Szczecinie".

Decyzji tej nie poparł Mieczysław Moczar, sekretarz KC i nowy członek Biura Politycznego KC PZPR. „Sekretariat KC PZPR ustalił, że »w spotkaniu wezmą również udział dyrektorzy, kierownicy wydziałów, sekretarze OOP, sekretarze KZ, przewodniczący rad zakładowych i rad robotniczych«. Podobne przedsięwzięcie planowano w Gdańsku. Wobec tego polecono w oparciu o postulaty strajkujących przygotować »materiał do rozmowy« w czasie spotkań". Powiadomiono też władze wojewódzkie partii o tych decyzjach.

Franciszek Szlachcic, nowy minister spraw wewnętrznych, zanotował, że decyzja zapadła wcześniej i była to inicjatywa Gierka po rozmowie z nim, Antonim Walaszkiem oraz Leonidem Breżniewem. Spotkanie Sekretariatu KC PZPR było de facto potwierdzeniem tej decyzji. Na miejscu w stolicy Pomorza Zachodniego byli już Kazimierz Barcikowski, Franciszek Kaim i Henryk Słabczyk z MSW.

Mniej więcej w tym samym czasie do Gierka dotarła informacja od stoczniowców z Warskiego. List napisany pod wpływem dwóch dziennikarzy szczecińskich, Lidii Więckowskiej i Jerzego Pachlowskiego, był próbą wyjścia z impasu. Stoczniowcy przedstawiali się w nim, jako ci, którzy udzielili poparcia Gierkowi, ale „postawa władz administracyjnych, partyjnych i związkowych postawiła załogę w sytuacji przymusowej, uniemożliwiając uczciwe i szybkie zakończenie strajku". Co ważne w liście nie znalazło się żadne zaproszenie do przyjazdu I sekretarza KC PZPR do Szczecina (do Gdańska zresztą też nie).

W czasie lotu do Szczecina Gierek podjął decyzję, że pojedzie do stoczni, co odradzał mu m.in. Barcikowski będący na miejscu od kilku dni. Zanim dotarł tam Gierek, forpocztę stanowił Franciszek Szlachcic, który miał przygotować spotkanie. Minister spraw wewnętrznych notował: „Po 30–40 minutach jazdy samochodem znalazłem się przed bramą główną stoczni. Przed bramą stała duża grupa milicjantów, kilkudziesięciu cywilów i kilku oficerów Wojska Polskiego. Kilku starszych oficerów milicji poznało mnie, byli wyraźnie zdziwieni, lecz o nic nie pytali. [...] Podszedłem pod bramę, przedstawiłem się i powiedziałem: »Proszę zaprowadzić mnie do komitetu strajkowego«. Oni byli jeszcze bardziej zdziwieni niż oficerowie MO. Ktoś krzyknął: »Generał, otworzyć bramę«. Bez komendy utworzyli szpaler. Stali, przyglądali mi się, w rękach trzymali pręty i kable. Szedłem wolno, patrzyłem im w oczy i próbowałem się uśmiechać, co wyglądało sztucznie, bo nikt z nich się nie uśmiechał. Byłem w cywilnym ubraniu. [...] Powiedziałem: »Do Szczecina przylecieli Edward Gierek, Piotr Jaroszewicz i Wojciech Jaruzelski, aby zorientować się na miejscu w sytuacji i rozmawiać z załogą. Moim zadaniem jest ustalenie warunków spotkania«".

Edmund Bałuka wspominał: „[Szlachcic] mówi, że towarzysz Gierek jest w Szczecinie i chce przyjść do stoczni. A my jeszcze ani postulatów gotowych, ani z piątkami żadnej konsultacji nie mieliśmy, nic konkretnego. Mówimy, więc dobrze, ale towarzysz Gierek będzie musiał poczekać jakiś czas. Ile wam zejdzie? Na to my: No, jakieś półtorej godziny, bo zanim wybierzemy piątki, zanim piątki pójdą



eprasa.pl d9f679a473

na wydziały, zanim skonsultują się… Szlachcic mówi, nie, jak to, towarzysz Gierek będzie czekał za bramą? My mówimy, no cóż, trudno, my nie jesteśmy jeszcze gotowi. Napisaliśmy list, czekaliśmy trzy dni, to można jeszcze poczekać te półtorej godziny".

## „KTO OSTRZEJ GIERKOWI WYRĄBIE"

Jak pisał sekretarz Edwarda Gierka, Jerzy Waszczuk, była to „pierwsza lekcja pokory". Jednakże Edward Gierek pojawił się w stoczni wcześniej. Maria Chmielewska: „Wychodzę i widzę, od głównej bramy Gierka prowadzą. Robotnicy go poznali i otoczyli, i idą razem, takie tam rozhowory po drodze. A za nimi sobie człapał, w takiej tam jesioneczce, kołnierz miał uniesiony, taki starszy gość, jak przeciętny robotnik sobie wyglądał, a to był Jaroszewicz. Poznałam go, bo to był mój trzeci wiceminister, jak w Warszawie pracowałam jako maszynistka zaraz po wojnie. Więc ja się patrzę – Jaroszewicz, no! Gierka tak jakoś puścili do gmachu po schodach, żeby pierwszy przeszedł, a Jaroszewicza nawet dobrze przydusili, kiedy hurmem szli. To, że on taki skromny szedł, że go tak przemaglowali na tych schodach, mnie ujęło, naprawdę. […] Mnie to tym bardziej pomogło uwierzyć, że pójdzie tak wszystko uczciwie. Przecież my nie chcieliśmy większych pieniędzy, tylko żeby było uczciwiej".

W świetlicy stoczniowej za stołem prezydialnym usiedli: Edward Gierek, Piotr Jaroszewicz, Franciszek Szlachcic, Wojciech Jaruzelski, Franciszek Kaim, Eugeniusz Ołubek, Kazimierz Barcikowski, Tadeusz Cenkier, Edmund Bałuka i Franciszek Wilanowski. Gdy weszli na salę, „nikt nie wstał, tacy byliśmy hardzi" – mówiła Chmielewska. Spotkanie trwało dziewięć godzin. Marian Juszczuk: „Staliśmy pod głośnikami i słuchaliśmy, kto ostrzej Gierkowi wyrąbie". Gierek nie zgadzał się na niektóre postulaty, czasami się wykłócał czy mówił podniesionym głosem. Kategorycznie odrzucił możliwość wycofania się z podwyżki i wyrażał żal, że doszło do strajku. Rozmowa była długa i nerwowa. Obserwowało ją ponad 300 osób, wyselekcjonowani przez robotników delegaci zabierali głos, a na sali byli również przedstawiciele lokalnych władz i mediów.

Stanisław Wądołowski: „Byliśmy przez dziewięć godzin w tej świetlicy z nim i autentycznie uwierzyłem, że Gierek coś zrobi dla narodu, że zechce, jak Boga kocham". Serafin: „Wierzyłem jak jasna cholera. Ile ja potem kłótni miałem z żoną, jak tylko czegoś nam brakowało, żona mówiła: »Idź, niech ci Gierek da«".

Najlepiej tę wiarę w Gierka podsumowywały słowa Jarosława Mroczka: „Tej nocy stałem pod stocznią. Kiedy Gierek dostał ten chleb, płakałem jak bóbr. W moim prostym rozumieniu nastąpiło coś, czego z opowieści rodziców dotąd nie znałem, jakieś porozumienie między tymi, którzy są na dole, a tymi, którzy mają kierować naszym przyszłym życiem".

Szlachcic podsumowywał: „Wychodziliśmy ze stoczni zmęczeni, ale zadowoleni.

**Władze zrobiły wszystko, aby zmarginalizować znaczenie debaty z 24 stycznia 1971 r. i brutalnie wybić jej uczestnikom z głów wszelkie reformy systemu**

Do bramy odprowadzała nas grupa delegatów. Rano wszystkie zakłady Szczecina pracowały normalnie. Był to pierwszy wielki sukces Gierka, Jaroszewicza i zwolenników nowego".

Debata z udziałem I sekretarza KC PZPR w Gdańsku była organizowana ad hoc, tak że delegaci ze stoczni typowani do udziału w spotkaniu, wsiadając do podstawionych autokarów, byli przekonani, że udają się do Warszawy. TW „Bolek" (Lech Wałęsa) opowiadał swojemu oficerowi prowadzącemu, że po przyjściu do pracy kierownictwo wydziału poinformowało załogę o zebraniu, na którym miano wybrać delegatów na wyjazd do Warszawy na spotkanie z Edwardem Gierkiem. Z wydziału W-4 Wałęsy wybrano Henryka Lenarciaka, Alfonsa Suszka i jego. O godz. 10 mieli oni udać się pod hotel Orbis, skąd autokarami mieli wyjechać do Warszawy. Niektórzy zabrali ze sobą walizki i inne bagaże. Delegaci ruszyli, ale autokary zamiast jechać do Warszawy, zatrzymały się pod gmachem Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej i pasażerów poinformowano, że Gierek przyjechał do Gdańska i zebranie z nim odbędzie się w tym miejscu.

W spotkaniu brał udział przewodniczący PWRN w Gdańsku Tadeusz Bejm, nie było zaś Wojciecha Jaruzelskiego, który pojechał do sztabu Marynarki Wojennej. Głos zabrało 23 mówców ze strony stoczniowców, zaś ze strony partyjnej premier Piotr Jaroszewicz, minister spraw wewnętrznych Franciszek Szlachcic (ten miał nawet wzruszyć się i zasłabnąć, gdy mówił o Grudniu '70, gdyż jak sam pisał, był „niewyspany, zmęczony i rozgoryczony"; na marginesie dodajmy, że był jedynym przedstawicielem resortów siłowych na sali) i oczywiście Edward Gierek. Według TW „Bolek" „cała atmosfera spotkania była bardzo bezpośrednia i przyjemna, wszyscy delegaci bez szemrania zostali przekonani do tego, co mówili tow. Gierek i Jaroszewicz, i wszyscy są gotowi pomóc rządowi i partii w tej trudnej sytuacji. Delegatom najbardziej podobała się szczera i bezpośrednia skromność zachowania się tow. Gierka".

## POMOŻECIE? POMOŻEMY!

W czasie spotkania padły słynne słowa dotyczące pomocy, na które rzekomo cała sala chóralnie miała odpowiedzieć: „Pomożemy!", czemu propaganda PRL nadała wręcz mistyczny charakter. Anna Walentynowicz, obecna na tym spotkaniu, wspominała: „Przecież rozmawiał z nami robotnik, mówił prosto i chyba szczerze, rozumiał nas. Kiedy pytał »Pomożecie?«, odpowiedzieliśmy: »Pomożemy!"«. I ja też chciałam pomóc. I mój głos brzmiał w tym zgodnym chórze". W rzeczywistości były to tylko umiarkowane oklaski poparcia.

Efektem rozmowy w Stoczni Szczecińskiej było zakończenie strajku w tym mieście oraz powołanie Komisji Robotniczej, pierwszego demokratycznie wybranego przedstawicielstwa robotników w PRL. Jej żywot był jednak bardzo krótki, gdyż władze zrobiły wszystko, aby zmarginalizować znaczenie debaty z 24 stycznia 1971 r. i brutalnie wybić jej uczestnikom z głów wszelkie reformy systemu. Służba Bezpieczeństwa przystąpiła do bezpardonowych szykan członków komitetu strajkowego w Szczecinie. Z członków Komitetu Strajkowego Edmund Bałuka został zmuszony do emigracji, Adam Ulfik i Bogdan Gołaszewski zginęli w niewyjaśnionych okolicznościach. Reszta była nękana i zastraszana. Na tyle skutecznie, że niezwykle trudno było po 1976 r. stworzyć na Pomorzu Zachodnim struktury opozycji przedsierpniowej. A podwyżkę cen odwołano dopiero po strajkach z lutego 1971 r.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest pracownikiem OBBH IPN w Szczecinie.



eprasa.pl d9f679a473

PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

# Nawrócony komunista

Bierut, Berman, Cyrankiewicz, Gomułka, Gierek, Jaruzelski. To pierwszy garnitur polskich działaczy komunistycznych. To ci ludzie rozdawali karty w PRL. A co za tym idzie, to ich losy wzbudzają największe zainteresowanie opinii publicznej. O nich na ogół historycy piszą swoje książki i artykuły.

Tymczasem za plecami tych czołowych komunistów stały tysiące aparatczyków drugiego i trzeciego garnituru. Ich losy były często nie mniej pasjonujące. Bez ich poznania trudno zrozumieć historię sowietyzacji Polski i PRL. Dowodem na to jest biografia Leonarda Borkowicza pióra Katarzyny Rembackiej.

Kim był Borkowicz? Przedwojennym komunistą pochodzenia żydowskiego. Pensjonariuszem licznych polskich aresztów i Berezy Kartuskiej. Wojnę spędził w Związku Sowieckim. Służył w Armii Czerwonej i LWP. Potem „umacniał władzę ludową". Szczytem jego kariery było stanowisko pierwszego komunistycznego wojewody szczecińskiego.

Wydawałoby się, że w tym życiorysie wszystko było proste i konsekwentne. Nic bardziej mylnego. Otóż Borkowicz na stare lata przejrzał na oczy i stał się zdeklarowanym antykomunistą. Ostro potępiał zło systemu, który wcześniej sam budował.

Lepiej późno niż wcale! Choć – gwoli sprawiedliwości – należy wspomnieć, że na ów antykomunistyczny zwrot Borkowicza spory wpływ miało to, że towarzysze partyjni odstawili go na boczny tor. Popadł w niełaskę systemu.

„Spotkałem Borkiewicza – pisał w 1974 r. w swoim dzienniku Stefan Kisielewski. – Ależ psioczył na wszystko – wręcz niesamowicie. Pytał mnie, jak do tego wszystkiego doszło, że oni przecież chcieli całkiem inaczej i tak dalej. A wymyślał tak, że aż dla mnie było to przesadne. Swoją drogą zadziwiający to ludzie – przejrzeli poniewczasie, kiedy im dano mocno w dupę. Nie bardzo lubię z nimi gadać, jest w tym coś żenującego".

O tej książce Katarzyny Rembackiej było głośno, jeszcze zanim została wydana. Doktorat – na podstawie którego powstała – otrzymał wiele prestiżowych nagród i wyróżnień.

Po przeczytaniu „Komunisty na peryferiach władzy" muszę przyznać, że superlatywy, które słyszałem o tej książce, nie były przesadzone. Biografistyka jest piętą achillesową polskiej historiografii, dzieło Katarzyny Rembackiej cieszy więc podwójnie. ©℗

★★★★★★

**KATARZYNA REMBACKA**
„KOMUNISTA NA PERYFERIACH WŁADZY. HISTORIA LEONARDA BORKOWICZA 1912–1989"
**IPN 2020**

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

# Pierwsza stolica polskiego Sejmu

O karierze Piotrkowa Trybunalskiego zadecydowało jego położenie. Miasto leżało niemal na granicy pomiędzy Wielkopolską a Małopolską, to zaś były najważniejsze dzielnice Królestwa Polskiego epoki Jagiellonów. Z tego powodu organizowano tutaj zjazdy rycerstwa i w 1468 r. odbyły się tu obrady pierwszego Sejmu z udziałem posłów wybranych na sejmikach ziemskich. W ten sposób rozwiązano poważny problem, gdyż na dotychczas zwoływanych zjazdach najwięcej pojawiało się okolicznej szlachty. Natomiast system przedstawicielski praktycznie zapewniał głos (przynajmniej w teorii) każdemu herbowemu w kraju.

Dlatego pojawiły się sejmiki ziemskie będące spotkaniami rycerstwa z terenu województwa lub ziemi. Wybierano na nich przedstawicieli na sejm ogólnokrajowy, który nazywano walnym. Było to najlepsze rozwiązanie, gdyż posłowie musieli trzymać się zaleceń swoich wyborców, czyli tzw. instrukcji.

Władzę skupiali jednak w swoich rękach najwyżsi dostojnicy wraz z królem, natomiast szlachta chciała mieć decydujący wpływ na losy państwa. Ostatecznie doszło do kompromisu i gdy rada królewska przekształciła się w Senat, miał on debatować oddzielnie. Po raz pierwszy taki Sejm rozpoczął obrady 18 stycznia 1493 r. w Piotrkowie.

Podobno zresztą było w tym przypadku, gdyż rada królewska zamknęła przed posłami drzwi do sali, gdzie miało się odbyć posiedzenie. Ci jednak nie zamierzali zrezygnować i znaleźli inne pomieszczenie, po czym wybrali marszałka. W ten sposób powstała Izba Poselska i tak już pozostało. Jagiellonowie zaakceptowali ten stan rzeczy, a nawet rozbudowali miejscowy zamek, który stał się ich siedzibą podczas obrad sejmowych.

Unia lubelska i powstanie wspólnego Sejmu dla Korony i Litwy spowodowały, że rolę stolicy polskiego parlamentaryzmu przejęła Warszawa, gdzie niebawem przeniesiono też z Krakowa królewską rezydencję. Zamek w Piotrkowie spadł do roli zaniedbywanej siedziby miejscowych starostów, a do tego został jeszcze zrujnowany przez Szwedów podczas potopu. Natomiast pod koniec XVI w. w miejscowym ratuszu zlokalizowano siedzibę Trybunału Koronnego dla Wielkopolski. Był to najważniejszy sąd apelacyjny dla tej dzielnicy i właśnie z jego powodu do nazwy miasta przylgnęło określenie „trybunalski". Pozostało tak do dziś i nie miało znaczenia, że Trybunał Koronny przestał istnieć razem z Rzeczpospolitą Obojga Narodów, a budynek ratusza rozebrano w XIX w. ©℗



eprasa.pl d9f679a473

Jacek Przybylski

# Dokąd zmierza Ameryka?

**Joseph Robinette Biden Jr. został zaprzysiężony na 46. prezydenta Stanów Zjednoczonych. Pierwszy raz większość Amerykanów z pesymizmem patrzy w przyszłość. A aż 90 proc. wyborców o konserwatywnych poglądach jest przekonanych, że USA zmierzają w złym kierunku**

Prezydent Joe Biden już pierwszego dnia urzędowania podpisał dekrety, w których odwraca niektóre decyzje Donalda Trumpa FOT. POOL/GETTY IMAGES

To była jedna z najsmutniejszych inauguracji w historii Ameryki. Tradycyjnie na uroczystość zaprzysiężenia nowego prezydenta przyjeżdżają tysiące zwykłych mieszkańców Ameryki z jej najdalszych zakątków. W tym roku Komitet Inauguracyjny Joe Bidena zaapelował jednak do Amerykanów, aby darowali sobie podróż do stolicy USA. Przez co bardziej niż święto demokracji przypominała ona stypę w oblężonej twierdzy. Zamiast wiwatujących tłumów kamery pokazywały bowiem Waszyngton zamieniony w bazę wojskową, a także 200 tys. umieszczonych przed Kapitolem flag symbolizujących tych, którzy nie mogli osobiście obserwować zaprzysiężenia Joe Bidena.

W smutnym stanie jest też Ameryka. Według sondażu NBC News aż 73 proc. ankietowanych Amerykanów uważa, że ich kraj zmierza w złym kierunku (w obozie konserwatystów ten wynik wynosi aż 90 proc.), a część pytanych mówi nawet wprost, iż obawia się wybuchu „wojny domowej". Trudno się dziwić pesymistom. Kraj wykończony przez koronawirusa (z powodu COVID-19 zmarło co najmniej 170 tys. Amerykanów) jest coraz bardziej podzielony na dwa zupełnie wrogie sobie obozy, których zwolennicy patrzą na świat w systemie binarnym.

Amerykańska lewica winę za taki stan rzeczy próbuje zrzucić na Trumpa i jego zwolenników, choć przecież w znaczący sposób do tych podziałów przyczyniły się również retoryka oraz konkretne działania Partii Demokratycznej (choćby przegłosowanie w styczniu 2021 r. rozpoczęcia procedury impeachmentu wobec odchodzącego prezydenta, przez co jest on jedynym w dziejach USA, wobec którego dwukrotnie wszczynano tę procedurę). Nic więc dziwnego, że w najnowszym sondażu Gallupa cztery lata rządów odchodzącego prezydenta pozytywnie oceniło aż 88 proc. wyborców konserwatywnych i zaledwie 7 proc. zwolenników demokratów. To rekordowa różnica. Gdy odchodził Obama, przepaść w ocenie między dwoma obozami wynosiła 70 punktów procentowych, a w przypadku George'a W. Busha – „tylko" 61 proc.

## CO DALEJ Z TRUMPEM?

Biden obiecuje zasypanie partyjnych podziałów. – Bez jedności nie będzie narodu, lecz jedynie kraj pogrążony w chaosie – mówił podczas zaprzysiężenia. Jest jednak mało prawdopodobne, by mu się to udało. A patrząc na to, jak bardzo w ciągu ostatnich kilku lat zradykalizowała się sama Partia Demokratyczna, mało realne wydaje się nawet to, że nowy prezydent będzie rzeczywiście próbował podejmować konkretne próby zjednoczenia liberałów z konserwatystami. Zresztą, choć podczas inauguracyjnego przemówienia Biden najczęściej wypowiadał słowo „jedność", to już pierwszego dnia urzędowania w Białym Domu podpisał 17 dekretów prezydenckich, w tym część



eprasa.pl d9f679a473

odwracających decyzje Donalda Trumpa, np. o wycofaniu USA z paryskiego porozumienia klimatycznego.

Sam Trump zapewne nie pozostanie mu dłużny, co pokazał już w dniu zaprzysiężenia. Chociaż wśród tysiąca zaproszonych gości, w tym członków Kongresu, przedstawicieli administracji, zagranicznych dyplomatów, znaleźli się też byli prezydenci: George W. Bush, Bill Clinton i Barack Obama, to wielkim nieobecnym był Donald Trump. Szkoda, bo zazwyczaj odchodzący przywódcy są obecni na zaprzysiężeniu swoich następców, co podkreśla wagę długoletniej amerykańskiej tradycji pokojowego przekazywania władzy. Brak Trumpa w Waszyngtonie może być wykorzystywany przez jego politycznych przeciwników, którzy próbują zakryć bezprawnym atakiem zwolenników Trumpa na Kapitol cały dorobek jego prezydentury.

Tymczasem 45. prezydentowi udało się zrealizować bardzo wiele obietnic. Nie tylko wobec Polaków, którym wreszcie zniósł wizy (to też zasługa mianowanej przez niego ambasador Mosbacher), mimo że wcześniej bezskutecznie realizację tego postulatu obiecywali Barack Obama oraz George W. Bush. Trump był odważnym realistą, który dostrzegł zagrożenia i skutecznie zaczął walczyć o globalne interesy USA, np. próbował spowolnić działania Chin zmierzające do zrzucenia Ameryki z pierwszego miejsca w światowej gospodarce i polityce.

Trump odważnie stawiał też opór obyczajowej rewolucji. Był pierwszym urzędującym prezydentem USA, który wziął udział w antyaborcyjnym Marszu dla Życia w Waszyngtonie. Ogłosił też 22 stycznia Narodowym Dniem Świętości Ludzkiego Życia. Dobrze się stało, że Trump dochował wierności innemu zwyczajowi i podobnie jak każdy amerykański prezydent, poczynając od Ronalda Reagana, zostawił w Białym Domu list adresowany do swego następcy. Jego treść pozostaje poufna, ponieważ listy te mają charakter prywatny.

Niestety, ryzykowne wystąpienia Donalda Trumpa, który w dniu wyborów ogłosił swą wygraną, następnie obwieścił oszustwa wyborcze (których jednak nie potrafił udowodnić w sądach), a 6 stycznia pośrednio nie powstrzymał swych zwolenników przed marszem na Kapitol, mogą również posłużyć jego przeciwnikom do tego, by uniemożliwić mu start w kolejnych wyborach prezydenckich. Niestety, retoryka Trumpa o „ukradzionych wyborach" była krzywdząca nie tylko dla niego samego, lecz także dla całej Partii Republikańskiej. I to krzywdząca na tyle, że w przeprowadzonym na zlecenie konserwatywnego portalu „The Hill" badaniu opinii aż 57 proc. wyborców opowiedziało się za zakazaniem Trumpowi startu w wyborach w roku 2024. Czy to realne? Teoretycznie tak, ponieważ 45. prezydent USA został drugi raz postawiony w stan oskarżenia. Senat może więc zakazać mu powtórnego kandydowania. Chcą tego liderzy Partii Demokratycznej, za tym mogą się też opowiedzieć partyjne elity Partii Republikańskiej, gdyż dzięki temu jednym strzałem zlikwidują potencjalnie bardzo groźnego rywala.

Opozycja wobec Donalda Trumpa wśród samych republikanów w ostatnich tygodniach mocno rośnie w siłę. Przeciw byłemu prezydentowi wypowiada się zarówno lider republikańskiej większości w Senacie, Mitch McConnell, jak i senator Lindsey Graham, który już kilka lat temu ostrzegał, że „nominacja dla Trumpa będzie piekłem i samobójstwem Partii Republikańskiej". Od Partii Republikańskiej odwrócili się nie tylko umiarkowani wyborcy (przez retorykę Trumpa ugrupowanie to straciło Georgię, a co za tym idzie – kontrolę nad Senatem), lecz także hojni biznesowi donatorzy, którzy po styczniowym szturmie na Kapitol zaczęli przykręcać kurek z pieniędzmi dla republikanów. Kłopot przywódców Grand Old Party polega na tym, że Donald Trump – który w GOP od początku był przecież nielubianym przez elity outsiderem – wciąż cieszy się poparciem ponad 70 mln Amerykanów. Wbrew propagandzie demokratów niewielu spośród tych 70 mln to ultraprawicowi bojówkarze, większość to po prostu porządni Amerykanie, którym podobało się hasło „America First".

Jeśli jednak były prezydent utworzy własne ugrupowanie, to nie tylko nie odegra znaczącej roli politycznej (tzw. trzecia partia ma w USA małe szanse na wygraną), lecz także zmniejszy poparcie dla Partii Republikańskiej. Najlepszym rozwiązaniem dla konserwatystów byłaby więc odbudowa starej, potężnej Grand Old Party. Z tą odbudową amerykańska prawica musi się jednak spieszyć.

Lewicowi aktywiści wiedzą, że ich wrogowie są teraz w fatalnym stanie. Chcą więc pójść dalej i ograniczyć konserwatystom np. wolność wyrażania poglądów. Władze Harvardu już rok temu zakazały członkom administracji wypowiadania się na uniwersyteckim kampusie, a w styczniu 2021 r. grupa studentów tej znanej uczelni domaga się cofnięcia stopni naukowych tym absolwentom, którzy popierali Trumpa (chodzi m.in. o byłą sekretarz prasową Białego Domu Kayleigh McEnany czy senatora Teda Cruza).

## PANDEMIA, GŁUPCZE!

Pierwsze decyzje nowego prezydenta to przywrócenie członkostwa USA w Światowej Organizacji Zdrowia (WHO) oraz powrót do klimatycznego porozumienia paryskiego, co ucieszyło m.in. prezydenta Francji i ekologów. A jak zmieni się stosunek Białego Domu do Polski? Z pewnością Bidenowi, chcącemu szybko naprawić relacje z Berlinem i Paryżem, Warszawa i wiwatujące w niej tłumy na cześć amerykańskiego prezydenta nie będą już tak politycznie potrzebne jak Trumpowi, który potrzebował proamerykańskiej Polski, by równoważyć napięcia z Niemcami czy Francją.

Nowa administracja w Waszyngtonie może również pogrozić Warszawie palcem w obronie tęczowych aktywistów. Dla Ameryki najważniejsze są jednak interesy, a te amerykańskie firmy robią w Polsce coraz lepsze. Nie zmieni się też zapewne wiernopoddańczy stosunek Warszawy do Waszyngtonu.

Zanim Joe Biden zacznie jednak poświęcać czas na politykę zagraniczną, tak jak każdy amerykański przywódca w pierwszych miesiącach swej prezydentury będzie musiał się skupić na sprawach wewnętrznych, a więc na walce z COVID-19 oraz znalezieniu sposobu na ratowanie gospodarki. Nie bez powodu wśród pierwszych dekretów podpisanych przez amerykańskiego prezydenta były dokumenty dotyczące obowiązku noszenia maseczek i zachowywania dystansu. Biden już ogłosił także przeznaczenie 1,9 bln dol. na pakiet stymulacyjny. Z pewnością będzie też chciał zwiększyć inwestycje w infrastrukturę, a także w produkcję czystej energii. 46. prezydent USA obejmuje jednak rządy w trudnej sytuacji gospodarczej, którą niełatwo będzie mu poprawić. Jeśli więc republikanie szybko rozwiążą swoje wewnętrzne problemy, to już za dwa lata mają szansę odbić jedną z izb Kongresu. Jeśli tego nie zrobią, wówczas Partia Demokratyczna może szykować się na wiele lat rządów.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



eprasa.pl d9f679a473

Piotr Semka

**Wiele faktów wskazuje na to, że w Stanach Zjednoczonych wzbiera fala, w której to lewica będzie wymuszać dymisje i zwijanie karier w przypadku najmniejszego podejrzenia o krytycyzm wobec nowej ekipy demokratów**

# Doktryna wyjątkowości

To coś niebywałego”, „Ameryka nie przeżyła dotąd większej hańby”, „Data graniczna w dziejach demokracji w USA”. Takie określenia po ataku demonstrantów na Kapitol 6 stycznia słychać już od dłuższego czasu.

Ostatnie wydarzenia w Stanach Zjednoczonych są dobrym przykładem zastosowania czegoś, co można nazwać „doktryną wyjątkowości” w walce z politycznym rywalem. Najście demonstrantów na Kapitol zostało zaprezentowane opinii publicznej przez zwycięską Partię Demokratów i większość mediów jako coś bez precedensu. Wydarzenie, które unieważniło moralnie i politycznie zwyciężonego Donalda Trumpa i usunęło w niebyt wszelkie prawo do dyskutowania o tym, czy wybory przebiegły prawidłowo.

Przypatrzmy się dokładnie, w jaki sposób „doktrynę wyjątkowości” wykorzystano w amerykańskim konflikcie. Nie można mieć złudzeń, że podobne techniki mogą być zastosowane także w przyszłości w Polsce.

## CO SIĘ STAŁO?

Zacznijmy od podstawowego pytania. Czy wtargnięcie około 200 demonstrantów do wnętrza Kapitolu było istotnie czymś niebywałym w historii USA? Owszem, prawdą jest, że tak liczna grupa nie dostała się nigdy bezpośrednio na salę obrad Senatu ani nie miała dostępu do biur przewodniczących Senatu i komisji senackich. W tym sensie był to pierwszy przypadek w historii Stanów Zjednoczonych. Dramatyzm tego wydarzenia wzmocniło też to, że w zajściach tych zginęło pięć osób, z czego jedną był policjant, który zmarł od ran odniesionych wskutek pobicia przez demonstrantów. Zginęła też demonstrantka postrzelona przez agenta ochrony. Pozostałe trzy przypadki śmierci to zgon po stratowaniu, atak serca czy wreszcie dość niejasny przypadek samobójstwa funkcjonariusza policji ochrony Kapitolu. Jednocześnie zachowanie demonstrantów na Kapitolu przypominało raczej wybryki oryginałów zaskoczonych łatwością wtargnięcia do siedziby parlamentu niż atak wyszkolonych insurekcjonistów.

Jednak sam fakt zajmowania zgromadzeń parlamentarnych w USA miał swoje precedensy. W 1967 r. radykalna organizacja murzyńska Czarne Pantery z bronią w ręku zajęła stanowy Kapitol w Sacramento w stanie Kalifornia. W 2011 r. lewicowi demonstranci zajęli i okupowali sale kongresu stanu Wisconsin. W październiku 2018 r. demonstranci wspierający demokratów i protestujący przeciwko nominacji przez Trumpa do Sądu Najwyższego sędziego Bretta Kavanaugha wtargnęli do atrium jednego z pomieszczeń Senatu. Jeśli zaś chodzi o skalę i ostrość zamieszek, to w historii USA także można znaleźć precedensy. W kwietniu 1968 r. doszło do tzw. Holy Week Riots, zamieszek, które wybuchły po zabójstwie Martina Luthera Kinga. Odbyły się one w wielu miejscach w Stanach Zjednoczonych, łącznie zginęło 43 osób, odnotowano 3,5 tys. rannych, a 27 tys. osób aresztowano. W samym Waszyngtonie Kapitol był szturmowany na początku maja 1971 r. przez demonstrantów występujących przeciwko wojnie w Wietnamie. Policja zatrzymała tłum i łącznie w zajściach aresztowano ponad 12 tys. osób, co było ówczesnym rekordem zatrzymań w jednym miejscu. Wreszcie, sięgając do roku 2020, trzeba przypomnieć, że w zajściach, które wybuchły po śmierci czarnoskórego George’a Floyda, w skali całej Ameryki zginęło według różnych obliczeń ok. 15 osób. Z czego część ofiar stanowili ludzie, którzy ponieśli śmierć, broniąc swoich sklepów przed grabieżą.



eprasa.pl d9f679a473

FOT. ZUPR/BACKGRID/EAST NEWS

Kolejny zarzut odnoszący się do wystąpienia Trumpa dotyczy jego słów: „Walczcie jak diabli” skierowanych do demonstrantów protestujących przeciw nieprawidłowościom wyborczym, które demokraci uznają za wezwanie do użycia przemocy i ataku na Kapitol.

W 2020 r. w czasie demonstracji po śmierci George’a Floyda z ust polityków Partii Demokratycznej, na czele z obecną wiceprezydent Kamalą Harris, padały wypowiedzi, które można było uznać za usprawiedliwianie przemocy w czasie demonstracji po śmierci Floyda. Bezprecedensowość szturmu na Kapitol została zatem rozdęta do niebywałego rozmiaru. Pisałem już dwa tygodnie temu na łamach „Do Rzeczy”, że Donald Trump zapłacił słoną polityczną cenę za brak wyobraźni i nieprzyjęcie do wiadomości, że w trakcie demonstracji jego zwolenników, w tym licznych ekstremistów, może dojść do czynów, które wzbudzą powszechne potępienie. Jednocześnie nagminne używanie przez demokratów określenia „insurekcja” do nazwania tego, co zdarzyło się na Kapitolu, jest wyraźną przesadą. Owszem, Trump użył słów: „Walczcie jak diabli”, ale ani nie wzywał do zajęcia budynku Kongresu, ani nie zachęcał do używania przemocy. A gdy już zajścia nastąpiły, szybko potępił jakiekolwiek ataki na gmachy publiczne i stosowanie przemocy.

## WYKORZYSTYWANIE SZOKU

Najgłośniejszymi pierwszymi reakcjami na incydent na Kapitolu była decyzja Twittera, Facebooka i innych czołowych mediów społecznościowych o zawieszeniu kont Donalda Trumpa. Potem pojawiła się nowa tendencja w działaniu szefów mediów społecznościowych – kasowanie dostępu do kont tym republikanom, którzy w czasie posiedzenia Izby Reprezentantów potwierdzali swój krytyczny stosunek do sposobu przeprowadzenia wyborów. Niebawem Facebook ogłosił, że jego algorytmy będą usuwać wszelkie wpisy, w których użyte zostanie określenie „skradzione wybory”.

Powtórzyła się więc praktyka, którą zastosowały największe stacje telewizyjne już na początku listopada zeszłego roku, kiedy a priori uznano, że wszelkie wzmianki Trumpa o nieprawidłowościach wyborczych są nieprawdziwe i pozbawione podstaw. Działo się tak, mimo że w wielu procesach sądowych przedstawiciele sztabu Trumpa przedstawiali dowody na nieprawidłowości. Wbrew temu, co bardzo często piszą nasze media, rzecz nie polegała na tym, że przedstawiciele przegranego prezydenta nie mieli żadnych dowodów, ale na tym, że sądy po dość szybkim zapoznaniu się z tymi zarzutami stwierdzały, iż albo nie miały one wpływu na ostateczny wynik wyborów, albo po prostu odmawiały zajęcia się sprawą.

Jak wskazują sondaże, kwestia ta była i jest istotna dla przynajmniej połowy wyborców republikańskich. W amerykańskiej tradycji troska o wyjaśnianie wątpliwości wyborczych zawsze traktowana była bardzo serio. Wynikało to z faktu, że politycy amerykańscy rozumieli, iż przekonanie nawet części wyborców, że wybory były nieprawidłowe, zabija zaufanie do demokracji jako takiej. I w konsekwencji rozbija istnienie wspólnoty politycznej. Tym razem było inaczej. W Ameryce między listopadem 2020 a styczniem 2021 r. argument ten absolutnie przestał być honorowany przez większość mediów i polityków Partii Demokratycznej. Co więcej, forsowano wątpliwą z punktu widzenia historii doktrynę, że ktoś, kto mówi o kradzionych wyborach, staje się wrogiem demokracji. Coraz częściej funkcjonujący w Ameryce ciąg przyczynowo-skutkowy: „Jeśli miałeś wątpliwości co do wyborów, to moralnie współodpowiadasz za najście na Kapitol, a tym samym znajdujesz się poza amerykańską wspólnotą wartości”.

Warto zwrócić uwagę, że zupełnie inaczej traktowano demonstracje po zabójstwie George’a Floyda. Wtedy bardzo wielu komentatorów tworzyło inny ciąg logiczno-skutkowy: „Jeśli masz podejrzenie, że policja przyczyniła się do śmierci George’a Floyda wskutek koloru jego skóry, to samo to podejrzenie sankcjonuje pozytywnie demonstracje związane z tym wydarzeniem i jest ważniejsze od przypadków plądrowania i atakowania policji


eprasa.pl d9f679a473

w zamieszkach, które wyłaniały się z tych demonstracji”. Na zasadzie analogii część wyborców republikańskich uważa, że skoro nie wyjaśniono w procesie sądowym wątpliwości co do prawidłowości wyborów, to demonstracja pod Kapitolem była uzasadniona, a blisko 200-osobowa grupa, która zaatakowała Kapitol, jest godna potępienia, ale nie jest reprezentatywna dla ok. 20 tys. demonstrantów, którzy stali dookoła budynku Kongresu, ale nie wdarli się do środka.

## SYGNAŁ DO CZYSTEK

Incydent na Kapitolu stał się pretekstem do całej akcji rugowania czy to przedstawicieli prawej części mediów, czy wyborców Partii Republikańskiej. Opinia publiczna w Polsce poznała bezpośrednią akcję paraliżowania działalności portalu społecznościowego Parler, czyli czegoś w rodzaju prawicowego Twittera, który został odcięty od usług i możliwości umieszczania swoich aplikacji przez Google, Apple i Amazona. Nawet dystansujący się od początku listopada wobec Trumpa kanał telewizyjny Fox News stał się obiektem wrogiej akcji CNN, która w wielu wypadkach groziła stacjom sieciowym, że jeżeli będą one tolerowały Fox Newsa, to CNN wycofa swój sygnał. Zrzeszenie Talk Radio Company zagroziło występującym w lokalnych stacjach prawicowym publicystom Benowi Shapiro i Danowi Bongino, że stracą swoje audycje, jeżeli będą się w nich odnosić np. do hasła nieprawidłowości wyborczych. Rada adwokacka Nowego Jorku wszczęła postępowanie w sprawie Rudy Giulianiego w celu odebrania mu prawa do wykonywania zawodu. Rada zarzuciła mu, że wziął udział w wiecu 6 stycznia w Waszyngtonie, który w ich opinii był powodem ataku na Kapitol.

Osobnym rozdziałem były demonstracje wrogości wobec samego prezydenta Trumpa. W Chicago demokraci zażądali zdjęcia dużego napisu „Trump” z wieżowca Trump Tower. W Nowym Jorku władze miejskie rządzone przez demokratów poinformowały o zerwaniu wszystkich umów z firmami Trumpa, które zajmowały się wieloma atrakcjami turystycznymi w tym mieście. Były też demonstracje, które nawiązywały do wyraźnego wprowadzania w życie zakazu wykonywania zawodu przez ludzi związanych z administracją Trumpa. Randall Lane, redaktor biznesowego magazynu „Forbes”, zapowiedział, że jeśli jakakolwiek firma zatrudni pracowników biura prasowego Białego Domu z epoki Trumpa, to „Forbes” z góry będzie uznawał, że wypowiedzi takiej osoby na nowym stanowisku są kłamstwem.

W akcje karania republikanów za Trumpa włączyły się też największe koncerny. O zawieszeniu dotacji dla fundacji Partii Republikańskiej zbierającej datki na kampanie wyborcze tej partii zawiadomiły: sieć kart płatniczych American Express, grupa bankowa CityGroup oraz renomowany bank inwestycyjny Goldman Sachs. Bardzo charakterystyczny był też wpis na Facebooku działacza polonijnego Andrzeja Jarmakowskiego, który oskarżył Polonię o to, że angażując się po stronie Trumpa – jak to określił ogólnikowo – „zapłaci wysoką cenę”. Jarmakowski wspomniał, że w polonijnych mediach pojawiały się także wypowiedzi wspierające Trumpa i wyrażające wątpliwości co do rzetelności wyborów. Jak pisał: „Wiem, iż powstaje raport dotyczący wsparcia przez polonijne media krajowych terrorystów i manipulacji informacją, jaka w tych mediach się dokonuje. Raport ten z pewnością dostaną również główni reklamodawcy tych mediów”.

Osobnym rozdziałem są głosy polityków demokratów domagające się rozpoczęcia badania przez władze wojskowe, którzy z oficerów i żołnierzy korzystają z sieci społecznościowej Parler i jako tacy mogą być zagrożeniem dla bezpieczeństwa państwowego. Już w tej chwili republikańscy twitterowicze opowiadają o zjawisku usuwania z sieci zdjęć, na których zwykli Amerykanie noszą czapki z napisem „Make America Great Again”, bojąc się, że może być to zauważone przez pracodawców i przyczynić się do zwolnienia. Komentator dziennika „The Washington Post” Eugene Robinson podczas audycji telewizyjnej oświadczył: „Miliony Amerykanów republikanów będą musiały zostać przeprogramowane. Są zwolennikami kultu trumpistycznego i muszą zostać przeprogramowani”.

Demokratom sprzyja to, że część polityków elit Partii Republikańskiej przyłącza się do tego typu pomysłów, mając czysto polityczny plan wyplenienia ze swojej partii wpływów przegranego prezydenta. Dla demokratów jest to bezcenna pomoc, gdyż pozwala ona sugerować, że walka z trumpizmem nie jest elementem dbania o interes demokratów, ale wyzwaniem dla całej „odpowiedzialnej” amerykańskiej klasy politycznej. Pierwszą oznaką groźby pojawienia się klimatu polowania na czarownice była podjęta przez FBI akcja sprawdzania, czy w liczbie 25 tys. członków Gwardii Narodowej, których wysłano do Waszyngtonu na inaugurację Joe Bidena, nie ma przypadkiem prawicowych ekstremistów. Jak alarmował jeden z konserwatywnych liderów opinii Jack Posobiec, gwardzistów sprawdzano pod kątem nie tylko ewentualnych koneksji z mogącymi budzić niepokój szowinistycznymi milicjami, lecz także kontaktów z instytucjami, które są po prostu konserwatywnymi, ideowymi stowarzyszeniami. Takimi jak Young America's Foundation (YAF), stowarzyszenie Turning Point USA czy całkowicie legalna National Life Association.

## W AMERYCE ROBI SIĘ DUSZNO

Amerykańscy konserwatyści obawiają się, że ekipa Bidena będzie co pewien czas epatować publicznie przypadkami prawdziwych przestępstw prawicowej ekstremy, ale stawiając znak równości między „białymi suprematystami” a zwolennikami Trumpa. Chodzić może o stworzenie mechanizmu myślowego, dzięki któremu łatwo będzie rzucić oskarżenie o antyamerykańskość i stworzyć klimat, na który uskarżali się amerykańscy lewicowcy w latach 50., w czasie działania komisji McCarty'ego. Wiele faktów wskazuje na to, że wzbiera fala, w której to lewica będzie wymuszać dymisje i zwijanie karier w przypadku najmniejszego podejrzenia o krytycyzm wobec nowej ekipy demokratów. Taka nowa bigoteria będzie o wiele łatwiejsza w sytuacji, kiedy większość mediów albo będzie takie wypadki bagatelizować, albo po prostu nie będzie o nich pisać. Jeśli na dodatek media społecznościowe zostaną trwale spacyfikowane, to informacje o takich represjach przejdą do niszowych prawicowych pism, a tam będzie można je już łatwo spostponować jako wyraz politycznego zacietrzewienia.

Oczywiście są w Ameryce także sądy. Można spodziewać się wysypu procesów, w których osoby usuwane z pracy albo stające wobec szykan ekonomicznych będą odwoływały się do litery prawa. Poszczególne werdykty sądowe pokażą nam, w jakim stopniu zagrożenie prawej strony przez takie utajnione represje będzie spotykać się ze sprzeciwem sędziów. Jeśli okaże się, że sędziowie podzielać będą płynącą z mediów perswazję i tworzenie prawicowego zagrożenia, to ofiary takich czystek nie będą miały już żadnego oparcia.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



eprasa.pl d9f679a473

FOT. ADOBE STOCK

## KONIEC Z MAMĄ I TATĄ

Włosi w awangardzie nowoczesności. Tamtejszy rząd ogłosił, że dzieci do lat 14 w swoich dokumentach tożsamości pozbędą się zaprzaństwa i niesłusznej tradycji określania ról w rodzinie. Odtąd nie będą tam widniały wpisy „ojciec" i „matka". Będą teraz słuszne, niesugerujące płci opisy „rodzic 1" i „rodzic 2". Oficjalnie jednak była to podobno decyzja podyktowana „koniecznością przestrzegania europejskich przepisów o ochronie danych osobowych".

## SŁOWACKIE OMIJANIE KOLEJEK

Słowacki parlament przegłosował ustawę ustanawiającą kary za przyjęcie szczepienia na koronawirusa poza oficjalną kolejką. Kara będzie wynosiła do 10 tys. euro i płacić będzie ją instytucja, która dopuściła się nieprawidłowości. Regulację wprowadzono po tym, jak wyszło na jaw, że celebryci byli szczepieni poza kolejnością. Szczepionkę dostali m.in. znana tenisistka Dominika Cibulková i jej partner.

## WIADOMO, KTO WINNY PANDEMII

Po raz pierwszy koronawirusa odnotowano w Chinach. I nie wiadomo, skąd się wziął. Istnieje domniemanie, że mutował ze zwierzęcej formy, by przenieść się na ludzi. Jednak w Peru widzą to inaczej. Na marginesie jednej ze spraw sąd prowincji Chincha i Pisco stwierdził, że „COVID-19 powstał z inspiracji elit przestępczych kontrolujących świat, paraliżując działalność niemal wszystkich państw świata". W piśmie z nazwiska wymieniono też winowajców m.in.: Billa Gatesa, George'a Sorosa i rodzinę Rockefellerów.

## UE POZWALA ZJADAĆ LARWY

Europejski Urząd do spraw Bezpieczeństwa Żywności (EFSA) uznał, że można jeść suszone larwy mączniaka. Do tej pory wykorzystywane były głównie jako suszony pokarm dla ptaków i ryb. Prawdopodobnie w połowie tego roku będzie można dostarczać taki „produkt" spożywczy ludziom (masowa hodowla jest w Chinach). A w kolejce do dopuszczenia czekają już m.in. świerszcze i szarańcze.

## ŻYŁ NA LOTNISKU, BO BAŁ SIĘ COVID-19

Niejaki Aditya Singh przez trzy miesiące mieszkał w „strefie zastrzeżonej" na lotnisku w Chicago. Udawało mu się to dzięki skradzionemu identyfikatorowi pracownika portu. 36-latek przyleciał do Chicago z Los Angeles, ale bał się lotu powrotnego – obawiał się, że podczas niego może zostać zarażony koronawirusem. Tak długie koczowanie na lotnisku udało mu się m.in. dzięki pozyskiwaniu jedzenia od innych pasażerów. Wpadł, gdy odkryto, że podszywa się pod pracownika lotniska. ©℗

***Łukasz Zboralski***

JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

# Chiny trzymają się mocno

Państwo Środka może w ciągu najbliższych lat stać się nie tylko największą gospodarką świata, lecz także liderem w dziedzinie najnowocześniejszych technologii. Chiny są jedynym krajem w gronie G7, który – biorąc pod uwagę cały pandemiczny 2020 r. – odnotował wzrost PKB (o 2,3 proc.). W samym czwartym kwartale wzrost wyniósł aż 6,5 proc. Brytyjski Centre for Economics and Business Research (CEBR) zweryfikował więc prognozy, mówiące, że Państwo Środka stanie się największą gospodarką świata w 2033 r. Teraz eksperci tego think tanku szacują, że Chiny prześcigną USA pod względem liczonego w dolarach PKB już w roku 2028.

Władze w Pekinie dbają o rozwój gospodarki nie tylko poprzez inwestycje w infrastrukturę i pobudzanie konsumpcji, lecz także rozpędzając eksport. Chiny nadal są największym eksporterem na świecie. Nawet w czasach pandemii – która miała według zapowiedzi części ekonomistów doprowadzić do przenoszenia fabryk z Azji z powrotem do Europy i USA – import z Chin do UE zamiast spaść, znowu wzrósł.

Pandemia przyspieszyła też rozwój kolejowych przewozów intermodalnych między Chinami a Europą. Chińczycy konsekwentnie promują bowiem pomysł stworzenia nowego jedwabnego szlaku, który sprawiłby, że w XXI w. wszystkie drogi prowadziłyby do… Pekinu. Pomysł znany też pod nazwą Inicjatywy Pasa i Szlaku da okazję do zarobku nie tylko chińskim fabrykom. To również szansa dla Europy Środkowej. Na Węgrzech w styczniu ruszyła budowa Bramy Wschód-Zachód, która ma być największym i najnowocześniejszym kolejowym terminalem intermodalnym w Europie. Na nowym jedwabnym szlaku mogą też zarobić Polacy. Potrzebne są jednak duże inwestycje i szybkie decyzje. ©℗



eprasa.pl d9f679a473

*Maciej Pieczyński*

**Ledwo przeżył próbę otrucia. Było oczywiste, że w Rosji, w najlepszym wypadku, trafi za kratki. A jednak Aleksiej Nawalny wrócił do kraju. Dlaczego?**

# Rosyjski Don Kichot

Putin nazwał go „nikomu niepotrzebnym pacjentem berlińskiej kliniki", który już by nie żył, gdyby za jego otruciem naprawdę stały rosyjskie służby. Kreml starannie unika wymawiania nazwiska opozycjonisty. Aleksiej Nawalny został zatrzymany tuż po wylądowaniu na moskiewskim lotnisku Szeremietiewo. Trafił na 30 dni do aresztu. Powodem zatrzymania był skierowany do sądu wniosek Federalnej Służby Więziennej o zamianę wyroku trzech i pół roku więzienia w zawieszeniu na karę bezwzględnego pozbawienia wolności. Wyrok zapadł w 2014 r. Sąd uznał wówczas Nawalnego oraz jego brata Olega winnymi defraudacji środków koncernu kosmetycznego Yves Rocher, dla którego firma Olega świadczyła usługi kurierskie. W trakcie procesu doszło do naruszenia procedur i praw oskarżonych, a przedstawiciele koncernu zeznali przed sądem, że nie ponieśli strat w wyniku współpracy z firmą Nawalnego, podważając tym samym zarzut prokuratury. Jednak Oleg poszedł do łagru, Aleksiej zaś dostał wyrok w zawieszeniu. „Odwiesić" można go było m.in. w przypadku niestawienia się skazanego na żądanie Federalnej Służby Więziennej. I tak się stało. Tyle że Nawalny dostał 28 grudnia wezwanie z żądaniem stawienia się na drugi dzień. W tym czasie przebywał na rekonwalescencji w Niemczech.

Na 29 stycznia zaplanowane jest posiedzenie sądu – wtedy rozstrzygnie się los Nawalnego. Najprawdopodobniej czeka go odsiadka.

Portal śledczy Bellingcat we współpracy z rosyjskim serwisem The Insider ujawnił tożsamość trzech ekspertów ds. broni chemicznej FSB, którzy podążali za Nawalnym w dniu, gdy ten ledwo uszedł z życiem po próbie otrucia „nowiczokiem". Opozycjonista sam zadzwonił do jednego ze swoich niedoszłych zabójców, podając się za współpracownika Nikołaja Patruszewa, sekretarza Rady Bezpieczeństwa Federacji Rosyjskiej. Agent FSB uwierzył i przyznał się do winy, opowiadając ze szczegółami o przygotowaniach do zamachu i odpowiadając na pytanie, dlaczego zamach się nie udał. Nagranie rozmowy Nawalny opublikował. Po tym wszystkim zdecydował jednak powrócić do Rosji. Doskonale zdając sobie sprawę z tego, że czeka go co najmniej więzienie. Dlaczego zaryzykował?

## PIERWSZY KROK W DŁUGIM MARSZU?

Przyjazd Nawalnego wielu komentatorom skojarzył się z przyjazdem Lenina do Piotrogrodu w 1917 r. W obu przypadkach opozycjonista przyjeżdża z Niemiec do Rosji, by walczyć o władzę. W ustach kremlowskiego propagandysty Dmitrija Kisieliowa to porównanie nabiera mocniejszej wymowy – oto „agent Zachodu" przybywa robić rewolucję…

Z taką interpretacją nie zgadza się Leonid Radzichowski, rosyjski publicysta, psycholog, komentator polityczny. – Lenin przyjechał, gdy już „mury runęły", carat upadł i wystarczyło sięgnąć po władzę na jego zgliszczach. Dzisiaj mur wciąż stoi, jakkolwiek by był zmurszały – mówi Radzichowski. – Poza tym Lenin miał jakiś program. Nawalny konsekwentnie mówi tylko o walce z korupcją. To banał, bo przecież każdy rząd na świecie obiecuje, że chce się z nią rozprawić. Jedyny program Nawalnego to jego własne nazwisko. Ma zapędy autorytarne. Dlatego też trudno mu się z kimkolwiek porozumieć. Nie ma też własnej silnej organizacji, dlatego nie stanie się drugim Wałęsą. Co najwyżej drugim Andriejem Sacharowem [dysydent w czasach sowieckich, wieloletni więzień polityczny – przyp. red.] albo drugim Aleksandrem Sołżenicynem, autorytetem mo-



eprasa.pl d9f679a473

Aleksiej Nawalny został zatrzymany tuż po wylądowaniu na moskiewskim lotnisku Szeremietiewo FOT. ALEXANDER NEMENOV/AFP/EAST NEWS

ralnym. Nie jest to jednak ten sam format intelektualny co dwaj nobliści – ocenia. Nie widzi szans dla Nawalnego w przyszłości. – Przywitać go na lotnisku przyszło około tysiąca osób, z czego pewnie połowa to dziennikarze. Bez wątpienia zatrzymany został bezprawnie. A jednak nie widać jakichś masowych akcji protestacyjnych w jego obronie – dodaje.

– Niewątpliwie zagrał va banque. Stawką są nie tylko jego wolność i bezpieczeństwo, lecz także życie – komentuje Jadwiga Rogoża, analityczka Ośrodka Studiów Wschodnich. Jej zdaniem Nawalny postawił na „polityczne jutro". – Nie ma złudzeń, że już dzisiaj opozycji uda się zmobilizować szersze masy w obronie więźnia politycznego. Nawalny zdaje się jednak liczyć, że widoczne już teraz niezadowolenie społeczne, szerzące się poczucie, że państwo gnije, że Kreml nie ma żadnej wizji, że reżim ewoluuje w stronę niesterowalnej, nieefektywnej dyktatury, sprawi, iż za kilka lat społeczeństwo wycofa swoje poparcie dla Putina. A wtedy on, po latach więzienia, wyjdzie na wolność i zdyskontuje te antyrządowe nastroje. O ile to więzienie przeżyje.

– Nawalny nie jest samobójcą. Zapewne uznał, że w rosyjskim więzieniu będzie bardziej bezpieczny niż na emigracji. Gdyby tutaj coś mu się stało, Putinowi ciężko byłoby się z tego wytłumaczyć. Chociaż oczywiście wielu potężnych polityków czy oligarchów z otoczenia Kremla chciałoby go uciszyć na zawsze. Nawet nie tyle w zemście za jego walkę z korupcją. Mogą w ten sposób chcieć, w ramach walki na szczytach władzy, skompromitować Putina, na którego spadłaby cała odpowiedzialność – ocenia z kolei Grzegorz Kuczyński, ekspert ds. wschodnich, autor książki „Jak zabijają Rosjanie". Jego zdaniem możliwe jest nawet, że opozycjonista zdobędzie kiedyś w tej czy innej formie władzę. – W ciągu kilku lat odsiadki Nawalnego na Kremlu może dojść do przewrotu pałacowego. A wtedy męczennik antyputinowskiej opozycji byłby bardzo cenny dla nowej władzy. Mógłby objąć jakieś eksponowane stanowisko. To już na starcie ułatwiłoby nowym przywódcom Rosji porozumienie z Zachodem – uważa Kuczyński.

Odwagi Nawalnego nie kwestionują nawet jego polityczni przeciwnicy. Tę cechę na pierwszym miejscu wśród zalet opozycjonisty wymienia Siergiej Markow, były doradca Putina, politolog i działacz partii Jedna Rosja. – Nawalny jest bardzo ambitnym politykiem. Stęsknił się za berłem i koroną lidera antyputinowskiej, prozachodniej opozycji, dlatego zaryzykował powrót – mówi „Do Rzeczy" Markow. – Jest też bardzo współczesnym politykiem, zręcznie wykorzystującym media społecznościowe. Udaje mu się przekonać do siebie postindustrialną klasę średnią wielkich miast. Grupa jego zwolenników jest niewielka, ale bardzo zdyscyplinowana, oddana swojemu wodzowi. Ma świetne poczucie humoru – wylicza. Zdaniem Markowa Rosjanie nie wierzą jednak, że uda się kiedykolwiek zwalczyć korupcję, dlatego najważniejsze hasło Nawalnego nie przekona większości.

Były doradca Putina twierdzi też, że Nawalny nie miałby szans w wolnych wyborach, ponieważ „uważany jest za zdrajcę, który współpracuje z CIA przeciwko własnej ojczyźnie". Opinia taka więcej ma jednak wspólnego z przekazem kremlowskiej propagandy niż z rzeczywistością. A łatka „agenta Waszyngtonu" jest w oczach antyzachodniego rosyjskiego społeczeństwa wyjątkowo kłopotliwa.

## BLOGER, KTÓRY SIĘ STAWIA

Nawalny swoją karierę publiczną zaczął od hasła walki z korupcją. Realizowanego zresztą w praktyce – jako bloger przeprowadził wiele dziennikarskich śledztw, obnażających patologie na szczytach władzy. Jego poglądy polityczne zmieniały się na przestrzeni lat. Najpierw był liberalnym demokratą, działaczem partii Jabłoko o takim właśnie profilu ideowym. Deklarował się jako nowoczesny nacjonalista. Był przeciwny przyjmowaniu imigrantów z Azji Środkowej.

Polityka zagraniczna w jego ocenie ma służyć interesom wewnętrznym Rosji, dlatego jest raczej zwolennikiem wielowektorowości niż ścisłego i bezwarunkowego sojuszu z Zachodem. Kilka razy zmieniał zdanie odnośnie do Krymu. Najpierw potępił aneksję, później stwierdził, że półwyspu już nie da się zwrócić Ukrainie. W końcu zaproponował, by na Krymie powtórzyć referendum, tyle że na „uczciwych, demokratycznych warunkach". Pojawiają się więc opinie, że Rosja Nawalnego różniłaby się od Rosji Putina tylko tym, że byłaby sprawniej (walka z korupcją) zarządzana, a przez to groźniejsza. Eksperci są podzieleni. – Nawalny, w odróżnieniu od Putina, nie wywodzi się ze służb specjalnych. Choćby z tego powodu prezentuje inną mentalność oraz światopogląd i jego polityka może być inna – komentuje Jadwiga Rogoża.

Rosja pod jego rządami ma szansę być innym państwem niż Rosja Putinowska. – Oprócz walki z korupcją Nawalny wielokrotnie postulował głębokie reformy ustrojowe: decentralizację władzy, uzdrowienie wymiaru sprawiedliwości, sądów, struktur siłowych – wymienia Rogoża. – Dowiódł też, że potrafi delegować zadania, budować struktury o charakterze poziomym i zdecentralizowanym, aktywizować zwolenników. W takim modelu, ewentualne zapędy wodzowskie samego Nawalnego i jego cechy osobowościowe traciłyby na znaczeniu, byłyby bowiem powstrzymywane przez wiele „bezpieczników".

– Nawalny o demokracji i wolnościach obywatelskich mówi wiele, ale mało w tym konkretów. Proponowana przez niego decentralizacja nie zakłada wzmocnienia pozycji podmiotów federacji (obwodów i republik), tylko miast. W praktyce więc umocniłaby władzę Kremla – komentuje Grzegorz Kuczyński.

Najprawdopodobniej jednak przez najbliższe lata nie dowiemy się, jak wyglądałaby Rosja pod rządami Nawalnego. „Berliński pacjent" został „więźniem Putina". Wciąż jednak pozostaje jego najpoważniejszym politycznym przeciwnikiem. Nawet jeśli tylko symbolicznie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



eprasa.pl d9f679a473

# Przyszły kanclerz?

FOT. LAURENCE CHAPERON/MATERIAŁY PRASOWE CDU

Cezary Gmyz

**Armin Laschet uchodzi za jednego z najsympatyczniejszych niemieckich polityków. Jest też zarazem jednym z najbardziej przebiegłych i najskuteczniejszych**

Od razu zaznaczmy – określenie „przebiegły" w przypadku polityka nie jest inwektywą. Oznacza charakteryzującego się większą od innych biegłością w uprawianiu polityki. Laschet sztukę tę posiadł, terminując od najniższych szczebli władzy, by sięgnąć właśnie po przewodnictwo w największej partii na Starym Kontynencie. CDU liczy aż 405 tys. członków, a uwzględniwszy młodzieżówkę, jest to ponad pół miliona.

Z wewnętrznych sondaży przed wyborami w CDU wynikało, że gdyby nowego szefa chadecji wybierano w referendum, to zostałby nim znacznie bardziej konserwatywny Friedrich Merz. Jednak władze tej partii nie są wybierane w powszechnych wyborach, lecz poprzez delegatów (uprawnionych do wyboru władz było 1001 osób).

Siła Armina Lascheta w dużej mierze wynikała z głosu jednej delegatki – samej kanclerz Angeli Merkel. Jej wsparcie nie było ostentacyjne, ale nikt w CDU nie miał najmniejszych wątpliwości, że dla ustępującej kanclerz Laschet jest kandydatem najwygodniejszym. Pozostali dwaj, czyli Norbert Röttgen i Merz, byli postrzegani jako krytycy przynajmniej części posunięć Żelaznej Kanclerz. Röttgen krytykował m.in. Nord Stream 2, Merz był zaś postrzegany jako przedstawiciel konserwatywnego skrzydła partii, który będzie chciał zmienić jej kierunek. Laschet uchodzi za człowieka, który będzie prowadził politykę określaną po niemiecku jako „weiter so", co najlepiej oddaje polskie sformułowanie: „Żeby było tak, jak było".

Wynik pierwszej tury mógł zasiać niepokój w szeregach adherentów Merkel. Wygrał ją bowiem Merz. Jednak dogrywka nie pozostawiła wątpliwości, że w szeregach chadecji nieznaczną, ale jednak zauważalną przewagę mają zwolennicy kontynuacji. Laschet uzyskał wystarczającą przewagę, by nikt nie kwestionował jego przywództwa.

## POWRÓT DO KORZENI

Należy odnotować, że niemiecka chadecja wróciła poniekąd do własnych korzeni. Przez całe lata CDU i jej siostrzana CSU były uważane za partie dojrzałych mężczyzn, przedstawicieli klasy średniej i wyższej, na ogół wyznania katolickiego. Wszak CDU wywodzi się wprost z Partii Centrum, która była partią konfesyjną, reprezentującą „papistów". Merkel – kobieta i w dodatku córka pastora – była pewnego rodzaju ewenementem. Jej decyzja o postawieniu na czele chadecji



eprasa.pl d9f679a473

Annegret Kramp-Karrenbauer okazała się kompletną pomyłką. Równoczesne zarządzanie resortem obrony i partią było ponad jej siły i zaledwie po roku na fotelu szefowej CDU ogłosiła rezygnację z funkcji partyjnej, co jednocześnie oznaczało rezygnację z ambicji kanclerskich. Innej przyjaciółce Merkel – Ursuli von der Leyen, której wróżono przyszłość na fotelu kanclerskich – została powierzona najważniejsza funkcję na Starym Kontynencie, którą jest szefowanie Komisji Europejskiej. Kolejna z kobiet w gronie Merkel – Julia Klöckner, minister rolnictwa – nie miała szans na poparcie delegatów. W tej sytuacji na polu boju zostali archetypiczni wręcz przedstawiciele CDU – przedstawiciele pokolenia 50+, katolicy z wykształceniem prawniczym, z trojgiem dzieci.

## VATTI ZAMIAST MUTTI

Dlaczego wygrał Armin Laschet? Bo miał najmniej wrogów w partii, ale również dlatego, że uważany jest za najbardziej typowego Niemca. W niemieckim samopostrzeganiu funkcjonował obraz tzw. Deutscher Michel. To postać poczciwego drobnomieszczanina, przedstawianego zwyczaj w szlafmycy, pykającego fajeczkę. Z czasem postać ta nabrała cech karykaturalnych, ale w gruncie rzeczy Niemcy wolą myśleć o sobie jako dobrotliwych safandułach. Laschet zapewne nie chodzi spać w szlafmycy. Nad fajkę przedkłada papierosy, choć dba o to, by go nie fotografowano palącego. Jednak o ile Merkel była określana jako Mutti, czyli mamuśka, to Laschet może się dorobić przydomka Vatti, czyli tatuś.

Zważywszy na pochodzenie, Laschet mógłby równie dobrze zostać socjalistą. Na świat przyszedł w Nadrenii Północnej-Westfalii, która od 1967 r. (z jedną krótką przerwą) jest uważana za twierdzę socjalistów. To region o dwóch obliczach. Z jednej strony to świat winnic słynących z rieslingów i mieszczańskiej Koloni, gdzie najpopularniejszym napojem jest kölsch (cienkie piwo, podawane w małych szklaneczkach). Z drugiej strony to Zagłębie Ruhry, największy okręg przemysłowy Niemiec, dawniej utożsamiany przede wszystkim z górnictwem. Laschet jest poniekąd dzieckiem z pogranicza obu tych światów. Wywodzi się z rodziny walońskiej mówiącej po niemiecku. Urodził się w 1961 r. w Akwizgranie, w dzielnicy Burtscheid, która niegdyś była osobnym miastem. Było to uzdrowisko, a zarazem miejsce zamieszkania górników z nieodległej kopalni węgla kamiennego Anna. Trudno sobie wyobrazić bardziej tradycyjną rodzinę niż ta, w której dorastał Armin Laschet z trzema swoim młodszymi braćmi. Matka była gospodynią domową, a za utrzymanie rodziny odpowiedzialny był ojciec – sztygar z kopalni, który przekwalifikował się na pedagoga i został dyrektorem miejscowej szkoły podstawowej.

**Ze wszystkich trzech kandydatów do stanowiska kanclerza to Laschet jest najbardziej zainteresowany Polską**

Sam Armin Laschet był bardzo zaangażowany w życie religijne. Skończył Biskupie Gimnazjum św. Piusa X w Akwizgranie. Podczas studiów w Monachium i Bonn był członkiem katolickich korporacji akademickich. Przy tej okazji warto wyjaśnić, jak ważną rolę odgrywają one wciąż w niemieckim życiu politycznym, szczególnie wśród konserwatystów. Korporacje dzielą się nie tylko wyznaniowo, lecz także – co może ważniejsze – na pojedynkujące się, czyli odbywające szermiercze tzw. menzury, oraz niepojedynkujące. Obie korporacje, do których należał Laschet (a właściwie wciąż należy), były niepojedynkujące się. Korporacje te uchodzą za mniej konserwatywne. Bardziej konserwatywni politycy zarzucają czasem Laschetowi, że jest zbyt tolerancyjny, a nawet wspiera wyznających islam członków chadecji (tak, żeby zostać chrześcijańskim demokratą w Niemczech, nie trzeba być już chrześcijaninem).

## SZYBKI AWANS I DZIENNIKARSTWO

W politykę zaangażował się już jako 18-latek, wstępując do CDU, a następnie zasiadając w Radzie Miejskiej Akwizgranu. Był także dziennikarzem, w czym polityczna aktywność w Niemczech akurat nie przeszkadza. W 1994 r. jako zaledwie 33-latek zasiadał już w Bundestagu. Zważywszy, że średnia wieku deputowanych w momencie pierwszego wyboru to ok. 50 lat, osiągnął duży polityczny sukces.

Pięć lat później był już deputowanym do europarlamentu. Został szybko dostrzeżony. I kiedy w 2005 r. chadekom na jedną kadencję udało się odbić Nadrenię z rąk socjalistów, został landowym ministrem odpowiedzialnym m.in. za politykę rodzinną. Kiedy chadecy przeszli do opozycji, wykorzystał ten czas na budowanie pozycji wewnątrzpartyjnej. Na stanowisku wiceszefa CDU w NRW zastąpił Norberta Röttgena, swojego późniejszego konkurenta w walce o fotel szefa całej partii.

W 2017 r. odniósł gigantyczny sukces, odbijając Nadrenię Północną-Westfalię z rąk SPD. To otworzyło mu drogę do zarządu federalnego CDU, gdzie objął fotel wiceprzewodniczącego.

Teraz, po zwycięstwie nad Merzem, ma realne szanse na zostanie kandydatem całej chadecji na kanclerza. Zachowuje jednak powściągliwość, pewnie pomny przechwałek swojego socjalistycznego konkurenta chełpiącego się tym, że „będzie kanclerzem federalnym", nie chce jak on popaść w polityczny niebyt. Przeciwnika do funkcji kanclerskiej ma potężnego – premiera Bawarii Markusa Södera z siostrzanej CSU. Wszystko powinno rozstrzygnąć się w marcu.

A co wybór Lascheta oznacza dla Polski? Niewątpliwie ze wszystkich trzech kandydatów jest on najbardziej Polską zainteresowany. I ma to związek z jego historią rodzinną. Polscy górnicy w Nadrenii, a zwłaszcza w Zagłębiu Ruhry, odgrywali bardzo dużą rolę. Do tego stopnia, że w tamtejszym dialekcie funkcjonują słowa pochodzące z polskiego, takie jak „mottek" (od młotek) czy „schiskojeno" (od wszystko jedno).

Laschet brał udział w m.in. w otwarciu polskiego konsulatu honorowego w Düsseldorfie, a w 2018 roku złożył wizytę w Polsce, oddając m.in. hołd powstańcom warszawskim. Trochę szkoda, że wówczas w Warszawie nie nadano tej wizycie większej rangi, bo już wówczas Nadreńczyk był wymieniany jako kandydat do objęcia schedy po Merkel. Mogło to być jednak związane z jego afirmatywnym stosunkiem do dokończenia Nord Stream 2 (w odróżnieniu do Röttgena). Niemniej jednak Laschet uchodzi za osobę skłonną do dialogu. A i w samych Niemczech po sprawie Nawalnego poparcie dla interesów z reżimem Putina spada.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



eprasa.pl d9f679a473

# Covidowe fortuny

*Piotr Włoczyk*

**W czasie pandemii koronawirusa najbogatsi ludzie na świecie zaczęli się bogacić w bezprecedensowym tempie. Politycy na Zachodzie snują plany, by skutecznie dobrać się do tych fortun**

COVID-19 wpędził w skrajną biedę nawet 90 mln ludzi na świecie – wynika z szacunków Międzynarodowego Funduszu Walutowego. Według MFW miniony rok skończył się dla globalnej gospodarki spadkiem o 4,4 proc. w stosunku do wartości dóbr i usług wytworzonych w 2019 r. W tym roku świat może liczyć na odbicie wynoszące nawet 5,2 proc., co nie zmienia faktu, że dla przeciętnego mieszkańca naszej planety pandemia oznacza kłopoty finansowe.

Zupełnie inaczej sytuacja wygląda w elitarnym klubie 500 najbogatszych ludzi na świecie. Takiego roku jak 2020 nie pamiętają najstarsi analitycy. Według prestiżowego rankingu Bloomberg Billionaires Index, najbogatsza pięćsetka miliarderów wzbogaciła się w 2020 r. o rekordowe 1,8 bln dol. To elitarne towarzystwo jest teraz warte 7,8 bln dol. (35-krotność PKB Polski). Oznacza to, że w porównaniu z rankingiem Bloomberga za 2019 r. 500 największych krezusów świata powiększyło swoje majątki przeciętnie o 31 proc. To największy wzrost od 2012 r., odkąd Bloomberg przygotowuje swój indeks miliarderów.

## REKORDZISTA WSZECH CZASÓW

Pierwsza trójka to Jeff Bezos (założyciel Amazona), Elon Musk (współzałożyciel Tesli i SpaceX) i Bill Gates (współzałożyciel Microsoftu). Pięciu najbogatszych dysponuje majątkami wartymi minimum 100 mld dol., a kolejna dwudziestka zgromadziła fortuny wynoszące minimum 50 mld dol. Przypomnijmy tylko, że jeszcze 20 lat temu 50 mld dol. dawało pewne drugie miejsce na liście najbogatszych na planecie (w 2000 r. Bill Gates miał 60 mld dol., Larry Ellison 47 mld dol., a zamykający podium Paul Allen 28 mld dol.).

W 2020 r. najwięcej zyskali potentaci w sektorach wysokich technologii, IT oraz e-handlu. Jeff Bezos zamknął poprzedni rok majątkiem o wartości 192 mld dol., z kolei Elon Musk mógł się pochwalić fortuną na poziomie 167 mld dol. Ten pierwszy zyskał w ciągu roku 77 mld dol., ale drugi pobił wszelkie rekordy, zarabiając w tym samym okresie prawie 140 mld dol. Trudno podejrzewać, by jakikolwiek inny człowiek w historii w tak krótkim czasie dorobił się tak olbrzymiego majątku.

W przypadku Jeffa Bezosa sprawa jest oczywista – okres pandemii to bonanza dla branży e-handlu. Amazon, największy na świecie sklep internetowy, który cały czas powiększa swoją kurierską odnogę, zanotował w zeszłym roku ponad dwukrotny wzrost cen akcji. Wszystko wskazuje na to, że ten rok będzie jeszcze lepszy, bo Amazon coraz mocniej wchodzi na rynek usług kurierskich, wygryzając konkurencję.



eprasa.pl d9f679a473

Okres pandemii to bonanza dla branży e-handlu. Szybko zyskuje więc również Amazon Jeffa Bezosa FOT. JOE KLAMAR/AFP/EAST NEWS

Ostatnio gigant tej branży DHL wycofał się z Austrii po tym, gdy wszedł tam Amazon.

Bezos, od 2017 r. najbogatszy człowiek świata, byłby jeszcze bogatszy i nie dałby w 2020 r. Muskowi żadnych szans, gdyby w 2019 r. nie rozwiódł się ze swoją żoną. Dzięki małżeństwu z Bezosem MacKenzie Scott skończyła rok 2020 na 23. miejscu listy 500 miliarderów, mogąc się pochwalić majątkiem o wartości 56 mld dol. Rosnące ceny akcji Amazona sprawiły, że nawet mimo rozdania w szczycie pandemii 6 mld dol. na cele charytatywne Scott zakończyła pandemiczny rok o wiele bogatsza, niż była pod koniec 2019 r. (tylko ona jedna ma większy majątek niż 100 najbogatszych Polaków razem wziętych).

Nieco bardziej skomplikowana jest sprawa z błyskawicznym wzrostem fortuny Elona Muska. Pandemia mocno pokiereszowała branżę motoryzacyjną, ale dla Tesli, największego na świecie producenta aut elektrycznych, był to najlepszy rok w historii. Firma pokonała w końcu największe trudności stojące na drodze do zwiększenia produkcji aut (w zeszłym roku z jej taśm montażowych po raz pierwszy zjechało ponad 0,5 mln samochodów) i po raz pierwszy, odkąd powstała w 2003 r., zaczęła zarabiać. Kierownictwo koncernu planuje dynamiczną ekspansję na inne kontynenty, a coraz więcej państw na świecie wprowadza duże ułatwienia w sprzedaży ekologicznych aut. Wszystko to sprawiło, że Tesla stała się dla inwestorów wyjątkowo atrakcyjnym kąskiem.

W ciągu 2020 r. ceny akcji Tesli wzrosły ponad siedmiokrotnie. Tym sposobem latem Tesla stała się najwyżej wycenianą firmą samochodową na świecie (207 mld dol.), prześcigając Toyotę (203 mld dol.). Aż trudno uwierzyć, że Musk zbił tak ogromny majątek na Tesli, inwestując w nią w 2004 r. zaledwie 6,5 mln dol.

Wahania cen akcji Amazona i Tesli powodują, że od początku tego roku Bezos i Musk wymieniają się miejscami na liście najbogatszych Bloomberga. Gdy 7 stycznia Musk po raz pierwszy został (na kilka dni) najbogatszym człowiekiem na świecie, skomentował to na Twitterze w swoim stylu: „Jakie to dziwne", po czym dodał: „Cóż, czas wracać do pracy".

Ostatnie miejsce na podium w tym rankingu przypadło Billowi Gatesowi. Czwarty był Bernard Arnault, prezes koncernu LVMH (Louis Vuitton Moët Hennessy), a piąty Mark Zuckerberg. Każdy z nich zakończył rok 2020 z majątkiem wartym nieco ponad 100 mld dol.

## JAK UGRYŹĆ FORTUNY

Wśród pierwszej dziesiątki rankingu Bloomberga wyjątkowo ciekawym przypadkiem jest zajmujący siódmą pozycję Zhong Shanshan, który w zeszłym roku stał się najbogatszym człowiekiem Azji. W liczbach względnych zwiększył swój majątek jeszcze szybciej niż Elon Musk – z 7 mld dol. do 78 mld dol. Głównym powodem jest wejście na giełdę jego firmy farmaceutycznej Wantai, która produkuje m.in. testy na koronawirusa, a także kończy prace nad szczepionką przeciw COVID-19. W ciągu niecałego roku akcje firmy zdrożały o ponad 2 tys. proc.

Chińczyk zdetronizował tym samym Hindusa Mukesha Ambaniego, który mimo że powiększył w 2020 r. swój majątek o 18 mld dol., nie był jednak w stanie sprostać szaleńczemu tempu bogacenia się Zhonga. Ambani, który do tej pory skupiał się głównie na przemyśle petrochemicznym, tekstylnym oraz telekomunikacji, zapowiedział, że zacznie inwestować w sektor e-commerce. Trudno się dziwić, że po tym, jak wyglądał rok 2020, Ambani chce iść w ślady Jeffa Bezosa.

Zhong wyprzedził też znacznie swojego rodaka Jacka Ma, twórcy koncernu Alibaba Group, największej w Chinach platformy e-commerce. Tylko w ciągu dwóch ostatnich miesięcy 2020 r. majątek Ma skurczył się o 11 mld dol. (do 51 mld dol.), choć przecież na skutek pandemii e-handel wszędzie na świecie kwitnie. Jak to możliwe? Był to efekt krytyki, na którą Ma pozwolił sobie pod adresem chińskich władz. Te w odwecie zaczęły tak regulować biznes Ma, że bardzo mocno stracił on na wartości.

Tak szybkie bogacenie się w czasie pandemii najbogatszych zwróciło oczywiście uwagę ludzi, którzy domagają się wyższego opodatkowania bajecznych fortun.

„Coraz większe majątki najbogatszych biją po oczach miliony ludzi, którzy stracili swoich bliskich oraz zostali dotknięci problemami zdrowotnymi, finansowymi i ogólnie standard ich życia znacząco się obniżył" – powiedział Chuck Collins zajmujący się nierównościami społecznymi w Institute for Policy Studies, lewicowym think tanku z siedzibą w Waszyngtonie. „Co najgorsze, to wszystko podkopuje resztki wiary w to, że »przechodzimy przez to razem«, a tej solidarności będziemy potrzebować, by przetrwać trudne miesiące, które są jeszcze przed nami" – dodał Collins.

W takie głosy wsłuchują się amerykańscy demokraci. Joe Biden zapowiedział w ostatniej kampanii wyborczej, że w latach 2021–2030 będzie chciał zwiększyć wpływy z podatków aż o 3,36 bln dol., zwiększając opodatkowanie największych firm i najbogatszych Amerykanów.

Biden opowiada się za wprowadzeniem tzw. Zasady Amazona (minimum 15 proc. podatku od zysku netto nakładanego na korporacje zarabiające ponad 100 mln dol. rocznie), która ma być odpowiedzią na absurdalnie niskie podatki odprowadzane przez największe firmy na potęgę wykorzystujące kruczki w prawie podatkowym. Demokraci zdobyli wprawdzie kontrolę zarówno nad Białym Domem, jak i nad całym Kongresem, ale amerykańscy miliarderzy mają niemal nieograniczone zasoby, by lobbować przeciw tak niekorzystnym dla nich zmianom. Czy to ostatni tak dobry rok dla miliarderów zza oceanu czy dopiero pierwszy z całej serii naprawdę tłustych lat?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



eprasa.pl d9f679a473

# Elektrownia tam, gdzie trzęsie?

Na razie w Bełchatowie jest elektrownia węglowa. Jednak to miejsce jest jedną z rozpatrywanych lokalizacji planowanej elektrowni jądrowej FOT. ADOBE STOCK

*Andrzej Solecki*

**Plany budowy elektrowni jądrowej w pobliżu krawędzi wyrobiska w Bełchatowie nie są najlepszym pomysłem**

Niedawne tragiczne osuwisko w norweskiej wiosce Ask (pisaliśmy o tym w „Do Rzeczy" 2/2021) prowokuje do postawienia pytania: Czy u nas jest możliwa podobna tragedia? Zagrożenie osuwiskami w Polsce jest od lat badane i monitorowane przez Państwowy Instytut Geologiczny. Dotychczas udokumentowano u nas 57 tys. osuwisk oraz przeszło 3,3 tys. terenów zagrożonych ruchami masowymi. Rozpoznane osuwiska obejmują powierzchnię ok. 1,2 tys. km kw., a powierzchnia terenów zagrożonych wynosi ok. 500 km kw. Problem osuwisk związanych z naturalną strukturą podłoża gruntowego dotyczy głównie 215 gmin w Karpatach. Na szczęście teren ten zbudowany jest z łupków ilastych i piaskowców, które nie ulegają tak łatwo upłynnieniu jak iły występujące w Norwegii i zazwyczaj nie zagrażają życiu.

Śmiertelne zagrożenia mogą pojawiać się w związku z budową obiektów geotechnicznych – głębokich wykopów lub wysokich nasypów. Przykładem takiej tragedii jest wypływ 4,6 mln m sześc. błota ze składowiska odpadów kopalni miedzi w Iwinach 13 grudnia 1967 r. o godz. 3. Doszło wtedy do przerwania ponad 100 m wału ziemnego. Zginęło 18 osób oraz liczne zwierzęta hodowlane. Zniszczeniu uległo ponad 100 domostw i kilkaset budynków gospodarczych.

U naszych zachodnich sąsiadów doszło do tragicznej katastrofy o świcie 18 lipca 2009 r., gdy dwa jednopiętrowe domy położone ok. 100 m od jeziora Concordia zadrżały w posadach. Jeden z nich pozostał częściowo na miejscu, a jego połowa wraz z sąsiednim budynkiem runęła w blisko 50-metrową przepaść i zniknęła w błotnistym rumowisku. Zginęły trzy osoby, których ciał nie odnaleziono.

Jezioro Concordia od 2002 r. było rajem sportów wodnych z niewielkim portem i ze statkami pasażerskimi oferującymi rejsy turystom. Od roku 1856 w miejscu tym istniała kopalnia węgla brunatnego, częściowo podziemna, częściowo odkrywkowa. W roku 1938 w poważnym wypadku na terenie kopalni zginęło ośmiu górników. W roku 1959 ok. 6,5 mln m sześc. osuwiska, które wpłynęło do odkrywki, zabiło jedną osobę. U schyłku XX stulecia, po wyczerpaniu możliwości ekonomicznej eksploatacji, kopalnię zamknięto. Wyrobisko o rozmiarach 2,7 km na 2,7 km zdecydowano przekształcić w zbiornik mający stać się centrum rekreacyjnym.

## POZOSTAŁOŚCI PO KOPALNIACH

Takie sztuczne jeziora w przeciwieństwie do naturalnych charakteryzują się niestabilnymi brzegami. Sztuka ekonomicznej eksploatacji w górnictwie odkrywkowym polega na wykonaniu głębokiego wykopu o stabilnych ścianach. Specjaliści planują wykop tak, żeby jego ściany były jak najbardziej strome, ale stabilne. Chodzi o to, żeby zminimalizować objętość nakładu, który trzeba usunąć, aby dotrzeć do pokładu węgla. Badania parametrów gruntu i modelowanie matematyczne umożliwiają zaplanowanie



eprasa.pl d9f679a473

prac tak, aby utrzymać stabilne skarpy wykopu. Zazwyczaj się to udaje, ale często już w trakcie eksploatacji górnicy muszą wykonywać prace ratunkowe w celu ustabilizowania pełznącego zbocza. Tak było np. w Turoszowie, gdzie w latach 90. ubiegłego stulecia, tylko dzięki właściwie zaplanowanemu składowaniu nakładu, udało się podeprzeć zbocze skarpy od strony Nysy Łużyckiej, co uchroniło kopalnię przed wtargnięciem wód tej rzeki wraz z granicą naszego państwa i fragmentem terytorium RFN.

Również kopalnia węgla brunatnego w Bełchatowie zmaga się od lat z problemem osuwisk. Złoże węgla brunatnego zalega tu w wąskim rowie Kleszczowa – zapadlisku tektonicznym rozciągającym się na odcinku ponad 20 km. Rów ten powstał kilkadziesiąt milionów lat temu w miejscu istniejących w podłożu uskoków – głębokich pęknięć skorupy ziemskiej.

Wyrobisko tej największej czynnej w Europie kopalni odkrywkowej węgla brunatnego ma głębokości 310 m. Są to właściwie dwa wyrobiska o szerokości ok. 3 km, które rozciągają się na odcinku blisko 15 km i są rozdzielone filarem ochronnym, związanym z wypiętrzającym się z głębokości ponad 2 km wysadem solnym Dębiny. Permskie sole tworzące wysad dotarły prawie do powierzchni ziemi i zalegają obecnie ok. 200 m pod powierzchnią terenu, czyli nad dnem przylegających od wschodu i zachodu wyrobisk.

Skarpy tych wyrobisk o ponadkilometrowej szerokości są zazwyczaj stabilne dzięki odwodnieniu terenu przez sieć studni wierconych. Niemniej wielokrotnie pojawiały się osuwiska o objętościach sięgających 3,5 mln m sześc. i prędkościach osuwania dochodzących do 2 m dziennie. Problem ten występował głównie na skarpie południowej. Również skarpa północna, do której przylega główna infrastruktura kopalni i elektrowni, jest zagrożona występowaniem osuwisk z powodu występowania tam jeziornych osadów ilastych, powstałych w czasie plejstoceńskich zlodowaceń na przedpolu lodowca.

Leopold Czarnecki i Barbara Organiściak w roku 2015 opisali osuwanie się południowej skarpy na odcinku 1,7 km. Dzięki umiejętnościom geologów i górników, którzy przeprofilowali zbocze i podparli je zwałowiskiem wewnętrznym, udało się zagrożenie powstrzymać, niemniej przesunięcie gruntu przemieszczającego się z prędkością ponad 0,5 m na dobę przekroczyło 130 m.

Nasilenie tych problemów może nastąpić w czasie wypełniania wodą wyrobisk po zakończeniu eksploatacji. Nasycone wodą grunty łatwiej się uplastyczniają. Dlatego konieczne jest staranne przygotowanie planów rekultywacji takich wyrobisk.

## TEREN ZAGROŻONY

Plany budowy elektrowni jądrowej w pobliżu krawędzi wyrobiska w Bełchatowie nie są najlepszym pomysłem. Teren ten jest zagrożony nie tylko przez osuwiska, lecz także przez trzęsienia ziemi, sprowokowane przez roboty górnicze.

Budowniczowie kopalni w Bełchatowie nie wiedzieli, że 20 listopada1926 r. we wsi Mikołajów położonej 35 km na wschód od obecnej kopalni zanotowano trzęsienie ziemi, i nie zdawali sobie sprawy z zagrożeń. Pierwszy wstrząs o magnitudzie 3,6 w skali Richtera, który nastąpił 17 sierpnia 1979 r., jeszcze zanim wykop dotarł do pokładu węgla, był zaskoczeniem i za jego przyczynę uznano zawalenie się jaskini krasowej, mającej istnieć w lokalnym górotworze.

26 lutego 1980 r. kolejny wstrząs o magnitudzie 3,6 spowodował uszkodzenie narożnika budynku Oddziału Odwodnienia Kopalni i przemieszczenia obrazów zawieszonych na ścianach w tym budynku. Wstrząsowi temu towarzyszył słyszalny pomruk. 29 listopada tegoż roku nastąpił wielokrotnie silniejszy wstrząs o magnitudzie 4,6, który doprowadził do pęknięć ścian budynku Oddziału Odwodnienia i wypadnięcia kilku cegieł z komina, spadnięcie tablicy schematu kopalni w dyspozytorni oraz pęknięcia betonowych płyt drogowych.

Do roku 1992 zarejestrowano ok. 1,2 tys. wstrząsów, z których dwa osiągnęły magnitudę 4,2 (17 stycznia 1985 r.) i 4,4 (28 listopada 1992 r.). Magnitudy 4,4, 4,3 i 4,1 osiągnęły kolejne trzy wstrząsy z 6 listopada 1996 r., 22 stycznia 2010 r. i 30 listopada 2014 r. Jak widać, w ostatnich latach wstrząsy o magnitudzie przekraczającej 4 występowały przeciętnie co cztery lata. W latach 1992–2003 zaobserwowano wyraźne przesuwanie się ognisk trzęsień ziemi ku zachodowi wraz z postępem robót górniczych.

Zespół Sławomira Gibowicza już w roku 1980 stwierdził, że naprężenia będące przyczyną wstrząsów są kilkakrotnie większe od wartości zmian naprężeń w podłożu, spowodowanych robotami górniczymi. Ich zdaniem przyczyną wstrząsów było przemieszczanie soli diapiru lub rozładowanie naprężeń nagromadzonych od milionów lat wzdłuż uskoków rowu Kleszczowa. Spodziewali się, że wstrząsy będą się powtarzać. Jak widać, historia przyznała im rację, a w roku 2004 analiza mechanizmów wstrząsów górotworu przeprowadzona przez Krystynę Stec i Marka Jończyka potwierdziła ich wnioski.

Za lokalizacją elektrowni w Bełchatowie przemawia jedynie istnienie tam infrastruktury możliwej do częściowego wykorzystania, jednak położona jest ona nie dalej niż 2,5 km od północnej skarpy wyrobiska.

Według dokumentu Międzynarodowej Agencji Energii Atomowej (MAEA) z roku 2019 proponowane lokalizacje EJ uznaje się za nieodpowiednie, jeśli istnieją uskoki stwarzające zagrożenie, którego nie można zrekompensować za pomocą połączenia środków ochrony terenu i cech konstrukcyjnych obiektu. Uskok uważa się za stwarzający zagrożenie, jeżeli na podstawie danych geologicznych, geofizycznych, geodezyjnych lub sejsmologicznych (w tym historycznych) można podejrzewać, że mogłyby nastąpić dalsze ruchy na powierzchni lub w jej pobliżu. Należy również wziąć pod uwagę zagrożenia sejsmiczne spowodowane działalnością człowieka, taką jak: budowa tam, wydobycie górnicze oraz eksploatacja odwiertów naftowych i gazowych.

Zgodnie z Wytycznymi PAA z roku 1984 w sprawie lokalizacji EJ wykluczone są obszary o wstrząsach na tyle silnych, że w mieszkaniach wszystkie przedmioty zostają poprzesuwane i poprzewracane, ludzie w panice opuszczają budynki, pojawiają się rysy i spękania w murach oraz spadają dachówki. Dotychczas obserwowane efekty wstrząsów sejsmicznych niebezpiecznie zbliżają się do tego poziomu intensywności.

Do roku 1990 brano pod uwagę lokalizacje elektrowni jądrowych w: Żarnowcu, Klempiczu, Kopaniu, Nowym Mieście, Wyszkowie, Chotczy, Gościeradowie i Małkini. W roku 2011 Polska Grupa Energetyczna rozważała trzy lokalizacje: Choczewo, Gąski i Żarnowiec. Dołączenie do tej listy Bełchatowa będzie wymagało poważnych studiów nad zagrożeniami geodynamicznymi.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest geologiem, profesorem, doktorem habilitowanym, kierownikiem Zakładu Gospodarki Surowcami Mineralnymi Instytutu Nauk Geologicznych Uniwersytetu Wrocławskiego.



eprasa.pl d9f679a473

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

# „Sukces" goni „sukces"

Polski system podatkowy trafił na podium – co prawda na najniższe z „pudeł", bo sklasyfikowano go na miejscu trzecim, ale przecież i to się liczy. Polski system podatkowy został uznany za trzeci najgorszy, najbardziej skomplikowany wśród 36 państw OECD, które oceniła Tax Foundation. Tuż za legendarnymi systemami Chile i Włoch. Ale przecież nic nie stoi na przeszkodzie, by w niedalekiej przyszłości Polska prześcignęła i tych rywali, tym bardziej że – sądząc po deklaracjach polityków – pomysłów na to nie brakuje.

A wracając do już odniesionego „sukcesu", bo przecież nie wypada umniejszać znaczenia trzeciej lokaty. Otóż w żadnym razie nie jest on dziełem przypadku, jakimś podarunkiem od losu. Przeciwnie – jest rezultatem wytężonej – trwającej od lat – pracy wielu polskich polityków. Jest skutkiem dogłębnie przemyślanej i konsekwetnie realizowanej strategii, mającej – zgodnie z ich deklaracjami – „pomóc Polakom".

Początek drodze do „sukcesu" dało takie zagmatwanie w 2016 r. instytucji kwoty wolnej od podatku, że dziś już nikt w Polsce nie jest w stanie połapać się bez porady księgowego, w którym momencie roku stracił do niej prawo. W ślad za tym poszły kolejne zmiany. Wprowadzono dodatkowy podatek od dochodów osobistych, dla niepoznaki nazwany podatkiem na Fundusz Solidarności Wspierania Osób Niepełnosprawnych – w wysokości 4 proc. od dochodów powyżej 1 mln zł. Wprowadzono kolejną, trzecią stawkę w podatku PIT, w wysokości 0 proc. – wyłącznie dla młodych Polaków, do 26. roku życia – ale przecież nie dla wszystkich, bo to byłoby zbyt proste, lecz tylko dla zatrudnionych na niektórego typu umowach. Z prostej zryczałtowanej daniny od wynajmu nieruchomości uczyniono bardziej skomplikowaną daninę o dwóch stawkach. Do prostego podatku CIT o jednej stawce najpierw wprowadzono tzw. mały CIT, czyli de facto jego drugą – niższą – stawkę dla małych firm, a ostatnio także tzw. estoński CIT, ale w odróżnieniu od Estonii – także tylko dla wybranych, mniejszych przedsiębiorstw, a nie dla wszystkich. Natomiast w podatku na rzecz ZUS wprowadzono tzw. mały ZUS plus – dla niewielkich firm, żeby połapanie się i w nim też nie było zbyt proste. Do tego dochodzi koktajl nowych podatków: od wody, drogowy, mocowy, cukrowy, handlowy, od deszczówki itp., itd.

A że jeden „sukces" zwykle pociąga za sobą następne, nie dziwi, iż Polska drugi raz z rzędu „awansowała" też w ogłaszanym przez Bank Światowy rankingu Doing Business, który ocenia kraje pod względem regulacji przyjaznych biznesowi. W 2019 r. nasz kraj „awansował" z 27. miejsca na 33., a w 2020 z 33. na 40. Szczególnie za pierwszym „awansem" Polski – w 2019 r. – kryło się spore wydłużenie czasu (z 260 do 334 godzin rocznie) potrzebnego do rozliczenia się z fiskusem.

Komu wysłać „gratulacje"? ©℗

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

# Murzyńskość, zawsze murzyńskość

Zatem stało się. Wielka nadzieja białych, pogromca lewactwa i autor akronimu „MAGA" – Make America Great Again – Donald Trump musiał oddać władzę. Ogromna część polskiej prawicy miała do Trumpa stosunek absurdalnie emocjonalny, upatrując w nim – mocno przesadnie – obrońcy zachodniej cywilizacji.

Nie, Trump nie był żadnym fidei defensor. Wykorzystywał te wątki pragmatycznie, co nie znaczy, że cynicznie, do prowadzenia własnej polityki zrywającej ze szkodliwym idealizmem, tak typowym dla amerykańskich idealistów, a więc głównie demokratów. Był też bardzo daleki od niegdysiejszych mesjanistycznych zapędów neokonserwatystów epoki Busha juniora. Jego modus operandi był niemal czysto biznesowy i Polska była tu znakomitym polem do działania. Bo nie partnerem. Dawało się z nas wycisnąć każde pieniądze, a arogancka Georgette Mosbacher była znakomitą strażniczką amerykańskiego interesu nad Wisłą.

Trump wygrał wybory cztery lata temu, odwołując się do zwykłego, wrogiego elitom amerykańskiego wyborcy i w tym sensie powtórzył sukces PiS z 2015 r. Jednak jego metoda tworzenia ostrych podziałów, niewątpliwie w połączeniu z pandemią, pogrzebała go w roku 2020, choć wygrana była o włos. Trzeba jednak przyznać, że aby przegrać z niezbyt sprawnym, potykającym się o własne nogi Joe Bidenem, trzeba się jednak postarać. Trump najwyraźniej się postarał.

Odchodził w brzydkim stylu. Oczywiście każdemu kandydatowi wolno kontestować wynik wyborów, jeśli uważa się go za niesprawiedliwy, ale jest tu jakaś granica. Dotychczas moment przejęcia władzy przez prezydenta elekta z przeciwnego obozu był jednak zawsze chwilą pojednania: można się spierać bardzo ostro, ale w końcu jedność państwa okazuje się ważniejsza. Trump tę zasadę złamał i dlatego pod koniec opuścili go nawet wierni sojusznicy w Kongresie. Oni wykazali się państwowym instynktem, on nie.

Biden popchnie oczywiście USA w stronę większego etatyzmu, socjalu, różnych lewicowych nowinek (na ile pozwoli mu federalny system), jednak my powinniśmy mieć do tego pragmatyczne podejście. Dla Polski najważniejsza jest polityczna stabilność USA.

Niestety, gdy spojrzeć na emocjonalne zaangażowanie znacznej części polityków dzisiejszej opozycji po stronie następcy Trumpa, próżno mieć nadzieję, że rządy Koalicji Obywatelskiej oznaczałyby jakościową zmianę. Mielibyśmy to samo, tylko z przeciwnym znakiem. Przywołując platformerskiego klasyka: murzyńskość, zawsze murzyńskość. ©℗



eprasa.pl d9f679a473

# Sarny – i co dalej?

Piotr Hofman

Na początku stycznia minęła kolejna rocznica przekroczenia w 1944 r. przedwojennej granicy polskiej przez wojska sowieckie. To właśnie miejscowość Sarny była pierwszą, do której weszły wówczas oddziały Armii Czerwonej. Sarny – i co dalej? To pytanie zapewne zadawała sobie większość przywódców Rzeczypospolitej Polskiej. Zarówno tych w okupowanym kraju, jak i w rządzie londyńskim, ale – co może najistotniejsze – także w Polskich Siłach Zbrojnych (PSZ) na Zachodzie. To przecież w przeważającej większości tworzący je żołnierze pochodzili z kresów, z setek takich miejscowości jak właśnie Sarny.

Niecały rok wcześniej ujawnione zostały masowe groby w Katyniu. Kilkadziesiąt tysięcy polskich oficerów, bandycko zamordowanych przez Sowietów, woła o pomstę i pamięć. Polski rząd domaga się od ZSRS uczciwego wyjaśnienia sprawy. Zamiast tego Sowieci jednostronnie zrywają stosunki dyplomatyczne z naszym krajem. Taką sytuację zastajemy, kiedy w 1944 r. na nasze ziemie wkraczają sojusznicy naszych sojuszników. Jednak świeżo w pamięci prawie połowy polskiego społeczeństwa tkwią makabryczne dwa lata pierwszej okupacji sowieckiej (IX 1939–VI 1941 r.). „Sarny – i co dalej?" – jawi się jako tragiczne pytanie. Kolejna okupacja?

Sytuacja polityczna i militarna na początku 1944 r. jest dla Polski bardzo trudna. Dopiero co realnie opuszczeni przez aliantów na listopadowej konferencji w Teheranie (XI–XII 1943 r.) stanęliśmy jako społeczeństwo i jego podziemne siły zbrojne przed koniecznością podjęcia być może najważniejszych dla przyszłości narodu i państwa polskiego decyzji. Przykładem stanowiska Narodowych Sił Zbrojnych wobec – tak bardzo nurtującej w tym okresie – sprawy powojennych granic i stosunku do zagrożenia komunistycznego jest rozkaz dowódcy NSZ Tadeusza Kurcyusza „Żegoty" z 15 stycznia 1944 r. „Wobec przekroczenia przez wojska sowieckie granicy Polski, Rząd Polski w Londynie oraz społeczeństwo polskie w Kraju wyrażają swą niezłomną wolę przywrócenia niepodległości całego terytorium polskiego do granicy na Wschodzie sprzed roku 39, ustalonej za obustronną zgodą traktatem ryskim i potwierdzonej ogólnymi zasadami Karty Atlantyckiej oraz deklaracjami rządów sprzymierzonych, które nie uznały żadnych zmian terytorialnych, jakie w Polsce nastąpiły od sierpnia 39 r. Postawa Narodu Polskiego w 39 r., jak i przez cały przeciąg okupacji niemieckiej w walce, w której ponosił Naród Polski tak ciężkie ofiary, w pełni potwierdza oświadczenie Rządu Polskiego z dn. 4.I.44 r., iż Polska postępowaniem swym niejednokrotnie dowiodła, że nie uzna żadnych narzuconych Jej przemocą zmian i postanowień jednostronnych. ZSSR, równocześnie z głoszonymi roszczeniami do połowy ziem polskich, prowadzi w Kraju przez swe agentury PPR i Armię Ludową, komunistyczną akcję dywersyjno-rewolucyjną wymierzoną przeciw ustrojowi i całości Państwa Polskiego. Żołnierze! Jedna jest dla nas Polska prawdziwie Niepodległa i Wielka, zdolna zapewnić pokój sobie i innym narodom Europy Środkowej i dać wszystkim Polakom ziemię lub warsztat pracy. Jest nią Polska od granicy traktatu ryskiego na wschodzie, po Odrę i Nysę Łużycką na Zachodzie. Zgodnie z deklaracją NSZ, która głosi: »Nasze granice wschodnie ustalone traktatem ryskim nie podlegają dyskusji«, stwierdzam: Narodowe Siły Zbrojne walczyć będą o przywrócenie Polsce wszystkich Jej ziem wschodnich. W sytuacji obecnej wydaję następujące polecenia ogólne:

- Wojska sowieckie na terytorium Polski muszą być uważane za wojska wrogie.
- Z uwagi jednak na obecne położenie międzynarodowe oraz konieczność zwalczania Niemiec siłami ich wszystkich przeciwników polecam na podstawie instrukcji Rządu RP z dn. 27.X.43 r. i rozkazów Wodza Naczelnego unikać konfliktów z regularnymi wojskami sowieckimi. W wypadku gdyby władze sowieckie nie uszanowały życia i mienia obywateli polskich, wydam rozkazy specjalne.
- Na podstawie instrukcji Rządu RP z dn. 27.X.43 r. przewidującej współpracę z wojskami sowieckimi jedynie w wypadku poprzedniej normalizacji stosunków polsko-sowieckich, podaję do wiadomości, że wszelka współpraca obywateli polskich z wojskami sowieckimi jako działanie wbrew rozkazom Rządu i interesom Narodu Polskiego traktowana będzie jako zdrada Państwa Polskiego.
- Dążenie do normalizacji stosunków z rządem ZSSR ani ewentualne osiągnięcie tego porozumienia nie może powstrzymać bezwzględnej walki z komunizmem i rozkładową akcją agentur bolszewickich na ziemiach polskich.
- Okręgi wschodnie otrzymają rozkazy szczegółowe i instrukcje dla ludności cywilnej".

W latach 1943–1944 Kurcyusz był współautorem porozumienia i procesu zjednoczeniowego między Narodowymi Siłami Zbrojnymi a Armią Krajową. Cytowany rozkaz pokazuje, jak jednoznaczne i absolutnie zgodne z polską racją stanu stanowisko zajmowały wtedy NSZ pod jego dowództwem. Niestety, płk Kurcyusz umiera w kwietniu 1944 r. Gdyby nie jego przedwczesna śmierć, być może udałoby się uniknąć samobójczej akcji „Burza" w tej wersji, w jakiej przeprowadziło ją dowództwo AK, ze wszystkimi tego konsekwencjami i włącznie z tragedią powstania warszawskiego. Być może więcej polskich patriotów mogłoby się uratować przed sowieckimi katowniami. I być może Brygada Świętokrzyska nie byłaby jedynym polskim oddziałem z okupowanego kraju, który zachowując wartość bojową i ratując swoje kadry, dołączył do PSZ.

I w końcu być może dzisiejsza Polska byłaby inna, lepsza, bo zbudowana przy pomocy tych, którzy niestety odeszli i nie dane im było pozostawić po sobie pokolenia dumnych i odpowiedzialnych polskich patriotów.





eprasa.pl d9f679a473

16 stycznia Szerpowie stanęli na K2 – ostatnim ośmiotysięczniku, którego nikt wcześniej nie zdobył zimą

FOT. WWW.NIMSDAI.COM

# Szerpowie w niebie

*Łukasz Zboralski*

**Ci, którzy dekadami prowadzili innych na najwyższe szczyty świata i których omijała chwała, weszli zimą na K2. Polaków coś ukłuło w serca. Zima i najwyższe szczyty to wszak nasza narodowa specjalizacja. I chcieliśmy sięgnąć po ten ostatni niezdobyty**

W himalaizmie teoretycznie chodzi o pokonywanie własnych słabości, osiąganie celów. Wchodzenie na góry ma bowiem w ogóle trudny do uchwycenia sens. Polski gigant Jerzy Kukuczka mówił, że chodzi o „szukanie smaku życia". Zawsze jednak okazywało się, że jest coś, co ten smak życia wzmacnia – bycie pierwszym. Przykładów mamy wiele. Wprawdzie Kukuczka i Reinhold Messner odżegnywali się od takiego patrzenia na sprawę, to jednak obaj próbowali zdobyć Koronę Himalajów i Karakorum, czyli 14 głównych ośmiotysięczników. Polak ruszał spóźniony, gdy Włoch miał już na koncie kilka gór, ale wcale nie był bez szans. Chciał lepiej, inaczej. Dlatego Kukuczka pokonywał te szczyty nowymi, trudnymi drogami albo zimą.

## LODOWI WOJOWNICY

Ambicje Kukuczki nie były czymś osobliwym na tle ówczesnego polskiego himalaizmu. Ruszając już w zdobyte góry, Polacy chcieli postawić sobie własny cel. Zrobić coś, czego nikt nie zrobił. Zadziwiać świat. I zaczęli szturmować najwyższe góry zimą. Zaczęło się od Mount Everestu w 1980 r. Najwyższa góra świata została po raz pierwszy zdobyta zimą przez Leszka Cichego i Krzysztofa Wielickiego (wyprawą kierował Andrzej Zawada). To, co zrobili biedni na tle zachodnich wspinaczy Polacy z okupowanej przez Sowietów PRL, wielu ze środowiska wówczas zabolało. Ukłucie zazdrości było wyraźne. „Reinhold Messner przez dwa lata utrzymywał, że szczytu zimą nie zdobyto, bo Polacy weszli na wierzchołek dwa dni po oficjalnym zakończeniu sezonu zimowego w Nepalu" – wspomina w książce o 20-letniej polskiej dominacji w Himalajach „Ucieczka na szczyt" Bernadette McDonald. Stronę Polaków trzymała brytyjska specjalistka od historii Himalajów Elizabeth Hawley. Gdy ona i inni wspinacze zaczęli jednak uznawać polski sukces, Messner nadal utrzymywał, że było to „nielegalne" wejście. „Wtedy nepalski minister turystyki wydał oświadczenie, w którym napisał, że zdobycie Everestu odbyło się w »oficjalnym« zimowym okienku". „W porządku, poddaję się. Wspięli się zimą – przyznał w końcu Messner" – pisze McDonald.

Rozpoczęta zdobyciem najwyższej góry świata dekada była wybitna – wszystkie pierwsze zimowe wejścia na ośmiotysięczniki były dokonaniem Polaków: Manaslu (1984), Dhaulagiri i Czo Oju (1985), Kanczendzonga (1986), Annapurna (1987), Lhotse (1988). Po tych sukcesach wspinacze z innych krajów zaczęli mówić o Polakach „Ice Warriors" (Lodowi Wojownicy). Była to bowiem – tak jak zresztą wejścia kobiet (właśnie K2 jako pierwsza kobieta na świecie zdobyła Wanda Rutkiewicz) – nasza himalajska specjalizacja.

Silna ekipa z lat 80. kruszyła się jednak – wielu straciło życie i pozostało na zawsze w lodowych szczelinach. Po przemianach



eprasa.pl d9f679a473

ustrojowych zmieniła się też Polska. Skończył się etap szukania „smaku życia" poza szarym PRL, który dawał jedynie poczucie beznadziei. Na następny zimowy sukces trzeba było czekać aż do 2005 r., gdy na Sziszapangmę weszli Piotr Murawski i Simone Moro (Moro został wówczas pierwszym zdobywcą himalajskiego giganta zimą, który nie był Polakiem!). Potem, w 2013 r., Broad Peak zimą jako pierwsi zdobyli: Maciej Berbeka, Adam Bielecki, Tomasz Kowalski i Artur Małek (wyprawą kierował Wielicki).

Tak na polskie konto wpisano w sumie 10 ze wszystkich 13 pierwszych zimowych wejść na ośmiotysięczniki. Z tej zimowej listy został już tylko szczyt K2. Polacy chcieli postawić na nim nogę. I próbowali trzy razy. Pierwsza była polsko-kanadyjsko-brytyjska wyprawa kierowana przez Andrzeja Zawadę w sezonie 1987/1988. Nie udało się. Tak samo jak nie udało się potem dwóm narodowym wyprawom, którymi kierował Wielicki – w sezonach 2002/2003 i 2017/2018.

Udało się to dopiero w ubiegłym tygodniu Szerpom.

## ZAPROWADZILI SIĘ SAMI

Nie sposób w krótkim artykule wyjaśnić całej historii Szerpów. Można z całą pewnością napisać jednak, że bez nich himalaizm nie byłby taki sam, a może nawet nie byłoby go w ogóle. Lud, który mieszka od wieków na sporych wysokościach, zaczął trudnić się dźwiganiem ciężarów bogatych wspinaczy z zagranicy, lecz także – dzięki doskonałej znajomości terenu najwyższych gór świata – prowadzić ich na szczyty jako przewodnicy. To Szerpowie często harują, zakładając liny poręczowe, po których sławy sięgają po laury. To oni ratują życie tym, którym powinie się noga. I to oni są tymi, których nigdy naprawdę oficjalnie nie doceniano. W masowej świadomości świata zostawały tylko nazwiska tych, którzy przyjeżdżali do ich kraju i jako pierwsi wbijali flagę w zdobytą po raz pierwszy górę. Każdy potrafi wyrecytować nazwisko sir Edmunda Hillary'ego, pierwszego człowieka na najwyższej górze świata (przy okazji – Hillary wszedł tam, wspomagając się tlenem, i nikt nie uznaje dziś, że nie zdobył Everestu jako pierwszy), a mało kto wymieni imię i nazwisko Tenzinga Norgaya, Szerpy, który stanął tam razem z Nowozelandczykiem w 1953 r. Ba, na jedynych zdjęciach na szczycie jest właśnie Tenzing (bo on sam nie umiał obsługiwać aparatu). Świat interesowało jednak, czyja stopa pierwsza dotknęła wierzchołka. I Norgay wyznał, że szli razem, ale on nie zamierzał ścigać się ani przegonić Hillary'ego. Pozwolił mu iść, więc Nowozelandczyk był pierwszy. Ponieważ wyprawa ta była brytyjska, Hillary dostał tytuł szlachecki, a Szerpa tylko Medal Jerzego. Wraz z upływem lat ta nierówność na szczęście się zacierała.

Tegoroczna zimowa wyprawa na K2 w istocie też nie była wyprawą Szerpów, którzy ostatecznie 16 stycznia stanęli na szczycie. Jak zwykle prowadzili klientów, a wśród nich m.in. Polkę – Magdalenę Gorzkowską. Gdy Szerpowie zaporęczowali górę do wysokości 7400 m, ich

Krzysztof Wielicki i Leszek Cichy po pierwszym na świecie zimowym zdobyciu Mount Everestu w 1980 r. FOT. BOGDAN JANKOWSKI/WIKIPEDIA

klienci dopiero się aklimatyzowali. Wówczas chyba doszli do wniosku, że mają przed sobą idealne okienko pogodowe i czują się niezwykle mocni. Tym razem, po raz pierwszy, wzięli więc górę dla siebie. Jako pierwsi ludzie zimą na K2 stanęli: Nirmal Purja, Gelje Sherpa, Mingma David Sherpa, Mingma G, Sona Sherpa, Mingma Tenzing Sherpa, Pem Chhiri Sherpa, Dawa Temba Sherpa, Kili Pemba Sherpa oraz Dawa Tenjing Sherpa.

To nie tragarze ani nawet nie tylko przewodnicy. To zawodowcy. Od lat wynajmowani przez agencje do wspierania wypraw. Nirmal Purja ma na koncie 14 ośmiotysięczników zdobytych w rekordowym czasie – zajęło mu to niewiele ponad pół roku. Po obecnym sukcesie napisał na Facebooku, że prowadził w góry 20 udanych ekspedycji zakończonych sukcesem, z których wszyscy nie tylko wrócili cało, lecz także bez żadnego utraconego w wyniku odmrożeń palca. Mingma David Sherpa wszedł na dziewięć ośmiotysięczników, w tym ustanowił rekordowe czasy wejścia na Mount Everest i K2 (61 dni).

Szerpowie sami odebrali należną im od lat chwałę, wykorzystując ostatnią taką szansę, by zapisać swoje nazwiska w historii „bycia pierwszym". Jednocześnie przekreślili polskie plany. I to dla Polaków okazało się doznaniem bolesnym.

Adam Bielecki, członek nieudanej polskiej zimowej wyprawy na K2, wytknął Szerpom, że używanie tlenu to doping. „Wspinanie z tlenem to nie moja dyscyplina, dlatego dla mnie gra toczy się dalej" – dodał tak, jakby nie stało się nic i K2 było nadal do zdobycia.

Denis Urubko, także członek nieudanych dwóch polskich zimowych ataków na K2, od jakiegoś czasu z polskim paszportem, zachował się podobnie. – Nepalczycy razem pracowali na ten sukces, to piękne. Spełnili marzenia wszystkich. Ale użycie tlenu to jednak doping – powiedział portalowi Sportowefakty.wp.pl. Chociaż sam na K2 zachował się kontrowersyjnie. Zostawił kolegów i bez ich wiedzy sam zaatakował szczyt, nieudanie.

Te zarzuty wyglądają dziś jeszcze gorzej. Bo po zejściu Szerpów okazało się, że nie wszyscy wspomagali się tlenem. Nirmal Purja poinformował, że wszedł na K2 bez niego. „Podjąłem skalkulowane ryzyko i ruszyłem w górę bez korzystania z dodatkowego tlenu. Pewność siebie, znajomość siły i możliwości własnego ciała oraz zdobyte doświadczenie podczas projektu 14 x 8000 pozwoliły mi dotrzymać kroku pozostałym członkom zespołu i dodatkowo dowodzić całą ekipą" – ujawnił na Facebooku. I dodał: „Zadanie wykonane! K2 zimą bez dodatkowego tlenu zdobyte!".

Krytykom odpowiedział w zawoalowany sposób. Przypomniał, że wiele „znanych nazwisk" chwali się zdobyciem szczytów bez użycia tlenu. Jednocześnie ci wspinacze szli na szczyt po drogach wyznaczonych przez Szerpów i z założonymi tam przez nich linami poręczowymi. „Co zatem możemy nazwać wspinaniem według zasady »by fair means«?" – zapytał.

Polacy jak nikt na świecie powinni doceniać sukces Szerpów. Na pewno to zrobią, gdy minie rozżalenie, że przegrali wyścig. A ten smutek minie. Dziesięć z 14 ośmiotysięczników zdobytych zimą na zawsze pozostaje „polskimi". Ta historia się zakończyła.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



eprasa.pl d9f679a473

# TEST „DO RZECZY": PROJEKTOR EPSON EH-TW5700

Dobra jakość i wysoka jasność obrazu, wbudowana funkcja Android TV oraz przystępna cena – to największe zalety projektora przeznaczonego dla osób, które marzą o stworzeniu niedrogiego kina domowego.

Solidnie wykonany Epson EH-TW5700 jest niewielki (jego wymiary to 309 x 315 x 122 mm), a dzięki białej lakierowanej obudowie również elegancki i łatwy do ukrycia w nowoczesnym salonie.

Sprzęt, który pozwala rzucać na ścianę obrazy o rozmiarze od 34 do 300 cali, jest banalnie łatwy w konfiguracji oraz obsłudze (np. korekcji zniekształceń trapezowych). Z kolei dzięki temu, że testowany model zapewnia światło o mocy aż 2,7 tys. lumenów, obrazy rzucane z tego projektora można oglądać nawet w stosunkowo jasnych pomieszczeniach (zwłaszcza jeśli umieścimy projektor stosunkowo blisko ściany czy ekranu projekcyjnego).

Po stronie plusów zapisać można ostrość obrazu wyświetlanego w rozdzielczości Full HD. Kolory są żywe i jasne, a wrażenie głębokiej czerni wystarczające. Na pochwałę zasługuje także bardzo dobra ostrość w ruchu, co z pewnością ucieszy fanów programów sportowych.

Wbudowana obsługa Android TV pozwala zaś na łatwy dostęp np. do Asystenta Google, serwisów filmowych czy popularnych gier (producent dla graczy przewidział też oddzielny tryb wyświetlania obrazu panoramicznego w formacie 21:9). Epson w zestawie dołącza dwa piloty, które ułatwiają nawigację po aplikacjach (oddzielne przyciski wywołują YouTube, Netflix czy sklep Google Play) bez konieczności przedzierania się przez kolejne okna w menu.

Przewagą ważącego zaledwie 3,6 kg urządzenia nad wieloma

telewizorami w podobnej cenie jest nie tylko wielkość obrazu, lecz także dźwięk. W modelu Epson EH-TW5700 wbudowany głośnik ma moc 10 W i zapewnia przyzwoitą jakość. W przypadku kina domowego dobrze jest jednak podłączyć do niego soundbar lub cały zestaw dźwiękowy. Szacowana żywotność lampy wynosi według producenta 4,5 tys. godzin w trybie normalnym oraz 7,5 tys. godzin w trybie eco. Marketingowcy Epsona wyliczyli, że lampa pozwoli więc obejrzeć jeden film każdego dnia przez 11 lat. Gwarancja obejmuje jednak tylko trzy lata lub 3 tys. godzin.

Wady? Pierwsza – wprawdzie przy oszczędnych ustawieniach lampy projektor pracuje względnie cicho (28 dB), jednak przy normalnym ustawieniu mocy lampy generowany hałas staje się zauważalny (36 dB). Druga – mimo możliwości bezprzewodowego podłączenia np. słuchawek w codziennym użytkowaniu przeszkadzać może mała liczba dostępnych złączy. Do dyspozycji użytkownika są jeden port HDMI 1.4, stereofoniczne wyjście audio mini-jack oraz jeden port serwisowy USB 2.0 typu B. To zdecydowanie za mało jak na domową stację rozrywki. I minus trzeci: w zestawie próżno szukać okularów 3D.

Mimo tych minusów testowany model jest godny polecenia jako stosunkowo niedrogi sposób na stworzenie kina domowego, które w czasach pandemii zapewne jeszcze przez co najmniej kilka miesięcy będzie jedynym otwartym kinem w okolicy.

Cena: 3849 zł. ©℗ ***Jacek Przybylski***

# RĘCZNIE ROBIONY MOTOR

Xubaka. Tak nazywa się zaprezentowany przez francuską firmę Sodium Cycles niewielki elektryczny motor, który umożliwia pasywną regenerację energii. Takie rozwiązanie zwiększa zasięg ważącego 50 kg motoru, który wynosi od 60 do 80 km. Producent zapewnia, że ładowanie baterii przebiega bardzo szybko (od zera do 80 proc. w jedną godzinę). Prędkość maksymalna tego motocykla to 80 km/h. Według producenta klienci, którzy zdecydują się złożyć zamówienie, mogą liczyć na bezpośrednią współpracę z zespołem projektującym w celu spersonalizowania wyglądu motoru, wyboru jego koloru i montażu wybranych dodatków. Cena: 5,9 tys. euro. Każdy egzemplarz ma być projektowany i wykonany ręcznie.

# ŚWIECĄCE MASKI Z MIKROFONEM

Szczepienia ruszyły, ale pandemia koronawirusa nadal nie daje za wygraną. Producenci gadżetów zaprezentowali więc na targach CES 2021 kilka modeli „inteligentnych masek". Jednym z gadżetów tego typu jest maska o roboczej nazwie „Project Hazel". Opracowane przez firmę Razer urządzenie jest nie tylko zgodne ze standardem N95, lecz także w miejscu ust jest przezroczyste. Dodatkowo maskę wyposażono w mikrofon, wzmacniacz oraz podświetlenia RGB. Cena urządzenia oraz data premiery nie są jeszcze znane. ©℗

***Jacek Przybylski***

FOT. MATERIAŁY PRASOWE



eprasa.pl d9f679a473

## GRAMY Z WAMI OD LAT

PGNiG od 2010 roku jest sponsorem strategicznym polskiej piłki ręcznej. Nieprzerwanie już kolejny rok wspiera seniorskie reprezentacje Polski kobiet i mężczyzn, reprezentacje młodzieżowe, a także jest sponsorem tytularnym Superligi oraz Pucharu Polski kobiet i mężczyzn.

PGNiG

eprasa.pl d9f679a473

# Czy wróci duch drużyny trenera Wenty

Znakomite mecze, zwycięstwa i dużo emocji w rozgrywanych przez polskich szczypiornistów w Egipcie mistrzostwach świata dają nadzieję na powrót do dobrych i nie tak przecież odległych czasów, kiedy nasza piłka ręczna była niemal sportem narodowym. Chociaż seria sukcesów nie trwała bardzo długo, bo niespełna dekadę (2007–2016), to kibice zdążyli się do nich przyzwyczaić. A teraz liczą, że nie będą musieli czekać na kolejne medale wielkich turniejów tyle co pod koniec XX w., gdy prawie całe lata 80., a potem 90. ta dyscyplina nie tylko nie odnosiła żadnych sukcesów, lecz także była wypchnięta z kręgu zainteresowania telewizji i kibiców.

Powolne odradzanie się reprezentacji Polski zaczęło się na początku XXI w. W 2002 r. Polska po 12-letniej przerwie zakwalifikowała się do wielkiego turnieju, ale w mistrzostwach Europy w Szwecji nasz niedoświadczony zespół przegrał wszystkie trzy mecze. Nieco lepiej poszło w mistrzostwach świata 2003 w Portugalii, w których Polska wyszła z grupy. Także wtedy nie udało się jednak pokonać żadnego zespołu europejskiego. Podobnie zresztą jak w następnym roku w kolejnych ME, w których biało-czerwoni zajęli ostatnie miejsce. To było w styczniu, a już wiosną po przegranych kwalifikacjach do MŚ 2005 z funkcji selekcjonera zwolniono Bogdana Zajączkowskiego.

Jak pokazała przyszłość, mianowanie jego następcy okazało się kluczową decyzją w historii polskiej piłki ręcznej. Został nim 43-letni wówczas Bogdan Wenta, chyba najbardziej znany na świecie polski piłkarz ręczny, który od końca lat 80. występował na Zachodzie – w wielkich klubach hiszpańskich Bidasoa Irun i FC Barcelona, a potem w Bundeslidze – w Nettelstedt i Flensburgu.

Wenta nie miał dużego trenerskiego doświadczenia. W Niemczech jako kończący karierę zawodnik prowadził we Flensburgu grupy młodzieżowe i drużynę rezerw. Jednak jego nominacja wniosła do reprezentacji powiew świeżości oraz zupełnie inne spojrzenie na grę. – Bogdan przekonał nas, że indywidualnie jesteśmy tak samo dobrzy jak Niemcy, Szwedzi czy Duńczycy, tylko musimy razem stworzyć drużynę – mówił Grzegorz Tkaczyk.

To właśnie na takich zawodnikach jak Tkaczyk, Marcin Lijewski, Mariusz Jurasik czy Sławomir Szmal Wenta chciał budować reprezentację. – Oni wszyscy od dwóch, trzech lat występowali już w lidze niemieckiej i czuli w codziennych treningach i meczach, że te gwiazdy, które w Polsce można było wtedy najwyżej podziwiać w telewizji DSF, to tacy sami ludzie jak oni. Jasne, bardzo dobrzy zawodnicy, ale im też można było udowodnić swoją wyższość na boisku. W ten sposób kompleksy odchodziły precz – wspominał Wenta.

Do legendy przeszły opowieści o tym, w jakich warunkach powstawała tamta wielka drużyna. – Brakowało wszystkiego: piłek, strojów, odżywek.

O premiach za sukcesy nikt wtedy nawet nie myślał – mówił Tkaczyk.

Na pewno jednak nie brakowało jednego – zaangażowania i głodu sukcesów. – Mieliśmy wtedy po dwadzieścia kilka lat, graliśmy w Bundeslidze i widzieliśmy nie tylko, że nie odstajemy, lecz także czasem przewyższamy poziomem zawodników, których wcześniej się baliśmy – przyznawał Lijewski.

Pierwszym poważnym dowodem mocy i umiejętności polskich szczypiornistów było wyeliminowanie bardzo silnej wówczas Szwecji w kwalifikacjach do ME 2006. W Szwajcarii wreszcie udało się pokonać zespół z Europy – Ukrainę – ale to był dopiero wstęp


eprasa.pl d9f679a473

FOT. JAKUB GUCMA

do tego, co w polskim szczypiorniaku miało się wydarzyć. Rok później Polska zaszokowała wszystkich, zdobywając w Niemczech wicemistrzostwo świata i nagle z niszowej, spychanej na margines dyscypliny piłka ręczna stała się jednym z najpopularniejszych sportów w Polsce. Wielomilionowe widownie telewizyjne, największe hale wypełnione po brzegi nawet podczas meczów towarzyskich – cała Polska pokochała szczypiornistów za niesamowite emocje, które ekipa Wenty zapewniała niemal w każdym meczu z topowymi zespołami. Nie zawsze były sukcesy, tak jak wtedy w Niemczech czy dwa lata później w MŚ w Chorwacji (to właśnie w tamtym turnieju słynnego gola rzutem przez całe boisko strzelił Norwegom Artur Siódmiak).

Zdarzały się też niepowodzenia, jak choćby w pierwszym po 28 latach występie na igrzyskach olimpijskich, zakończonych wielkim rozczarowaniem po porażce w ćwierćfinale z Islandią.

Nieco gorzej zaczęło się dziać po ME 2010, w których Polacy zajęli czwarte miejsce. Mistrzostwa świata 2011 i mistrzostwa Europy 2012 kończyli poza czołową szóstką, ale apogeum smutku nastąpiło w przegranych w dramatycznych okolicznościach eliminacjach olimpijskich 2012. To był koniec pewnej ery, a przede wszystkim koniec Wenty jako selekcjonera. Reprezentacyjną karierę postanowiło zakończyć kilka gwiazd – Jurasik, Tkaczyk, Marcin Lijewski, a trenerem kadry został Niemiec Michael Biegler.

Mimo kilku ubytków drużyna wciąż pozostawała mocna, a celem głównym budowy nowej potęgi był rok 2016 – czyli mistrzostwa Europy w naszym kraju, a także awans i dobry występ olimpijski w Rio de Janeiro. O tym, że biało-czerwoni zmierzają w dobrą stronę, przekonywał kolejny medal mistrzostw świata, wywalczony na katarskich pustyniach brąz po horrorze z Hiszpanami, nawiązującym do najlepszych lat ekipy Wenty.

Z trzech celów na 2016 r. Bieglerowi było dane powalczyć tylko o ten pierwszy – niestety mistrzostwa Europy w Polsce naszej drużynie się nie udały i Niemiec przestał być selekcjonerem. Zastąpił go Talant Dujszebajew, z którym Polacy awansowali do Rio, a tam byli o krok od wielkiego finału. To był najlepszy turniej w karierze Karola Bieleckiego, który w kolejnych spotkaniach dokonywał cudów, ale skończyło się czwartym miejscem Polski, które dla dawnych „wentowców" oznaczało kres marzeń o olimpijskim medalu. Dla całej polskiej piłki ręcznej był to zresztą przełomowy moment. Gwiazdy były już wypalone, nie było ich stać nawet, żeby pomóc awansować do mistrzostw Europy 2018. Po fiasku w eliminacjach ostatecznie pas powiedzieli Bielecki, Krzysztof Lijewski, Michał Jurecki, Mateusz Jachlewski i Sławomir Szmal.

Zrezygnował też trener Dujszebajew.

Odbudowy reprezentacji podjął się Piotr Przybecki, który podobnie jak Wenta miał za sobą karierę w Niemczech. Nie dysponował jednak tak dobrymi zawodnikami. O ile bowiem sukcesy w minionej dekadzie spowodowały wzrost zainteresowania piłką ręczną sponsorów i nie było już problemów ze stroną organizacyjną, o tyle zupełnie zaniedbano ten okres szkoleniowo. Przybecki musiał szukać następców gwiazd w polskiej superlidze. Chociaż jednak krajowe rozgrywki z roku na rok stawały się coraz lepsze, to w czołowych klubach z Kielc i Płocka, występujących w Lidze Mistrzów, prym wiedli zawodnicy zagraniczni. Te kłopoty sprawiły, że zabrakło nas w kolejnych wielkich turniejach – mistrzostwach Europy 2018 i świata 2019.

Także następca Przybeckiego, Patryk Rombel, nie miał łatwego startu – przegrane wiosną 2019 r. mecze eliminacji ME 2020 z Niemcami dobitnie pokazały, w którym miejscu jest reprezentacja Polski. Chociaż chyba jeszcze mocniej świadczyły o tym remis z Kosowem i wymęczone zwycięstwo z Izraelem, czyli bardzo słabymi zespołami.

Kadra biła kolejne rekordy niepowodzeń – w długości serii porażek, braku zwycięstwa nad rywalem z Europy. Dużym problemem stał się brak klasowego środkowego rozgrywającego – najważniejszej postaci każdego zespołu. Polacy już od dawna prawie nie występowali też w mocnych klubach zagranicznych. Na domiar złego czołowym graczom przydarzyła się plaga poważnych kontuzji. Mimo to występ w mistrzostwach Europy 2020 – choć przy komplecie trzech porażek – udało się zakończyć dającym nadzieję na przyszłość wyrównanym meczem ze Szwedami. Nie bardzo było jednak gdzie szukać potwierdzenia tych nadziei, bo z powodu pandemii przez prawie rok nasza kadra nie rozegrała żadnego meczu.

W ostatnich tygodniach biało-czerwoni zaczęli jednak grać podczas przygotowań do MŚ 2021 w Egipcie i choć klasa rywali pozostawiała wiele do życzenia, to cieszyły kolejne zwycięstwa. O tym, że w kadrze coś drgnęło, przekonała wygrana na inaugurację turnieju z Tunezją, wyrównana, choć przegrana walka z jedną z najlepszych ekip, mistrzem Europy Hiszpanią, a chyba przede wszystkim fantastyczna gra i wysokie zwycięstwo z Brazylią.

W tych spotkaniach Polacy pokazali cechy, które przypominają dawną ekipę Bogdana Wenty – waleczność, zaangażowanie, poświęcenie w grze i wiarę w zwycięstwo do ostatniej sekundy. Chociaż umiejętności może jeszcze nie te, to widać światełko w tunelu i szansę na powrót do dobrych lat polskiej piłki ręcznej.

***Krzysztof Jaworski***

Partner Sekcji

PGNiG



eprasa.pl d9f679a473

# Cichy bohater drużyny

Firma wspierając sport, buduje rozpoznawalność marki i pozytywny jej odbiór. Zawodnicy, wraz ze sponsorem, zyskują stabilnego, wspierającego ich rozwój partnera. Biznes i sport. Idealne połączenie? Jedną z najciekawszych symbioz ostatnich lat jest związek PGNiG z polską piłką ręczną.

Związek ciekawy, dziś już ponad 10-letni, rozpoczęty w trudnych dla szczypiornistów okolicznościach.

## CUD W REPREZENTACJI

Cofnijmy się do 2007 r. Reprezentacja polskich piłkarzy ręcznych, pod wodzą Bogdana Wenty, zdobywa srebrny medal mistrzostw świata w Niemczech. Sukces jest niespodziewany, mówi się niemal o cudzie. Polscy szczypiorniści, przed zawodami niewymieniani nawet wśród faworytów, z dnia na dzień stają się bohaterami. Z czasem kibice doceniają nie tylko klasę drużyny, lecz także wytrwałość zawodników. Mecz z 2009 r., w którym szczypiorniści wywalczyli awans do półfinałów mistrzostw świata, i bramka z rzutu przez całe boisko, zdobyta w ostatnich sekundach spotkania, przez Artura Siódmiaka, to dziś jedna z legend polskiego sportu. Obok sukcesów są jednak problemy.

W październiku 2010 r. na jednej z konferencji prasowych zawodnicy pojawiają się w koszulkach z napisem: „ZPRP. Szanuj naszą pracę". Zarzucają Związkowi Piłki Ręcznej, że nie rozumie czasów, które wymagają szerokiej, multimedialnej promocji sportu, ich głównym zarzutem jest jednak doskwierający reprezentacji brak strategicznego sponsora. Sponsora, który wsparłby popularyzację odnoszącej sukcesy dyscypliny i pomógł zaszczepić pasję do szczypiorniaka m.in. wśród dzieci i młodzieży, dając tym samym szansę na jego rozwój także w przyszłości. Pojawia się zarzut o marnotrawienie z trudem wywalczonych sukcesów. Na wezwanie polskiej reprezentacji odpowiada PGNiG, od 2010 r. sponsor strategiczny polskiej piłki ręcznej.

## DŁUGOFALOWA STRATEGIA

PGNiG wspiera szczypiornistów od 10 lat. Seniorskie, młodzieżowe, a także juniorskie reprezentacje Polski kobiet i mężczyzn. Od 2016 r. jest także sponsorem tytularnym rozgrywek ligowych (PGNiG Superliga) oraz Pucharu Polski (PGNiG Puchar Polski). Firma zaangażowała się także w rozwój plażowej piłki ręcznej, co wydaje się szczególnie istotne w kontekście dyskusji o włączeniu tej dziedziny sportu do programu igrzysk olimpijskich w Paryżu w roku 2024. Myślenie perspektywiczne? Oczywiście. Jego elementem jest także wiele działań nie tylko promujących piłkę ręczną, lecz także zmierzających do po-

FOT. PIXSELL/MB MEDIA/GETTY IMAGES

ARTYKUŁ PROMOCYJNY



eprasa.pl d9f679a473

szukiwania wciąż nowych talentów, być może przyszłych mistrzów. W 2015 r. za pośrednictwem Fundacji PGNiG im. Ignacego Łukasiewicza rozpoczęto m.in. projekt „Ośrodki Szkolenia Sportowego

w Piłce Ręcznej". Program dofinansowania zadań związanych ze szkoleniem młodzieży w ośrodkach działających ze wsparciem jednostek samorządu terytorialnego umożliwia dostęp do aktywności fizycznej dzieciom i młodzieży. Zajęcia prowadzone są przez wykwalifikowanych trenerów, a zainteresowanie nimi duże, tym bardziej że w ciągu ostatnich lat piłka ręczna stała się jednym z najpopularniejszych sportów w Polsce, zaraz po skokach narciarskich, piłce nożnej i siatkówce.

## SPONSORING SIĘ OPŁACA

– Kiedyś było inaczej. Sponsorzy? Czasem ktoś rzucił 300 bidonów albo pożyczył samochód i koniec – wspomina lata 70. i 80. w polskim sporcie legenda kolarstwa, Czesław Lang, dodając, że najważniejsze było marzenie i pewność, że Polacy kochają kolarstwo. Szerzej? Polacy kochają sport. Od tego czasu wiele się zmieniło. Polacy wciąż kochają sport, w sporcie wciąż ważne są marzenia, ale czasy, gdy sponsorzy przekazywali reprezentacji co najwyżej 300 bidonów, jak widać, dawno już minęły. Dzisiaj sponsoring sportu to silna gałąź gospodarki, a jego fenomen polega na tym, że – jak przekonują specjaliści – firma dobrze inwestująca w sport może jedynie zyskać. Profity? Zwiększanie rozpoznawalności marki i budowa/umacnianie jej pozytywnego wizerunku, także możliwość dotarcia ze swoim przekazem, do wciąż zwiększającego się grona odbiorców, których klasyczne reklamy nie tylko nudzą, lecz także często wręcz zniechęcają. Firmy inwestujące w sport nie tylko mają ułatwiony dostęp do odbiorców, lecz także są przez nich mile widziane, gdyż – jak przekonują respondenci, m.in. CBOS – sponsoring sportowy poprawia kondycję polskiego sportu.

Siłą marketingu sportowego są także emocje. Sport to radość, czas spędzany z bliskimi i szlachetna rywalizacja. Podziw dla zawodników, szacunek dla ich walki, to wszystko w bardzo pozytywnym świetle stawia także sponsorów. Efekt? Firma, która wspiera sport, odbierana jest pozytywnie nie tylko przez klientów i partnerów biznesowych. Jest jeden warunek – sport musi być transparentny i wolny od dopingu. Dużo mniejszym problemem są dla kibiców, a więc i sponsorów kwestie takie jak np. chwilowy brak formy sportowca czy przegrane zawody. Wręcz przeciwnie. Kibic potrafi docenić zarówno wytrwałość sportowca w dążeniu do celu, jak i stałość jego sponsora, która odbierana jest jako dowód na to, jak poważnym może być on partnerem.

## NIEOGRANICZONE MOŻLIWOŚCI

Rynek sponsoringu oferuje wielkie korzyści. Czy chodzi tylko o pieniądze? Niekoniecznie. Sponsorowanie pozwala firmom łączyć zarabianie pieniędzy z celami społecznymi, takimi jak promocja samego sportu czy wychowanie młodzieży, czego relacja PGNiG z piłką ręczną jest dobrym przykładem. Dlaczego firma, która wcześniej sponsorowała już polski sport, m.in. wioślarzy olimpijczyków, skierowała tak duże środki właśnie na piłkę ręczną? – Sponsoring sportu to dla nas bardzo ważny obszar działań marketingowych i społecznych. Poprzez zaangażowanie w sport firma promuje ważne dla niej wartości i zasady takie jak fair play – mówi Paweł Majewski, prezes zarządu PGNiG. – Wspieramy drużyny, które swoją grą dostarczają Polakom pięknych emocji, inspirując i edukując w ten sposób młode pokolenia. Piłka ręczna to nie tylko jedna z najbardziej emocjonujących dyscyplin wśród sportów zespołowych, lecz także sport, w którym bardzo ważne są strategiczne myślenie, umiejętność wykorzystania potencjału i dynamiczne działanie. To cechy doskonale oddające charakter również PGNiG – dodaje. Poziom krajowych i międzynarodowych rozgrywek, zaangażowanie zawodników i wyjątkowa atmosfera na trybunach przekładają się na wzrost zainteresowania piłką ręczną, stwarzając jednocześnie doskonałą okazję do dalszej promocji PGNiG jako marki nowoczesnej i dynamicznej. Jest też przesłanka sentymentalna. Historia polskiej piłki ręcznej sięga czasów odzyskiwania przez Polskę niepodległości. Grali w nią legioniści internowani w obozie w Szczypiornie, od którego sport ten wziął swoją polską nazwę. Firma „z dumą wspiera dyscyplinę, która ma taką historię".

Dynamika gry, emocje, tradycja. To ważne, ale jest coś jeszcze. Hart ducha zawodników. Widzieliśmy go w 2009 r., gdy w grze o półfinał do ostatniej chwili nie dawali za wygraną. Widzieliśmy go także u jednego z najlepszych polskich zawodników, Karola Bieleckiego, który podczas meczu stracił oko i mimo iż lekarze początkowo nie dawali szans na powrót do zawodowego uprawiania sportu, nie tylko wrócił, lecz także jeszcze w 2016 r. został królem strzelców podczas turnieju olimpijskiego w Rio de Janeiro. Media pisały: „Chłopak z Sandomierza podbił świat i udowodnił, że niemożliwe nie istnieje". Jak nie kochać piłki ręcznej? Tym bardziej że trwają właśnie mistrzostwa świata i polska drużyna nie tylko w nich gra, ale i… cisza… nie chcemy zapeszyć.


eprasa.pl d9f679a473

FOT. ADOBE STOCK

# Obowiązują, choć z ograniczeniem

**Z Bartłomiejem Chmielowcem, rzecznikiem praw pacjenta**
*rozmawia Katarzyna Pinkosz*

**KATARZYNA PINKOSZ: Czy w czasie epidemii COVID-19 prawa pacjenta jeszcze obowiązują?**

**BARTŁOMIEJ CHMIELOWIEC:** Obowiązują, jednak są często naruszane – zwłaszcza prawo do świadczeń zdrowotnych. Artykuł 5 ustawy o prawach pacjenta i Rzeczniku Praw Pacjenta wskazuje, że w sytuacji pandemii prawa te mogą być ograniczone. Podkreślam jednak słowo „ograniczone": pacjent nie może być ich całkiem pozbawiony. Decydując się na ograniczenie praw pacjenta, placówka medyczna powinna zadbać, by było to jak najmniej uciążliwe dla pacjentów.

**Pacjenci nadal mają problem z dostaniem się na wizytę osobistą do lekarza. Czy pacjent dziś ma do niej prawo?**

Lekarz powinien „rozpoznać potrzebę pacjenta" i zdecydować, czy wystarczająca będzie teleporada, czy jednak niezbędna jest wizyta osobista. Pacjent ma do niej prawo, jeśli wynika to ze stanu jego zdrowia. O tym, czy teleporada jest wystarczająca, każdorazowo decyduje lekarz, który za tę decyzję bierze pełną odpowiedzialność.

**Teleporady są jednak nadal zdecydowanie nadwykorzystywane: mówi o tym m.in. zespół ekspertów Continue Curatio. Co może zrobić pacjent, jeśli teleporada nie wystarcza, nadal źle się czuje?**

Teleporada bywa doskonałym rozwiązaniem, np. dla osób przewlekle chorych, starszych, które mają problem z przemieszczaniem się, a także pacjentów z małych miejscowości. Są jednak sytuacje, kiedy konieczna jest wizyta osobista. Jeśli jej się odmawia, a stan zdrowia pacjenta jest zły, to zachęcam do kontaktu z nami, np. poprzez infolinię: 800 190 590. Wielokrotnie interweniowaliśmy w takich sprawach, np. w dramatycznej sytuacji, kiedy placówka medyczna odmówiła przyjęcia małego dziecka, które połknęło ostry przedmiot. Takie sytuacje są niedopuszczalne.

Pacjent może się też udać do innej placówki, np. po godz. 18 w ramach nocnej i świątecznej opieki zdrowotnej. Może też skorzystać z teleporady przez stronę pacjent.gov.pl. Ma prawo zmienić placówkę medyczną, w której się leczy. Jednak w nagłej sytuacji trzeba reagować natychmiast. Pomagaliśmy za każdym razem i nadal będziemy to robić.

**Jak szybko reagujecie?**

Jeśli to konieczne, to natychmiast. Dzwonimy do placówki, do jej kierownika, do NFZ. Są też interwencje, które mają charakter systemowy, np. gdy pacjenci danej przychodni skarżą się, że nie mogą dodzwonić się do rejestracji. Sprawdzamy, czy to prawda, a jeśli tak, to wszczynamy sprawę o naruszenie zbiorowych praw pacjenta. Jeśli placówka nie zmieni postępowania, to grozi jej kara finansowa. Kierownicy przychodni muszą zdać sobie sprawę, że większość pacjentów chce dziś rejestrować się telefonicznie lub internetowo, dlatego nie może odbierać telefonu tylko jedna osoba, tak jak kiedyś. Być może trzeba zmienić system, zatrudnić dodatkowe osoby na infolinii. Kierownik placówki odpowiada za to, by pacjent mógł skontaktować się z przychodnią.

**W 2020 r. zmarło ponad 60 tys. osób więcej niż w ubiegłych latach, co spowodował nie tylko**



eprasa.pl d9f679a473

**COVID-19, lecz także ograniczenie pacjentom prawa do opieki medycznej.**

Służba zdrowia w czasie epidemii wymagała ukierunkowania na walkę z wirusem SARS-CoV-2. Spowodowało to ograniczenia w dostępie do niektórych świadczeń zdrowotnych, wydłużenie czasu oczekiwania na poradę lub zabieg w szpitalu. Z opóźnieniem diagnozowane były np. choroby nowotworowe. Epidemia i jej konsekwencje z pewnością negatywnie wpłynęły na stan zdrowia Polaków. Dokładna analiza wszystkich przyczyn wymaga pogłębionej i szczegółowej analizy. Wiem, że zajmuje się tym m.in. Narodowy Instytut Zdrowia Publicznego-Państwowy Zakład Higieny.

**Do szpitala wciąż nie może wejść rodzina pacjenta, choć wiadomo, że obecność bliskich pomaga w procesie zdrowienia. Czy stan pandemii usprawiedliwia te ograniczenia?**

Artykuł 5, o którym wspominałem, mówi, że w sytuacji pandemii można ograniczyć niektóre prawa pacjenta. Jednym z nich jest możliwość kontaktu z pacjentem w szpitalu. Ograniczenia zostały wprowadzone, by zmniejszyć rozprzestrzenianie się koronawirusa, zwłaszcza w szpitalach. Powinno to jednak być ograniczenie, a nie całkowicie zakazane. Kierownicy placówek powinni np. ułatwiać pacjentom kontakt telefoniczny z bliskimi, przekazywać rodzinom informacje przez telefon, jak również – w miarę możliwości – umożliwiać wizyty osobiste, zapewniając środki ochrony osobistej, stosując reżim sanitarny, do którego osoby odwiedzające mają obowiązek się stosować. Podejmowaliśmy działania, gdy niektóre placówki całkowicie się zamknęły, nie umożliwiały nawet rodzinom pożegnania bliskiej osoby w stanie terminalnym. Artykuł 5 mówi o ograniczaniu praw w przypadku pandemii, nie można go jednak traktować w taki sposób, że wolno wszystko. Można ograniczyć prawo kontaktu z osobą bliską, jednak nie wolno całkowicie go pozbawić.

**Przed niektórymi przychodniami rano ustawiają się kolejki pacjentów, teraz na mrozie. Nie każda starsza osoba potrafi się dodzwonić, skorzystać z Internetu.**

Interweniujemy również w takich przypadkach. Na początku pandemii takie sytuacje można jeszcze było jakoś zrozumieć, dziś jednak placówki medyczne powinny już lepiej dawać sobie radę. Nie może być tak, że w zimie stoi na zewnątrz grupa starszych pacjentów i czeka nie wiadomo jak długo, by się zarejestrować. Jeśli takie sytuacje się zdarzają, to zachęcam, by do nas dzwonić.

**Do osób szczepionych z grupą medyków dołączeni zostali rodzice wcześniaków, którzy do tej pory mieli bardzo ograniczone kontakty z dziećmi. Mają nadzieję, że po zaszczepieniu to się zmieni. Czy jednak osoba zaszczepiona powinna mieć inne prawa niż niezaszczepiona?**

To trudna sytuacja, ważna jest ochrona przed rozprzestrzenianiem się koronawirusa, nie można jednak zabronić rodzicom odwiedzania dzieci. W tej sprawie są wytyczne konsultanta krajowego w dziedzinie neonatologii. Rolą placówki jest takie zorganizowanie pracy, by rodzic mógł odwiedzić wcześniaka. To samo dotyczy dzieci chorych onkologicznie. Oczywiście nie jest możliwe, by rodzice przez cały czas byli z dziećmi, jak to było przed pandemią, jednak odwiedziny są konieczne. Placówka medyczna powinna to zapewnić. Epidemia trwa prawie rok – powinniśmy mieć już procedury, środki zabezpieczenia dla rodzin.

**Czy popiera pan pomysł „paszportu osoby zaszczepionej" i innych praw dla osób, które się zaszczepią?**

Artykuł 68 Konstytucji RP jasno wskazuje, że władze publiczne zapewniają równy dostęp do świadczeń opieki zdrowotnej finansowanej ze środków publicznych. Potrzebne są tu rozwaga i zdrowy rozsądek. Zdecydowana większość społeczeństwa nie miała jeszcze szansy zaszczepić się przeciwko COVID-19. To kwestia praw konstytucyjnych i równości wobec prawa. Bałbym się o osoby, które jeszcze nie miały szans się zaszczepić lub nigdy nie będą mogły tego zrobić ze względu na przeciwskazania. Potrafię sobie wyobrazić różne scenariusze, ale musimy o tym rozmawiać i proponować rozwiązania zgodne z prawem i sprawiedliwe.

**Powstaje długo oczekiwany Fundusz Kompensacyjny za niepożądane odczyny poszczepienne. Kto będzie mógł dostać odszkodowanie?**

Cieszę się, że minister Niedzielski ma świadomość potrzeb w tym zakresie i rozumie naszą wspólną odpowiedzialność wobec pacjentów.

Projekt jest na razie w fazie prac legislacyjnych. W 2021 r. będzie on dotyczył osób zaszczepionych na COVID-19, a od 2022 r. – wszystkich osób, które miały obowiązkowe szczepienia. O odszkodowanie będą mogły się ubiegać osoby, u których wystąpił niepożądany odczyn poszczepienny i spowodował konieczność pobytu w szpitalu dłuższego niż 14 dni. Drugim przypadkiem jest wystąpienie po szczepieniu wstrząsu anafilaktycznego i z tego powodu konieczność przebywania na obserwacji w SOR, izbie przyjęć lub hospitalizacji (do 14 dni). Pacjent (lub jego rodzina) będzie mógł złożyć wniosek do Rzecznika Praw Pacjenta, z dołączeniem dokumentacji medycznej. W rozpatrywaniu wniosku wesprze nas zespół specjalistów, ponieważ trzeba zaopiniować, czy dane zdarzenie ma związek ze szczepieniem.

**Niełatwo będzie można dostać odszkodowanie. Czternaście dni w szpitalu lub wstrząs anafilaktyczny: to musi być poważny NOP?**

Nie chodzi tu oczywiście o takie niepożądane odczyny jak obrzęk w miejscu ukłucia, przemijający ból głowy czy gorączka. Analiza przepisów systemów funkcjonujących na świecie (obowiązywały one przed pandemią w 25 krajach; w tym w 11 państwach UE) wskazuje, że we wszystkich jest pewien próg, kiedy można ubiegać się o odszkodowanie; najczęściej jest nim uszczerbek na zdrowiu. W Niemczech, żeby otrzymać odszkodowanie, trzeba w wyniku szczepienia być przez sześć miesięcy osobą niepełnosprawną; w Norwegii – mieć co najmniej 15 proc. uszczerbku na zdrowiu.

**Trudno jest być rzecznikiem praw 35 mln osób, bo przecież wszyscy bywamy pacjentami?**

To duża odpowiedzialność. Chciałbym, żeby wiele rzeczy się zmieniło, jeśli chodzi o system ochrony zdrowia, otrzymuję wiele sygnałów, co trzeba zmienić, i pytań, dlaczego dzieje się to tak wolno. Zawsze powtarzam – formalnie jesteśmy centralnym organem administracji rządowej, ale w istocie jesteśmy po to, by pomagać i udzielać wsparcia. Od początku pandemii do końca grudnia podjęliśmy ponad 7,2 tys. interwencji, sprawdziliśmy ponad 500 poradni POZ, wszczęliśmy ponad 200 postępowań zbiorowych wobec placówek, które w naszej ocenie w tym okresie łamały prawa pacjenta. Zawsze stoję po stronie pacjenta, gdy jego prawa są naruszane.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

*Bartłomiej Ł. Chmielowiec*
*radca prawny,*
*od października 2017 r.*
*jest Rzecznikiem Praw Pacjenta*



eprasa.pl d9f679a473

JACEK KOMUDA

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

# Okopy św. Trójcy

Jedną z najbardziej niezwykle położonych fortyfikacji Korony Polskiej były okopy zwane Kozaczówką, a także Okopami Świętej Trójcy. Obronnością miejsca i widokami ustępują one do dziś chyba tylko Kamieńcowi Podolskiemu, gdyż położone są pomiędzy Dniestrem a Zbruczem. W samym ujściu tego ostatniego zbliża się on, meandrując, do Dniestru powyżej Chocimia, zatacza łuk i zakręca. W miejscu, gdzie obie rzeki dzieli odległość tylko nieco ponad 200 m, na wysokiej górze, ok. 1664 r., gen. Marcin Kątski wzniósł szaniec mający chronić jego włości przed Tatarami i Kozakami. Czterdzieści lat później, w roku 1692, z polecenia króla Jana III Sobieskiego hetman Stanisław Jabłonowski zbudował tutaj fortecę. Jak podaje „Słownik geograficzny Królestwa Polskiego…", wały sypano przez sześć tygodni. Pod koniec października twierdza została ukończona i obsadzona przez wojsko. Z dwóch stron – od zachodu i wschodu – broniły jej wały i nieregularne bastiony, wzmocnione murowanymi bramami. Z dwóch pozostałych zabezpieczały palisady, gdyż urwiste i skaliste zbocza opadające na brzegi Dniestru i Zbrucza uniemożliwiały jakikolwiek atak. Fortecę zwano „Okopem góry św. Trójcy", komendantem został mianowany Michał Brandt, jeden z najzdolniejszych oficerów polskich przełomu wieków XVII i XVIII.

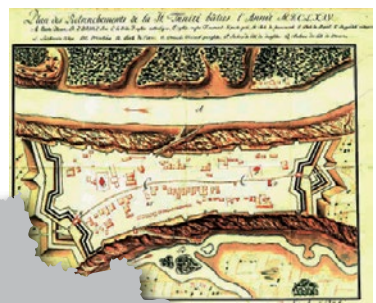

FOT. DOMENA PUBLICZNA

Okopy św. Trójcy wzniesiono w celu blokowania Kamieńca Podolskiego, utraconego w 1672 r., który był zbyt potężną twierdzą, aby armia koronna mogła zdobyć go szturmem. Stały się częścią otaczającego systemu fortyfikacji, z których wypadały chorągwie polskie, nie dopuszczając do sprowadzenia posiłków i żywności do twierdzy. Atakowały one tabory i patrole tureckie, chcąc zmusić głodem obrońców do poddania się. Dlatego w okopach przebywała załoga składająca się z arkebuzerów i kilku chorągwi polskich – głównie pancernych i lekkich, pod dowództwem Jakuba Kalinowskiego, cześnika halickiego i później Konstantego Zahorowskiego. Wypadając poza wały, dzielnie wycinała Turków, biorąc przy tym licznych jeńców. Wkrótce też twierdza zmieniła się w małe miasteczko. Już po odzyskaniu Kamieńca, w 1700 r., król August II Sas obdarzył Marcina Kątskiego przywilejem, pozwalając na ufundowanie tutaj miasta św. Trójcy z obowiązującym prawem magdeburskim. Mieszkańcy, jak czytamy w danych aktach, mieli przywilej organizacji cotygodniowego targu oraz dwóch jarmarków w roku. Jednocześnie, ponieważ było to miejsce obronne i na południowej granicy państwa, przez prawie cały wiek XVIII utrzymywano tutaj wojskową załogę, a wały obsadzone były działami. Dodatkowo znajdowała się w okopach komora celna. W 1674 r. sejm przeznaczył spore środki na odbudowanie i wzmocnienie twierdzy.

Dalsze losy fortyfikacji były takie jak wielu budowli na kresach – niezmiernie burzliwe. Odbudowaną warownię zajęli w 1769 r. konfederaci barscy pod wodzą Kazimierza Puławskiego i odpierali tutaj ataki wojsk moskiewskich. Niestety przeciwnicy zajęli twierdzę, zabijając ok. 200 konfederatów, z których część zginęła w kościele. Bronili się bowiem tak zaciekle, że Rosjanie podpalili i zburzyli świątynię.

W 1772 r., po pierwszym rozbiorze, okopy, a w zasadzie Święta Trójca, zostały zagrabione przez Austrię, która nie była zainteresowana utrzymywaniem tutaj twierdzy. Mury i wały zostały zburzone, ocalały tylko dwie bramy: Brama Lwowska i Brama Kamieniecka, które i tak stały opuszczone oraz zniszczone. Częściowo odbudowały je i zrekonstruowały w latach 1870–1874 lokalne władze polskie.

Po traktacie w Rydze w 1921 r. okopy powróciły pod władzę Rzeczypospolitej. Ponieważ granica biegła teraz wzdłuż Zbrucza i Dniestru, znajdował się tutaj najbardziej wysunięty na południowy wschód punkt Polski. Dlatego zbudowano w tym miejscu strażnicę Korpusu Ochrony Pogranicza. Znacznie wcześniej, bo ok. 1903 r., odbudowano kościół spalony i zniszczony w czasie konfederacji barskiej. Już jednak w 1939 r., po agresji ZSRS, został opuszczony, ostateczny cios zadała mu zaś UPA, paląc w 1943 r. zabudowania. Za czasów sowieckich był przeznaczony na magazyn, odbudowano go po raz kolejny dopiero w 2013 r.

Dzisiaj z dawnych okopów pozostały dwie bramy i fragmenty kamiennych umocnień. Jest to jednak miejsce obowiązkowe do odwiedzenia w czasie podróży do Chocimia lub Kamieńca, gdyż zachował się tam niezwykły klimat dawnych kresów Rzeczypospolitej i są tam niesamowite widoki. ©℗



eprasa.pl d9f679a473

# TOMASZ SKOBEL ZAPRASZA W KULINARNĄ PODRÓŻ

Przepis na kotleciki jagnięce wpadł mi do głowy podczas jednej z konkurencji w programie „MasterChef", którego tematem była podróż, w którą za pomocą dań mieliśmy zabrać jurorów. W trudnych czasach pandemii smak potraw może nam przypomnieć o naszych podróżach lub zabrać nas choć na chwilę w miejsca, o których marzymy, które chcielibyśmy kiedyś zobaczyć. Inspiracją przepisu była podróż na koniec świata – do Australii. Kraina kangurów, Aborygenów – tak odległa, tak wymarzona przez wielu, w tym i mnie.

## Kotlety jagnięce z miętowym purée z selera, kuskusem oraz marynowanym mango i cukinią

### Składniki:

- 3 kotleciki jagnięce z kością (1 porcja)
- 1 seler
- 100 g kuskusu
- po pęczku świeżych ziół: tymianek, mięta, rozmaryn, majeranek
- 1–2 liście laurowe
- 2–3 ziela angielskie
- ¼ mango
- ¼ cukinii
- oliwa
- 50 ml śmietanki 18-procentowej
- 50 ml mleka
- 50 ml octu winnego
- 50 g cukru
- 1 cytryna
- 25 g masła
- sól, pieprz

### Przygotowanie:

Robimy marynatę: oliwę mieszamy z częścią posiekanych ziół, wrzucamy kotleciki i marynujemy ok. 30 min.

W garnku zagotowujemy marynatę, dodajemy ocet winny, cukier, wodę (też 50 ml), ziele angielskie i liście laurowe. Gdy marynata się zagotuje, zalewamy nią pocięte w paseczki cukinię i mango.

W osobnym garnku gotujemy pokrojony na drobne kawałki seler, po wystudzeniu dodajemy kilka listków mięty i wszystko blendujemy na gładką masę. Dodajemy sól, pieprz, mleko i śmietanę, znowu blendujemy.

Odmierzamy taką samą ilość wody jak kuskusu, zagotowujemy wodę, zalewamy nią kuskus i czekamy, aż kasza wchłonie całą wodę.

Siekamy zioła, dodajemy do kaszy razem z masłem, wszystko mieszamy. Przed podaniem skrapiamy sokiem z połowy cytryny.

Rozgrzewamy patelnię i smażymy kotleciki jagnięce po minucie z każdej strony. Zdejmujemy z patelni i dajemy mięsu odpocząć 2–3 min. Po tym czasie całość wykładamy na talerz. ©℗

***oprac. raw***
***Tomasz Skobel jest kucharzem, uczestnikiem programu „MasterChef".***

FOT. TVN SA

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

# Postanowienia 2021

New York Times" pisze o niejakiej Elizabeth Chai, graficzce z Portland, która w Nowym Roku powzięła postanowienie, że przez rok nic nie kupi. To znaczy – nic z ubrań, elektroniki, lecz tylko najniezbędniejsze rzeczy: jedzenie, lekarstwa, przybory toaletowe, żarówkę. Pani Chai postanowiła również pozbyć się z domu wszystkich przedmiotów, które nie są niezbędne. Do tej pory usunęła, sprzedała lub wyrzuciła 2 tys. rzeczy. Cel – zmniejszając konsumpcję, przyczynić się do zmniejszenia katastrofy klimatycznej.

Ktokolwiek był w amerykańskim domu, przyzna, że jest tam zazwyczaj dużo więcej rzeczy niż na przykład mamy my, w Polsce, w domu mieszkańców o podobnym statusie społecznym. Rzeczy ładnych, brzydkich, nowych, starych, nieważne – tam wszędzie widać siłę nabywczą dolara. Zawsze mówi się i mówiło, że w Ameryce wszystkiego jest więcej i wszystko jest większe. Pamiętam, że kiedy w latach 70. znajomy wrócił z rocznego stypendium w Stanach, jednym z jego spostrzeżeń było, że Amerykanie mają wszystkiego dużo, dużo więcej. My to wiedzieliśmy bez przeprawiania się przez Atlantyk... Ameryka była dla Polaków zawsze obiektem podziwu i zazdrości.

Od tamtego czasu sporo się zmieniło. U nas, bo jesteśmy znacznie bogatsi właśnie konsumpcyjnie, ale i u nich. Tylko w którą stronę? Właśnie. Pod artykułem o pani Chai jest 630 komentarzy. Oto pisze Heather z San Diego: „53 proc. Amerykanów żyje od wypłaty do wypłaty. Wielu z nich brakuje podstawowych rzeczy. Trzymają ręce w kieszeniach, bo nie stać ich na rękawiczki. Rozpadające się buty mają posklejane taśmą. Stąpają po zniszczonych schodach, a w oknach wstawiają karton zamiast szyb. Zardzewiałe piecyki gazowe, migoczące telewizory, rozpadające się komputery. Mieszkają w nędznych mieszkaniach, które właściciele naprawiają niechlujnie i niechętnie...".

FOT. ADOBE STOCK

Pani Chai i wpis Heather z bogatej Kalifornii to dwie odsłony tej samej rzeczywistości. „Punkt widzenia zależy od punktu siedzenia" – jak mówi powiedzenie. Każdy widzi bliższy mu fragment. „NYT", liberalna gazeta, głos nowojorskich elit, widzi pół szklanki pełne. Styl życia, wyrafinowane przepisy kulinarne, najlepsze restauracje. Pani Heather, też zresztą czytelniczka, z zamożnej Kalifornii, widzi tę pustą część szklanki. Jej bohaterom potrzeba wielu rzeczy, których pozbywa się pani Chai.

Myślę, że cokolwiek postanawiamy nowego na rok 2021, powinniśmy wziąć pod uwagę te dwa punkty widzenia. Znajdujemy się, zdaje się, w połowie drogi między nimi. ©℗





eprasa.pl d9f679a473

IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

# Pieskie życie

Dość nieoczekiwanie i trochę wbrew sobie zostałem psiarzem. Oznacza to, że jestem niewolnikiem psa. Cała nasza rodzina jest. Planujemy życie tak, żeby nasz nowy członek społeczności był zadowolony, spełniony, wybiegany i wysiusiany. Nasze potrzeby schodzą na dalszy plan.

Niezbyt mi się to podoba, bo przez poprzednie 11 lat takim pępkiem świata był nasz syn. Nawet moje życie towarzyskie było ustawiane pod niego (kumplowanie się z rodzicami jego kolegów i koleżanek), więc teraz, kiedy jest już w miarę samodzielny, realizowałem tajny plan, żeby dążyć do świętego spokoju. Niestety plan spalił na panewce. Rodzina zapragnęła psa, a ja jako demokrata się na to zgodziłem. Kolejny argument przeciwko demokracji.

Nie jest oczywiście tak strasznie. Po pierwsze, kochamy nasze psisko. Po drugie, znacznie więcej się ruszamy – nasz pies to mieszaniec malamuta z husky, więc musi dużo biegać, a naszym psim obowiązkiem (wreszcie zrozumiałem, skąd wzięło się to powiedzenie) jest mu to zapewnić. Po trzecie wreszcie, poznałem zupełnie nieznany mi dotychczas świat psiarzy i jest to ciekawe doświadczenie.

Przede wszystkim społeczność ta potwierdza socjologiczne obserwacje, że jeżeli grupa jest odpowiednio liczna, to zaczyna się dzielić na frakcje. Pola podziału mogą być różne, na przykład który park jest lepszy na spacery z psami. Znam zwolenników parków X i Y, którzy nawzajem twierdzą, że psiarze z tego drugiego parku są trochę dziwni, a fajniejsi ludzie wybierają nasz park. Trochę jak ze skeczu kabaretu Dudek o dwóch konkurencyjnych kolejkach.

To jest jednak podział regionalny. Najistotniejszy jest ten dotyczący gabarytów. Wielu właścicieli (czy może trafniej byłoby napisać – właścicielek) małych i malutkich piesków żyje w przekonaniu, że wszystkie większe stworzenia są tylko po to, żeby mordować ich pupilków. Kiedy tylko w pobliżu pojawia się pies słusznych rozmiarów, wpadają w panikę i zaczynają piszczeć. A jeśli – nie daj, Boże – stwór zbliża się do sensu ich życia, to same zaczynają go dusić, ciągnąc do góry za smycz, tak że biedactwu oczka wychodzą z orbit. Kiedy piesek już zostaje wciągnięty na ręce, przystępują do kontrataku, oskarżając intruzów o próbę zabójstwa. Z kolei właściciele dużych psów uważają te małe za szczekające koty – jazgotliwe, hałaśliwe i zdradzieckie stworzenia, które gryzą z powodu swoich kompleksów, a potem obłudnie udają ofiary napaści.

Oczywiście, taki opis jest niesprawiedliwy i generalizujący. Wystarczyło jednak, że jako właściciel poczciwego giganta dwa czy trzy razy zostałem obsobaczony (i znów zrozumiałem właściwe znaczenie tego słowa!) przez paniusię ze szczekającym kotem, i już mentalnie zapisałem się do kynologicznych Hutu. Na pohybel Tutsi! ©℗

MARCIN MAKOWSKI

JAK MAKIEM ZASIAŁ

# Jak nie obalić patriarchatu

Ponieważ poziom świadomości w kwestii bezpieczeństwa w sieci jest u polskich polityków szczątkowy, raz po raz na światło dzienne wychodzą kwiatki takie jak ten dotyczący Marka Suskiego. Były minister miał paść ofiarą ataku hakerskiego, w wyniku którego na jego profilu twitterowym opublikowano półnagie zdjęcia jednej z radnych koalicyjnego Porozumienia. Kobieta twierdziła, że zdjęcia zostały wykorzystane bez jej zgody, przy okazji padając ofiarą niewybrednych żartów. I tutaj pełna zgoda ze wszystkimi, którzy apelowali o nieupublicznianie fotografii oraz powstrzymanie się od seksistowskiego rechotu – czyjaś przestrzeń intymna została wystawiona na światło dzienne, a prawo do prywatności pogwałcone.

Sposób, w który na problem postanowiła odpowiedzieć część działaczek młodej Lewicy, jest jednak tak kuriozalny i kontrskuteczny, że wymaga osobnego opisania. „W solidarności ze wszystkimi kobietami, których intymne zdjęcia zostały upublicznione bez ich zgody. Przemoc wobec kobiet ma wiele wymiarów, a to jeden z nich. Dziewczyny, nie dajmy się!" – napisała jedna z aktywistek, zamieszczając odważne selfie. I tak ruszyła akcja, pod którą podpięła się znana skądinąd działaczka SLD, Justyna Klimasara. „Zdjęcia typu »nudes« mogą być wrzucane świadomie i za zgodą fotografowanej. Kobiety, które atakują inne kobiety za »nudesy«, to strażniczki patriarchatu. Promują uproszczony obraz świata, a w tym świecie, jeśli pokazujesz trochę ciała, to możesz być poniżany i szufladkowany. Potem będzie już tylko usprawiedliwianie gwałtów, bo miała krótką spódniczkę" – zadeklarowała, publikując kilka zdjęć w bieliźnie w aranżacji łazienkowej oraz sypialnianej.

Oczywiście do akcji z największą sympatią podeszły tabloidy, które otrzymały wszystko na tacy. „Rozebrała się w słusznej sprawie" – donosił „Fakt", dodając, że wszystko uczyniono w szczytnym celu oraz w „obronie radnej prawicy, której skradziono sekszdjęcia". Tak też w walce o uprzedmiotowienie nagości w Internecie bronią okazała się nagość, ale taka z dopiskiem „seksiści dupa cicho" – widniejącym przy komentarzu innej z kobiet, która nie pokazała twarzy, ale postanowiła odsłonić inne części ciała. W sumie, co nam do tego, jakie zdjęcia chcą publikować kobiety? – można słusznie zapytać. Generalnie nic, to ich sprawa, ale jeśli ktoś przy okazji uważa, że pokazanie stanika w mediach społecznościowych stanowi „rozgrzewkę przed obaleniem patriarchatu", to chyba nie do końca rozumie, na czym poleca patriarchat i jak działają media społecznościowe. „Przestańcie skupiać się na naszych ciałach i zacznijcie ścigać przestępców seksualnych" – zaapelowała lewicowa aktywistka Maja Staśko, wrzucając nagie, ale jednak odpowiednio ocenzurowane zdjęcie. Czy tylko ja widzę tutaj subtelną sprzeczność? ©℗



eprasa.pl d9f679a473

JOANNA SIEDLECKA

Z INNEJ PERSPEKTYWY

# Żona „kata Berezy”

Władysław Broniewski, autor „Słowa o Stalinie”, cenił bardzo swą legionową przeszłość, uratował więc od głodowej śmierci albo końcówki w najnędzniejszym przytułku panią Annę Biernacką, żonę swego legionowego kolegi – Kostka Biernackiego, uważanego powszechnie za twórcę i komendanta oraz „kata” z Berezy Kartuskiej (obozu odosobnienia dla przeciwników politycznych II Rzeczypospolitej), choć nadzorował go tylko jako wojewoda poleski. Podczas wojny został internowany w Rumunii, w 1945 r., po zajęciu jej przez komunistów, wydano go nowym polskim władzom. Uznały go za uosobienie zbrodniczości sanacyjnego reżimu. Osadzono w więzieniu przy Rakowieckiej. Dopiero po ośmiu latach odsiadki, w 1953 r., skazano go na karę śmierci, w drodze łaski, ze względu na stan zdrowia (bo już na rozprawę wniesiono go na noszach), zamienioną na 10 lat więzienia. Jego śledztwo prowadził sadystyczny płk Jacek Różański, brat Jerzego Borejszy. Biernacki był torturowany, karany betonowym karcerem. Chorował więc właściwie na wszystko – reumatyzm, gościec, rozedmę płuc, padaczkę, miał odbite nerki, wybite zęby. Siedział, a właściwie już tylko leżał, w celi razem z hitlerowskim zbrodniarzem Erichem Kochem, a potem w 20-osobobowej, m.in. z mjr. Zygmuntem Szendzielarzem „Łupaszką”, poetą Jerzym Braunem, AK-owcami z „Zośki” i „Parasola”. Był również pisarzem, oddano więc na przemiał i objęto zapisem jego książki „Diabła zwycięzcę”, legionową poezję. Mówił, że stalinowskiego więzienia nie da się nawet porównać z Berezą, gdzie siedziało się najwyżej pół roku i gdzie zmarło – na skutek chorób, a nie tortur – ośmiu więźniów.

Dramatyczny był również los jego żony – Anny z Sokólskich Biernackiej. Podobnie jak Kostek działaczki PPS, organizacji Rodzin Wojskowych, odznaczonej Krzyżem Walecznych, Niepodległości i Orderem Virtuti Militari, wykształconej. Groziło jej aresztowanie, wyrzucono ją z wilczym biletem z GUS, gdzie pracowała, i nikt nie chciał jej zatrudnić. Żeby mieć na czynsz, podnajęła swój pokoik w kołchozowym mieszkaniu. Broniewski, co było nie lada wyczynem, w 1950 r. załatwił jej posadę w bibliotece Związku Literatów. Był noszonym na rękach czołowym poetą proletariackim i nikt nie mógł mu odmówić – ani sekretarz generalny Związku Jerzy Putrament, ani nawet sama płk Julia Brystigerowa z MSW. Pani Anna nie mówiła, kim jest, ale w Związku Literatów nic się nie ukryło i oburzeni członkowie partii domagali się nie tylko zwolnienia „faszystki”, lecz także wysiedlenia jej poza Warszawę jako „wroga ludu”. Stefan Żółkiewski, jeden z czołowych nadzorców literatury, sprawdzał, czy nie gromadzi „reakcyjnych” książek. Domagał się wyrzucania nawet przedwojennych słowników. Partyjni janczarowie z Koła Młodych kradli na jej dyżurach cenne książki, za które potrącano jej z pensji, ale nigdy się nie skarżyła, cieszyła się, że dzięki parasolowi Broniewskiego dociągnęła do 1964 r., do emerytury.

Z trudem się już poruszała, miała opuchnięte nogi, była bardzo otyła, ale nie dlatego, że jadła dużo, tylko nędznie i źle. Nie kupowała obiadów, ulgowych również dla personelu ZLP. Portierka gotowała jej na maszynce kaszę, makaron, kluski. Raz na kwartał Kostek miał prawo do widzenia i paczki, oszczędzała więc dla niego i dla swego ukochanego wnuka, którego istnienie ukrywała. Leszek, syn jej i Kostka, podczas okupacji żołnierz Konfederacji Narodów, zginął w 1943 r. podczas jednej z akcji. Po jego śmierci urodził mu się syn, pogrobowiec. Pani Anna drżała o życie wnuka, bała się, że komuniści go zabiją. W jej pokoju wybuchł przecież – nieprzypadkowo według niej – pożar. Spłonęła większość pamiątek. Ona sama ocalała – otworzyła okno, a ponieważ mieszkała na parterze, wyciągnęli ja przechodnie. Przyjaźniła się tylko z jedyną niepartyjną bibliotekarką – Krystyną Banasik. Pisarze się tego bali, z wyjątkiem „odjechanego” Mirona Białoszewskiego (miał wariackie papiery i odwiedzał ją), który napisał o niej opowiadanie „Anna Pietrowna”. Choć żyła tyle lat wśród pisarzy, to oprócz Białoszewskiego nie napisał o niej nikt, nie spisał jej wspomnień, a znała całą legionową elitę.

W listopadzie 1955 r., a więc po 10 latach, gdy Kostek był już „muzułmanem”, półtrupem, aby nie umarł w więzieniu, zwolniono go. Przywieziono do żony karetką, wniesiono na noszach. Oddała mu swój tapczan, sama spała na fotelu. Miał potworne ataki bólów i codziennie wzywała pogotowie, które w końcu nie chciało już przyjeżdżać. Męczył się przeszło rok, zmarł w maju 1957 r. Pani Anna odeszła w 1972 r. Leżą razem na cmentarzu w Grójcu, w grobie rodzinnym. ©℗

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE



eprasa.pl d9f679a473

*Wojciech Cejrowski*
*korespondencja z USA*

# DWA MURY

Siedemnaście szybkich podpisów nowego prezydenta i Ameryka wycofała się na pozycje z czasów Obamy. Przyklękła i grzecznie opuściła głowę. Prosi o wybaczenie za ten wypadek przy pracy, jakim był Trump. Siedemnaście szybkich podpisów podcinających żyły mocarstwa.

***

Jeden podpis przywrócił obecność USA w WHO. Obecność i finansowanie oszusta sterowanego przez Chiny. Drugi podpis – do pary – wprowadza przymus noszenia masek na terenach federalnych (w tym autostradach) oraz w samolotach i pociągach. Ten podpis jest potwierdzeniem, że Ameryka już nie będzie w sprawie COVID-u chodziła własną drogą, lecz wykona karnie wszelkie zalecenia WHO.

***

Kolejny podpis odblokował przyjazdy do USA ludzi z krajów, gdzie paszporty (na urzędowych blankietach!) drukują sami sobie terroryści z Państwa Islamskiego. Znów serdecznie zapraszamy, a za wredne działania Trumpa przepraszamy.

Zapraszamy też imigrantów z południa – prezydent Biden jednym podpisem zablokował dalszą budowę muru na granicy z Meksykiem (nie dokończą nawet tego, co już rozpoczęte). Kto się przedrze przez obszar bez muru, ten nie będzie już łapany i odsyłany z powrotem. Biden poprosił tylko (w oficjalnym oświadczeniu), by ta karawana tysięcy ludzi z Hondurasu, która właśnie maszeruje w stronę USA, szła trochę wolniej, bo na zmianę przepisów dotyczących deportacji nowa administracja potrzebuje ok. 100 dni. Ale zapraszamy i nawet zachęcamy, o czym świadczy kolejny z 17 podpisów – dla tych nielegalnych imigrantów, którzy już są na terenie USA, otwarto drogę do uzyskania obywatelstwa. To na pewno zachęci tysiące kolejnych ludzi do nielegalnego przedostawania się poprzez obszary bez muru. Wystarczy jakoś wejść na nasz teren i już cię stąd nie usuniemy, lecz damy prawo stałego pobytu. Ci wszyscy (np. Polacy), którzy ubiegają się o wizę imigracyjną legalnymi sposobami, to frajerzy.

***

Kolejne dwa podpisy likwidują kilka milionów miejsc pracy. Pierwszy podpis zatrzymuje budowę ropociągu z Kanady do USA. (I znów: nie dokończą nawet tego, co rozpoczęte.) Rafinerie w Nebrasce i innych takich miejscach, które głosowały na Trumpa, czas zamykać, a Kanada niech swoją ropę trzyma pod ziemią. W USA zaczynamy likwidować wszystko po kolei, o czym świadczy kolejny podpis – pod paryskim porozumieniem klimatycznym. Czas zamykać kopalnie węgla (tak jak w Polsce) i powstrzymać wydobycie ropy i gazu (szczególnie z łupków). Stany Zjednoczone za Trumpa stały się niezależne energetycznie, a do tego zaczęły eksportować gaz, co bardzo osłabiło Rosję (ekonomicznie i bez jednego wystrzału). Teraz Ameryka przestanie wydobywać własne surowce i zacznie kupować za granicą, choć ma dużo tańsze u siebie. (Chiny są w Porozumieniu paryskim zdefiniowane jako kraj Trzeciego Świata, więc im wszystko wolno – nawet kopcić bez ŻADNYCH ograniczeń.)

***

Za Trumpa mieliśmy cztery lata powrotu do amerykańskiego snu o potędze, a teraz się skończyło i wracamy do socjalistycznych koszmarów Obamy. To się NIGDZIE na świecie nie sprawdza, ale Nowy Porządek Świata ma polegać na tym, że nieważne, czy się sprawdza, czy nie, ale ma być – WSZĘDZIE TAK SAMO. W Chinach jest państwowa służba zdrowia, w Unii Europejskiej też jest i obie są tak samo niewydajne, a teraz to samo ma być w Ameryce. Bo nieważne, że niewydajne, ważne, że taki MA BYĆ STANDARD. To my – rząd – wybieramy tobie lekarzy i szpitale, a nie ty sam – obywatel – wybierasz sobie lepszy albo gorszy. Ma być gorszy, równo dla wszystkich taki sam.

***

Biden nie zgłosił żadnego własnego pomysłu – w kampanii wyborczej jego programem była negacja tego, co zrobił Trump. Siedemnaście pierwszych podpisów przywraca to, co już było – za Obamy. Do władzy wróciło waszyngtońskie bagno, a wygrał w zasadzie Soros. Biden nie rządzi – jest podwykonawcą. Jedna mała chwila dzieli Kamalę Harris od prezydentury. A potem Kamala może sobie na wiceprezydenta wyznaczyć kogo zechce. (Oglądali Państwo serial „House of Cards"? Scenariusz napisany jak dobra gra wojenna.)

***

W trakcie przemówienia inauguracyjnego Biden nie powiedział (nie napisali mu) żadnego zdania, które się pamięta i będzie cytowane w podręcznikach – brak programu to brak zdania, które ten program sumuje. Trump miał swoje „America First", Biden nie ma nic.

W trakcie przemówienia owację dostał kto? – nieobecny Jimmy Carter oraz Kamala, gdy ją Biden wymienił z nazwiska. A kiedy powiedział, że będzie prezydentem wszystkich Amerykanów, również tych, którzy na niego NIE głosowali, brawa były nikłe, niechętne i zgasły po sekundzie.

Mroczne przemówienie o kłopotach, o upadku, o umieraniu na COVID. Mroczne, smutne, ani jednego uśmiechu na twarzy Bidena w trakcie całej przemowy. I kilka razy użył hasła „Mroczna zima". To brzmi jak z bajek o Narnii.

O potrzebie cenzury wspomniał dwukrotnie. Nie ma się co łudzić, że wystąpi w obronie wolności słowa i dostępu do Twittera dla wszystkich Amerykanów, również tych, którzy na niego NIE głosowali.

Przekazanie władzy odbyło się bez osobistego spotkania Biden-Trump. Nie było nawet jednej rozmowy telefonicznej – Biden powiedział, że nie życzy sobie, by Trump do niego dzwonił.

I jeszcze wspomniał „systemowy rasizm". USA to kraj rasistowski? Naprawdę? Dwukrotnie wybrano tu Murzyna na prezydenta i to przy ogromnej frekwencji. A teraz Kamala Harris, ciemna i kobieta – to też seksizm i supremacja białej rasy?

***

Na widowni wyłącznie waszyngtońskie bagno, zero zwykłych ludzi. Zamknięta impreza rządowa. I widać było, że nie wierzą w zaraźliwość COVID-u. Władza każe wierzyć nam – sama nie wierzy. Maski nosili rytualnie. Śpiewak Garth Brooks wyściskał Clintonów i Bushów i nikt się nie opierał, nie uciekał przed zarazą.

W tej zamkniętej imprezie wzięło udział 2000 przedstawicieli władzy plus 26 000 wojska do ochrony. Trzynastu żołnierzy pod bronią na każdego zaproszonego. Proporcje koreańskie.

Kogo ta władza się boi? 75 mln ludzi głosowało na Trumpa i zostali oni zdefiniowani jako „zagrożenie wewnętrzne". Hm… W PRL byłem takim zagrożeniem. Teraz jestem w USA, dokąd wyprowadziłem się, bo mi się podobała WOLNOŚĆ. Całe życie uciekam od kolejnych tyranii, a one mnie doganiają.

***

Biden jak Trump – też jest zwolennikiem muru. Każdy postawił mur osłaniający to, co chcą chronić. Trump zbudował mur do ochrony Ameryki. Biden mur do ochrony bagna w Waszyngtonie. ©℗



eprasa.pl d9f679a473

# OFERTA URODZINOWA

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

# ROCZNA PRENUMERATA

## TYGODNIKA „DO RZECZY”
## MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY”

**W PREZENCIE**
**KSIĄŻKI**

T. KOWALIK, P. SŁOWIŃSKI
„KRÓLEWSKI DAR. CO POLACY DALI ŚWIATU”
J. WESOŁOWSKI „KOŚCIUSZKO. BOHATER DWÓCH KONTYNENTÓW”

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDAŃ W APLIKACJI

~~893 ZŁ~~

**301,00 ZŁ**

**OSZCZĘDNOŚĆ 592 ZŁ**

## CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania
| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat
| W cenie dostęp do e-wydania w aplikacji, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

**JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:**
WEJDŹ NA PRENUMERATA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

**JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:**
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

**ZOBACZ NASZE OFERTY: PRENUMERATA.DORZECZY.PL**

**WIĘCEJ INFORMACJI** E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631** INTERNET: **prenumerata.dorzeczy.pl**

eprasa.pl d9f679a473

prasa.pl d9f67 73